


PRZE KROJ

nr 15 (3534), 15 kwietnia 2013, cena: 3,99 zł (w tym 8% VAT)
www.przekroj.pl



Koniec z homolobby

Maciej Nowak rozmawia
z Grzegorzem Małeckim → 6

INDEKS
71424

ISSN 0033-2488

15 >

„Przekrój” ukazuje się od 1945 roku



Turystyka od kuchni

Co planują linie lotnicze? Kto zakupił nowe samoloty? Dokąd najczęściej latają Polacy? Wejdź na turystyka.rp.pl, pierwszy profesjonalny portal branży turystycznej.

PRZE KROJ

W tym tygodniu
nie piszemy...

...o problemach technicznych, które dotknęły debiutującej 10 kwietnia telewizji Republika. W budynku stacji, podobnie jak i na okolicznym osiedlu, wyłączono prąd. „Ciekawe, dlaczego właśnie dziś?” – pytała dramatycznie Joanna Lichocka. Bo spisek jest w nas.

...o umorzeniu śledztwa dotyczącego śmierci Jolanty Brzeskiej. Po wielu miesiącach dochudzenia naszym organom ścigania udało się ustalić, że działaczka Warszawskiego Stowarzyszenia Lokatorów najprawdopodobniej została zamordowana. Jesteśmy pod wrażeniem.

...o memorandum w sprawie budowy drugiej nitki gazociągu jamalskiego. Czy mamy chwalić dziennikarzy poinformowanych lepiej niż nasz rząd? Czy płakać nad polskimi służbami, które zapadły w zimowy sen i chrapią głośniejsz niż niedźwiedzie w warszawskim zoo?

...o wyjątkowo agresywnych kieszonkowcach, którzy grasują w Luvrze. Najslyniejsze muzeum świata 10 kwietnia zostało zamknięte z powodu protestu pracowników placówki, którzy obawiają się gangów złodziejskich. Podobno Mona Lisa przestała się uśmiechać.

...o badaniach, które UNICEF po raz kolejny przeprowadził w 29 wysoko uprzemysłowionych krajach. Wynika z nich jasno, że najszcześliwsze są holenderskie dzieci. Polskie znalazły się na 28. miejscu w rankingu. Rośnie nam kolejne pokolenie melancholików.



FRANIEK MAZUR (?)

ZUZANNA ZIOMECKA

Awantura o tajemniczy lobbing gejów w środowiskach teatralnych już zbyt długo gra nam na nerwach. Wywiad Macieja Nowaka z Grzegorzem Małeckim (str. 6) – to od nich wszystko się zaczęło – jest naszą kropką nad „i” w tej sprawie. Ich rozmowa ukazuje zarazem najlepszy możliwy, bo iście słowiański, styl rozwiązywania sporów. Zamiast okupacji dwóch stron barykady stołki barowe po dwóch stronach stołu z nalewką. Choć to dobry wzór do naśladowania, niestety nie można go zastosować we wszystkich przypadkach. Dziecka z nagłym napadem wściekłości tarzającego się po podłodze raczej nie przyciągniemy do barku w celu wyjaśnienia, co mu leży na sercu. Zamiast tego coraz częściej rodzice lecą sprintem do apteki po lek na jedną z licznych przypadłości psychicznych, z którymi masowo diagnozowane są „niegrzeczne” dzieci (str. 42). Opisu DMDD – najnowszej przypadłości dziecięcej – co prawda jeszcze nie ma w polskiej Wikipedii, ale za sprawą jednego z naszych zapalonych internetowych encyklopedystów amatorów (str. 30) na pewno niebawem się tam znajdzie. Eksperti radzą jednak, by się tak nie spieszyć z diagnozą chorobową, gdy dziecko stwarza problemy. Czasami na bólczki rodzinne najbardziej kojący jest czas spędzony razem. W tym (str. 34, str. 38) i nadchodzącym wydaniu „Przekroju” znajdziecie więc wiele bezspornie inspirujących tematów wakacyjnych. Niekoniecznie słowiańskich.



MARCIN PROKOP

„Gej over, czyli koniec afery homogate” – taki tytuł mogłaby nosić rozmowa Maćka Nowaka i Grzegorza Małeckiego, którzy kilka tygodni temu, szermując opiniami na temat rzekomego lobby gejowskiego trzęsącego polskim teatrem, zupełnie niechcący rzucili iskrę, od której zapłonęła cała medialna stodoła. Wracając teraz do tamtej polemiki na łamach „Przekroju”, obaj panowie podali sobie dłonie, zgodnie uznając, że brak między nimi fundamentalnych różnic w opiniach (i nie tylko, jak się okazało). Świetnie, happy end. A jednak mam poczucie przegranej. Bo po drodze okazało się, że nie tylko polityka oraz Smoleńsk dzielą ludzi w Polsce tak, że przestają się nawzajem słuchać. Że zamiast merytorycznego sporu natychmiast pojawiają się plugawe oskarżenia o najgorsze intencje, jak choćby nazywanie Joanny Szczepkowskiej homofobką i stawianie jej w jednym rzędzie z nazistami (sic!). Smutno też przy takiej okazji obserwować media grzejące sensacyjny temat w kolejnych odsłonach, coraz bardziej absurdalnie oderwanych od oryginalnego kontekstu. Niefajnie, gdy fachowcy od informowania zachowują się jak wygłodniałe podwórkowe kundły wyrwijące sobie nawzajem okrwawioną kostkę. Więc chyba jednak zostajemy bez happy endu.

NA POCZĄTEK

RACZKOWSKI





ROZMAWIA MACIEJ NOWAK,
ZDJĘCIA KUBA DĄBROWSKI

Nic o nas bez nas

Wielki aktor Jan Świderski rzucił niegdyś w SPATIF-ie śledziem w śmietanie w nie mniej wielkiego krytyka teatralnego Jana Kotta. **Grzegorz Małecki**, po tym jak **Maciej Nowak** skrytykował go w felietonie opublikowanym na naszych łamach, chciał rzucać w delikwenta karpim lub jesiotrem. Tak przynajmniej twierdzi w rozmowie z... samym Nowakiem. Przeczytajcie wywiad, który jest mądrą puentą głupiej dyskusji o homolobby w polskim teatrze.

Nieźlą burzę wywołaliśmy. Nawet nie wiem, jak nam się to udało.

Śmiem twierdzić, że tę burzę wywołał pan. Przypomnijmy. Na początku było słowo. Gej.

W rozmowie z Robertem Mazurkiem dla „Rzeczpospolitej” zażartował pan, że na każdej próbie w teatrze musi teraz pojawić się para gejów, którzy nie do końca wiedzą, co tam robią. Potem był mój felieton w „Przekroju”, gdzie użyłem tego fragmentu w kontekście, moim zdaniem, żartobliwym. Mam świadomość, że felieton miał być żartobliwy. Ale umieszczenie moich ironicznych uwag obok homofobicznych wypowiedzi Lecha Wałęsy uznałem za manipulację i dlatego napisałem list otwarty do pana. Wydawało się, że jesteśmy kwita. Dopiero dalsze wypadki trochę nas przerosły.

Obecność osób homoseksualnych w życiu publicznym jest czymś niesłychanie wrażliwym. Dlaczego nie mówimy, że gdzieś tam pojawia się pewna liczba osób heteroseksualnych? Ujawnianie orientacji seksualnej innych jest nadużyciem.

To oczywiste. Dlatego ani pan, ani ja niczyjej orientacji nie ujawnialiśmy. Zresztą do pana felietonu nie spotkałem się z żadnym negatywnym komentarzem.

Absurdalna dyskusja na temat lobby homoseksualnego, którą wywołaliśmy, dowodzi, że trzeba uważać, bo w Polsce narasta wielka frustracja, która szuka kozłów ofiarnych. W tym wypadku okazało się, że dotyczy to również środowiska teatralnego.

To, co się wydarzyło po słowach Joanny Szczepkowskiej, jest przede wszystkim dowodem na to, że media kompletnie nie interesują się kulturą, sztuką i teatrem. Dziennikarze zachowują się jak internauci z portali plotkarskich. To oni



najbardziej podskoczyli z radości, słysząc o homolobby. Reagują wyłącznie na skandal.

Miał pan jakieś złudzenia?

To, że nie istniejemy w mediach, jest oczywiste. A mnie się marzą media odważne jak 100 lat temu, kiedy Marinetti ogłaszał swój manifest futurystyczny na pierwszej stronie „Le Figaro”. Myśli pan, że dzisiaj byłoby to możliwe?

Myślę, że wyczuwam w panu pewien rodzaj nieuwagi na to, co się w świecie dzieje. Media nie są żadną czwartą władzą. To zwykły biznes. Chodzi o zarobienie pieniędzy dla właściciela. Nie chodzi o żadną misję, o żadne wyższe wartości.

Nie zgadzam się. Media są czwartą władzą. Bo to media kreują tematy, którymi potem żyje cały kraj. Widać to na przykładzie afery z homolobby. Czy wydaje

potwierdza, że teatr opanowało środowisko gejowskie.

A pan jak radio Erewań. Nie posel Jaki, tylko Czarnecki, nie o gejach, tylko o „Krytyce Politycznej”, i nie wymienił Małeckiego, tylko Mazurka. Opisywał to nawet pański kolega.

A pan zauważył gdzieś tzw. lobby gejowskie?

Nigdy w życiu się z takim lobby nie spotkałem. Pierwszy raz sugestię o jego istnieniu wysunął pan, powołując się w swoim felietonie na Aleksandra Bardinię, że: „od kiedy na scenie władzę przejęły pedały, Żydzi nie mają tam co robić”.

A odczuł pan po naszej wymianie zdań jakieś objawy niechęci?

Owszem. Dzięki panu jeden literat na Facebooku u moich znajomych nazwał mnie homofobem. Na szczęście literat niewybitny.

może pan spać spokojnie, nie jest pan w moim typie.

Zaraz, zaraz, myśmy się chyba poznali pod koniec lat 90. w nieistniejącym już klubie Paradise, którego publiczność nie była również gruntownie heteroseksualna.

Paradise'u już nie ma, ale często jeżdżę do Berlina na Kreuzberg. Mam tam ulubiony stary punkowy klub SO36, gdzie parę miesięcy temu byłem na imprezie drag queen. Przy okazji: ostatnio słyszałem, że nie ma mężczyzn heteroseksualnych, są tylko źle podrywani.

O nie, drogi panie, nawet nie przyszło mi to do głowy. Od 30 lat trzymam się żelaznej zasady: nigdy z aktorami. Gdy wchodziłem w teatr, radę tę przekazała mi Anna Schiller, córka Leona Schillera.

Ja natomiast nigdy z dyrektorami instytutów. Dobra, żarty na bok. Czy pisząc felieton, naprawdę pomyślał pan, że mam coś przeciwko mniejszościom seksualnym?

Nigdy nie myślałem, że pan jest homofobem, tylko żartowałem, że pochodząc ze świetnej teatralnej rodziny, musi pan wiedzieć, że w tym środowisku zawsze była nadreprezentacja osób nieheteronormatywnych.

Żadne odkrycie. Teatr to miejsce dla indywidualistów, ekscentryków, introvertów, rozpasanych heteryków, ludzi o odmiennej niż tradycyjna seksualności, nadwrażliwców, alkoholików, wariatów. Artystów po prostu. Takie Greenwich Village. I to jest piękne.

W rozmowie z Mazurkiem powiedział pan, że dzisiaj reżyserzy zmuszają was do latania z gołą dupą. Czy ktoś pana do tego namawiał?

A pan znowu swoje. Fragment był o tym, że krytyka to kocha. Nie uwierzy pan, ale chciałem rozebrać mnie tak tradycyjnie twórca jak Jerzy Jarocki w „Błądzeniu”. Pomyśl był bardzo dobry, niestety, Jarocki od niego odstąpił. Do dziś nie kryję rozczarowania. Nie mam problemu z gołą dupą, nie jestem staroświeckim ramolem, który się rumieni, kiedy w

dzi kawałek nagiego ciała. Rozbierałem się w filmie i nie w tym rzecz. Goła dupa jest fantastycznym środkiem wyrazu. Może być piękna, może być przerażająca, może być niezwykle erotyczna, może być odpychająca. Natomiast niejednokrotnie mam wrażenie, że ktoś jest nago na scenie wyłącznie dlatego, że reżyser nie miał innego pomysłu i ma być kontrowersyjnie. Ale powiedzmy sobie wprost – nagość nie budzi dziś najmniejszych kontrowersji.

Ale w którym spektaklu pan widział, żeby nagość pojawiała się w sposób zupełnie nieuzasadniony artystycznie?

Powiem inaczej. Niesamowita była nagość starej kobiety w „Psychosis” Jarzyny czy młodej w „Operetce” Grzegorzewskiego, a także nagość w „Marilyn” u Lupy. Dopiero po spektaklu widz uświadamia sobie, że Sandra Korzeniak

prawie cały czas była naga. Efekt piorunujący. Nagość na scenie nie odebrała siły przekazu. Ale znam też sytuację, kiedy jeden z reżyserów, szafując wyrażeniem „otwieranie aktorów”, po prostu nie potrafił wytłumaczyć, o co mu chodzi. Po wielu tygodniach męczących prób kilkoro moich znajomych, żeby skrócić męki, wypilo butelkę wina, po czym na trzy cztery się rozebrali. Reżyser był zachwycony, że ich otworzył, aktorzy byli zadowoleni, że zrobili reżysera w balona, a scena weszła do spektaklu. Tylko widz nie bardzo wiedział, o co biega.

Ale czy to jest rzeczywiście nagminne? Owszem, jest dzisiaj w teatrze więcej nagości męskiej niż kiedyś. Nagość kobieca straciła swoje znaczenie, bo jest komercyjnie zagospodarowana w reklamach, w pornografii. To prawda.

Ona już nie jest żadnym gestem obnażenia się, to jest towar. Nagość męska natomiast ciągle oburza. Nagi fiut jest jak granat. Wywołuje skrajne odczucia widowni i mocne odrzucenie.

Zależy jaki fiut. Niektóre budzą respekt.

Nagość męska jest tabu. To jest obnażenie fundamentu władzy.

Żyjemy w społeczeństwie konserwatywnym i patriarchalnym. Najbardziej pruderyjni są właśnie mężczyźni. To oni panicznie boją się utracenia swojej męskości...

Czy dobrze zrozumiałem, że pan nie za bardzo przepada za nowymi poszukiwaniami w teatrze? Bo w rozmowie z Mazurkiem był rodzaj lekceważenia wszystkiego, co nowe w teatrze.

Nic podobnego. Lekceważę to, co jest nieprofesjonalne i nadęte.

Grzegorz Małecki: „Żyjemy w społeczeństwie pruderyjnym i patriarchalnym. Najbardziej pruderyjni są mężczyźni, którzy panicznie obawiają się utracenia swojej męskości”.

się panu możliwe, by w „Kropce nad i” pojawił się na przykład malarz, który odnalazł nowy niesamowity odcień czerwonego?

Żyjemy w rzeczywistości, w której wszystko zostało przełożone na pieniądze i korzyści materialne. A nowy odcień czerwieni nie ma żadnego wymiaru rynkowego. Ale musimy odnaleźć się w tym świecie, bo nie ma innego.

Ale się z tym nie zgadzamy.

Nie zgadzamy się, jesteśmy w opozycji, ale to wymaga właśnie rozwagi. Stwierdzenie, że na próbach pojawiają się geje, jest natychmiast wykorzystywane politycznie. Przecież pana cytował natychmiast poseł Jaki z PiS, że oto wybitny aktor Teatru Narodowego

Na razie tragedii nie czuję. Co jeszcze?

W knajpie parę dni temu ktoś krzyknął: „o, idzie tropiciel pedałów”. Zamarłem. Ale szybko się okazało, że to czarny humor pijanego w sztok naszego wspólnego znajomego scenarzysty. Dla odmiany kiedyś po spektaklu „W mrocznym mrocznym domu” zostałem nazwany pedałem. W gruncie rzeczy najbardziej śmieszy mnie łaska prawnicowca, którą mi po wywiadzie w „Rzeczpospolitej” przypięto. Ciekawe, czy będzie jakaś po rozmowie z „Przekrojem”.

Skąd zatem tak emocjonalna reakcja na pół zdania w moim felietonie?

Bo zna mnie pan długo i wie, że mam wielką sympatię dla mniejszości. Ale





A co to znaczy profesjonalne w teatrze?

Profesjonalnie jest wtedy, kiedy próbujemy dotrzeć do istoty rzeczy. Nieprofesjonalnie jest wtedy, kiedy twórcy zachwycają się sobą, a tak naprawdę są pogubieni i nie wiedzą, po co się zabierają za sztukę... Artystą może być dziś każdy, kto ma efektowny pomysł. Myśl i koncepcja przestają być w cenie.

A spotyka się pan z takimi twórcami?

Owszem, pan zresztą też. Szafulają modnymi teoriami, które nijak się mają do tego, co robią. Jestem za poszukiwaniami i za tym, żeby robić odważny teatr. Ale odważny nie musi oznaczać bezmyślny.

Nie zapominajmy o tym, po co się robi teatr. Banał to stary jak świat, ale warto go powtórzyć, że teatr jest przede wszystkim dla widza. A twórcy często uprawiają teatr dla siebie. Sam w to niedawno wpadłem. Jakiś czas temu moje dzieci poprosiły, żebym im przeczytał „Lokomotywę” Tuwima. Postanowiłem

zapręgnąć wszystkie znane mi środki aktorskie, no i jadę, mówiąc żargonem teatralnym, czuję, że żre. Odgrywam tyśiące atletów, te wszystkie słonie, gwizdy i świsty. Skończyłem, a dzieciaki oczy w słup i mówią: „Tata, a nie możesz zwyczajnie?”. Okrutna była to recenzja, ale pomyślałem sobie, że to „tata, a nie możesz zwyczajnie?” to jest trafna uwaga. I świetnie opisuje teatr.

Cudowna anegdota, ale trochę obosieczna. Bo czy to właśnie nie jest skaza aktorów, chępiących się swoim profesjonalizmem, popisujących się narzędziami zawodowymi, impostacją i bezbłędną wymową? Słychać ich w ostatnim rządzie, ale jest to sztuczne dudnienie i buczenie. Też chcę zapytać: czy nie można zwyczajnie?

To frazes. Taki teatr skończył się w XIX w. Czy mam rozumieć, że ceni pan aktorów chępiących się swoim nieprofesjonalizmem i z wadą wymowy? Ponadto uważam, że widz, który kupił bilet w ostatnim rządzie, powi-

nien tyle samo słyszeć co ten w pierwszym. W tej kwestii też jestem za równouprawieniem. Ale zgodzę się, że teatr tradycyjny bywa nieznośny, pretensjonalny i nadęty.

Czyli teatr poszukujący też jest dla ludzi.

Bardzo chciałbym, żeby w Teatrze Narodowym spotykało się więcej nowych trendów, nowych reżyserów.

Będę bronił dyrektora Englerta, bo wydaje się, że otworzył Teatr Narodowy na tyle, na ile warszawski Teatr Narodowy może być otwarty.

Nie musi pan bronić. Mówię o odczuciu aktora, a nie widza. Na scenie Studio przy Narodowym można więcej eksperymentować. Próbował to kiedyś robić Tadeusz Słobodzianek.

A z kim by pan chciał pracować? Z kim z nowego pokolenia?

Doceniam to, co robią Monika Strzępka, Iwan Wyrypajew. W ogóle w teatrze

dzieje się wiele ciekawego. Czasem tylko ci, którzy najwięcej mówią o poszukiwaniach, po prostu kopiują wielkich mistrzów. Spektakle żywcem przeniesione z Berlina. Aktorzy wciąż konają ze śmiechu na wspomnienie reżysera, który włączał na próbie DVD z niemieckim spektaklem i mówił, że „tak to właśnie zrobimy”. I zrobili. Kropka w kropkę. Regularny humbug. Co ciekawe, spektakl dostał nawet nagrodę. Z kolei gdy pojawili się „Lunacy” Krystiana Lupy – jeden z najlepszych spektakli, jakie widziałem – natychmiast powstały klony, spektakle misteria, wielogodzinne nudy, na których widz rozpaczliwie wysyła SMS-y pod numer 112, żeby ktoś go uratował.

Ja też uważam, że lepszy jest spektakl krótszy niż dłuższy.

Długość nie ma znaczenia, jak wiemy. Po fantastycznej Sarah Kane w Teatrze Różnorodności pojawił się inny trend.

Słowa, słowa, słowa, bo to nie była cała masa. Były dwie, trzy osoby, które ten język wykorzystywały.

Dobra, dobra. Była moda na te spektakle.

A co złego w modzie?

Teoretycznie nic. Mój iPhone jest modny i dobry zarazem. Ale kiedy nosi go co druga osoba, to przestaje być oryginalny. Poza tym moda sprawia, że powstaje wiele nieudanych podróbek.

Mówił pan, że mody kreują krytycy.

Wydaje mi się, że tak.

Tylko którzy krytycy? Bo przecież dzisiaj praktycznie nie ma już krytyki teatralnej w Polsce.

Nie ma mądrzej. Jeżeli chodzi o krytykę, to tak naprawdę problem polega na tym, że zupełnie oderwała się od twórców.

Ale jej nie ma. Po prostu nie ma. Nie ma autorów, którzy piszą.

Ale do kogo ma pan pretensje, że nie ma? To pana działka. Oczywiście, że są

krytycy. Pan na przykład, o ile nie pisze właśnie o knajpach, kreuje modę na tylko jeden typ teatru. Wielu pańskich kolegów podobnie. Jest kilku krytyków, ale twórcy, autorzy, reżyserzy ich zupełnie nie znają. Mnie się marzą czasy, a podobno kiedyś takie były, dawno, dawno temu, że krytycy z aktorami wspólnie się spotykali i pili wódkę. Było to podobno bardzo twórcze.

Pamiętam z kolei pogląd Macieja Englerta, że najbardziej właściwą relacją między krytykiem a twórcą jest ta, którą widział kiedyś w SPATIF-ie. Gdy pojawił się recenzent Jan Kott, wielki aktor Jan Świderski wstał od stolika, chwycił do ręki śledzia w śmietanie i rzucił nim w Kotta.

I o to chodzi. Jest kilku recenzentów, którym chętnie przywaliłbym śledziem. Panu na przykład, po pańskim felietonie śledź by nie wystarczył... Myślałem raczej o karpniu. Albo jesiotrze... Dyskusja na temat teatru odbywa się ponad głowami twórców, ona nas kompletnie omija.

Ale pytanie, czy pan chce w takiej dyskusji rzeczywiście uczestniczyć?

A co my innego w tej chwili robimy? Można się różnić i rozmawiać.

Czy dałby się pan na przykład przekonać do teatru, gdzie jest mokro i czerwono?

Pomysł, żeby na scenie było mokro i czerwono, jest rewelacyjny. Niech tylko twórca umie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego jest mokro i dlaczego czerwono.

A czy pan jako artysta, nawet nie jako aktor, tylko jako artysta umie odpowiedzieć na pytanie związane z konstrukcją swojego dzieła? Dlaczego robi pan pewne rzeczy tak, a nie inaczej? Czy to jest wszystko tylko techniczne, czy również dopuszcza pan sytuację, że czegoś pan nie wie, a mimo to w tym siedzi?

Stan niewiedzy bywa twórczy podczas prób, ale podczas spektaklu lepiej wiedzieć, dlaczego stoi się na scenie. Na tej konstrukcji można dać się ponieść emocjom, improwizować. Staram się być ak-

torem świadomym. Emocje w teatrze są bardzo ważne, ale często gubimy istotną rzecz, która się nazywa warsztat. Te dwie rzeczy w parze mogą nas przybliżyć do sukcesu.

A gdyby popatrzeć na dzisiejszych artystów budzących kontrowersje z perspektywy 100 kolejnych lat? Zastanowić się, jak będą opisywani w książkach ci, którzy – jak pan chce – nie posiadają warsztatu? Czy te dzisiejsze kontrowersje kogokolwiek będą w ogóle interesowały?

Historia pokazuje nam, że przechodzą do niej tylko ci z warszatem. Wymieniać możemy do rana. I przestańmy

Maciej Nowak: „Od 30 lat trzymam się żelaznej zasady: nigdy z aktorami. Gdy wchodziłem w teatr, radę te przekazała mi Anna Schiller, córka Leona Schillera”.

się ciągle czarować tym słowem. Kontrowersja. Nikt nie przeżywa żadnych kontrowersji...

Ale pan przeżył. Kiedy?

Zbulwersowany porzucił pan próby do „Orestei” w Narodowym.

Zbulwersowany? Nie. Rozczarowany... To nie nowość, że aktor kłóci się z reżyserem. Sam byłem świadkiem takiej awantury między Zbigniewem Zapasiewiczem a Jerzym Jaroćkim, że wszystkim szczęki opadły.

Ale my się nie kłócimy. Broń Boże.

To w takim razie ja zapraszam na mokre i czerwone.

Pańska ulubiona wiśniówka! Przejrzałem pana!

→ współpraca Joanna Janiszewska



„Zośka”, Tadeusz Zawadzki, rocznik 1921. Działal w ramach tzw. małego sabotażu oraz w akcjach dywersyjnych, m.in. w słynnej akcji pod Arsenalem. Poległ w 1943 r.

ROZMAWIA KATARZYNA CZARNECKA

Uczucia na barykadach

„Uważam, że to jeden z najpiękniejszych tekstów o miłości nieznającej granic” – po tych słowach Elżbiety Janickiej z Instytutu Slawistyki PAN o „Kamieniach na szaniec” zawarła. O tym, jaka relacja mogła łączyć Jana „Rudego” Bytnara i Tadeusza „Zośkę” Zawadzkiego, o płynnych granicach przyjaźni i wykluczeniu z bohaterstwa mówi **Jacek Kochanowski**, socjolog, badacz teorii queer i gender.

Czy uważa pan, że na podstawie literackiego opisu można wysnuć wniosek, że „Rudy” i „Zośka” byli parą homoseksualną?

Nie jestem literaturoznawcą, zatem nie mogę się wypowiadać na temat interpretacji źródeł. Ale wierzę doktor Elżbiecie Janickiej, że być może rzeczywiście sugerują one, iż tych dwóch chłopaków – czy to pierwowzory, czy bohaterów książki Aleksandra Kamińskiego – łączyła więź głębsza niż przyjaźń, niestandardowa dla mężczyzn heteroseksualnych, czyli na przykład w jakimś sensie homoerotyczna. Tyle, uważam, można stwierdzić. Ale czy ta relacja była efektem życia w opresji, wzajemnej fascynacji, egzaltacji czy też oni definiowali się jako geje, tego się nie dowiemy. Powstaje jednak pytanie: jakie to tak naprawdę ma znaczenie, czy byli homoseksualni, czy nie?

Też powiedziałabym, że żadnego. Okazuje się jednak, że ogromne – dlatego rozmawiamy. Ale zostańmy jeszcze w połowie XX w. Jak wtedy postrzegano się relacje?

W dwudziestoleciu, pomijając okres sanacji i lekkiej faszycacji Polski po śmierci Piłsudskiego, byliśmy w sumie bardzo liberalni. Polska jako jeden z pierwszych krajów na świecie zniosła karalność osób homoseksualnych. Boy-



JACEK KOCHANOWSKI

(ur. 1973) jest doktorem habilitowanym nauk humanistycznych w zakresie socjologii. Specjalizuje się w gender/queer studies oraz socjologii kultury. Pracuje w Instytucie Stosowanych Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego, jest m.in. sekretarzem Rektorskiej Komisji ds. Przeciwdziałania Dyskryminacji – pierwszej tego typu komisji na polskiej uczelni.

Żeleński i inne osoby, które nie dość, że prowadziły bujne życie erotyczne, to jeszcze namawiały do tego innych, były bardzo wpływowe. Gdybyśmy dzisiaj mieli takie postaci, to byłaby wojna światów i wyklinanie.

To wszystko miało wpływ na ostrzeżenie różnych związków. A poza tym nie byliśmy jeszcze tak bardzo zanurzeni w języku seksuologicznym.

To znaczy?

Podział na osoby homo- i heteroseksualne jeszcze dziś jest młody, ma niewiele ponad 100 lat. W dodatku bardzo różnie definiowało się zachowania. Były intymne męsko-męskie relacje, których nie uważano za homoseksualne, oraz takie, które określano w ten sposób, a nam dziś nie przyszłoby to do głowy. I te definicje wciąż się zmieniają. Dlatego my, socjologowie badający seksualność, zawsze bierzemy pod uwagę to, w jaki sposób sami ludzie definiują swoją relację. Nie zajmujemy się sortowaniem ludzi na homo- i heteroseksualnych.

Druga sprawa, że definiowanie bywa nieprecyzyjne. Jesteśmy w stanie w pewnych okolicznościach, jakkolwiek by to brzmiało, nawiązać tak bliskie relacje z osobą tej samej płci,

o jakie byśmy sami siebie nie podejrzewali. Czy to oznacza, że w tym momencie zmieniamy orientację seksualną? Nie.

Z socjologii seksualności płynnie wniosek: nie przywiązujemy się tak bardzo do etykiet. One są sztuczne, a czasami zwyczajnie nieadekwatne. Ludzie przesuwają się po skali Kinseya, gdzie 0 oznacza wyłączny heteroseksualizm, a 6 wyłączny homoseksualizm. Ich doświadczenie po prostu wykracza poza proste kategorie.

W polskiej kulturze takie myślenie jest szokujące, ale kiedy opisuje się ten temat w socjologii, to po prostu widać. Ludzie czasem mówią: „Nie interesuje mnie ten homo/hetero dyskurs. Jestem sobą. Jeżeli zdarzy się tak, że nagle spodoba mi się osoba tej samej płci, to kto wie?”.

Ale trudno nam sobie pozwolić na tak otwarte podejście...

Oczywiście. Jeśli nawet widzimy, że relacja z osobą tej samej płci może być satysfakcjonująca czy wzbogacająca, najczęściej w panice od niej uciekamy. Myślimy: „O Boże, to znaczy, że jestem homoseksualny!”. Mężczyzna natychmiast ma wizję starych dziadków czyhających w krzakach na młodych chłopców i myśli: „Przecież ja nie chcę być taki”. A kobieta mówi sobie: „Boże, to ja teraz będę się musiała ubierać w bojówki i oglądać sport?”. Wierzymy, że będziemy musieli przejąć całą tę tożsamość osoby homoseksualnej.

Raczej stereotyp takiej tożsamości.

Coś w tym rodzaju. Bo oczywiście istnieją butch lesbijki, ale są też te bardzo kobiece i delikatne. Podobnie jak istnieją geje bardzo samczy, męscy i tacy, którzy bardziej lub mniej świadomie lawirują na pograniczu męskości i kobiecości.

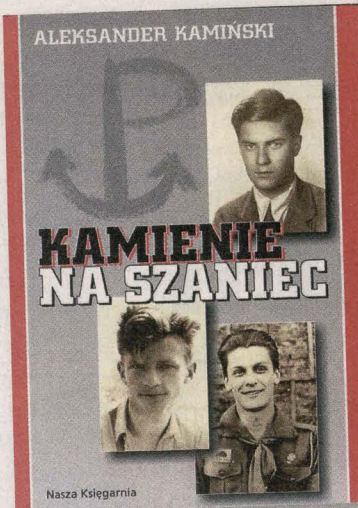
Takie przekonania się jednak zmieniają. Badania prowadzone w Europie Zachodniej pokazują, że mniej więcej od końca lat 60. XX w. następuje proces narastającego lekceważenia tych przekroczeń. Coraz częściej ludzie mó-

wią sobie: „Z tego, że zdarzył mi się raz czy drugi seks z osobą tej samej płci, przecież nic nie wynika. Nadal jestem Janem Kowalskim. Nie muszę wymieniać firanek na różowe albo kupować kompletu płyt Abby”.

Mówił pan o kłopotach z definiowaniem własnej seksualności. Tymczasem ocenianie innych w tej kwestii przychodzi nam łatwo. Szczególnie w przypadku mężczyzn.

Granica między relacją czysto emocjonalną, czyli przyjaźnią, a relacją, która zaczyna być w jakiś sposób erotyczna, jest bardzo płynna. A seksuologowie twierdzą, że zdecydowanie bardziej u kobiet. W ich przypadku bardzo trudno jest powiedzieć, która przyjaźń zaczyna się przegradzać w coś więcej. A z drugiej strony idące ulicą dziewczyny trzymające się za ręce czy obejmujące nie wywołują najczęściej złych spojrzeń.

Z mężczyznami jest inaczej. Jedna z teoretyczek queer, która zajmowała się tym problemem, stwierdziła, że jesteśmy wychowywani w takim systemie społecznym, gdzie mężczyźni mają ze sobą konkurować, a nie budować między sobą więzi potencjalnie przekraczające pewną barierę intymności. Wszystkie sfery, z których były wykluczone przez wiele lat kobiety, bazowały na konkurencji – czy chodzi o gospodarkę, czy naukę, nie mówiąc już o armii. Dlatego w naszej kulturze męska homoseksualność została tak bardzo stabuizowana. Dlatego wprowadzono tak wiele scenariuszy opisujących, jak mężczyzna wobec drugiego mężczyzny nie powinien się zachowywać. Przytulanie się, głaskanie, jakiegokolwiek okazywanie czułości – faceci heteroseksualni po prostu tego nie robią. Bardzo się pilnują, żeby tej granicy nie przekroczyć.



Nad relacją łączącą bohaterów „Kamieni na szaniec” Elżbieta Janicka zastanawiała się już w wydanej w 2012 r. książce „Festung Warschau”. Dyskusja o jej tezach rozgorzała teraz.



Bo ktoś powie, że są gejami? Tak, a to jest niebezpieczne. Żyjemy w społeczeństwie, w którym istnieje jeden model normalnej seksualności. Musi to być seks między mężczyzną i kobietą – każdy inny jest podejrzany. I musi być usprawiedliwiony. Albo przez uczucie (najlepiej przez miłość), albo – i to już jest ideał – prokreację, bo wbrew temu, co sądzimy, miłość romantyczna też jest stosunkowo nowym wynalazkiem. Im bardziej ktoś odchodzi

od tego modelu, tym bardziej jest narażony na złe traktowanie.

I tu wracamy do pytania z początku. W całej dyskusji o „Rudym” i „Zośce” najbardziej zasmucił mnie fakt, że mówi się: to obrzydliwe. I krzyczy o poniewieraniu bohaterów, o próbie ich dyskredytowania. Dlaczego ich relacja, jakakolwiek by była, ma przekreślić ich zasługi?

Jedna z teoretyczek zajmujących się seksualnością pisze o zaburzonej skali, czyli o jej przecenianiu. Działa to tak, że jeżeli ktoś się ujawni lub się go posądzi np. o to, że ma wielu partnerów seksualnych, nagle przestają się liczyć jego kompetencje, osiągnięcia, cechy charakteru. Wszyscy skupiają się na tym jednym aspekcie.

Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że gdyby wyczytać w „Kamieniach na szaniec”, że chłopcy byli alkoholikami, heroinistami albo mieli liczne kochanki, byłoby mniej szumu.

Tak, ale homoseksualność jest skonstruowana społecznie jako całkowite zaprzeczenie heteroseksualności. Jeżeli dwie osoby heteroseksualne tworzą długoletnie związki oparte na miłości, to homoseksualiści muszą być niezdolni do miłości. Jeżeli heteroseksualizm oznacza wychowanie i płodzenie dzieci, to homoseksualizm musi być zagrożeniem

dla dzieci. Dlatego łączy się w sposób paranoiczny homoseksualizm z pedofilią. Zresztą proszę zauważyć, że wszystkim „obcym” przypisuje się złe intencje wobec dzieci: Cyganie je porywają, Żydzi przerabiają na macę – to pewna stała antropologiczna.

Podsumowując: im bardziej wznieśliśmy wzorcem moralnym obowiązującym wszystkich ma być heteroseksualizm, tym bardziej homoseksualizm musi być negatywny. Ale podkreślmy jedno: to, że ktoś mówi „obrzydliwe” nie musi być kwestią indywidualnych uprzedzeń, lecz konstrukcji norm w naszej kulturze.

A według nich homoseksualizm to totalne zło. Geje nie tylko uprawiają niemoralny seks, ale też nie są w stanie zachowywać się moralnie w żadnej innej sytuacji. Homoseksualizm jest czymś diabolicznym, czymś, co człowieka niszczy, ciągnie go ku temu, co budzi odrazę. Zatem jeśli bohater narodowy to w naszym rozumieniu ktoś czysty, niezbrukany niemoralnością, w żadnym wypadku nie można tego miana przyznać homoseksualiście.

I teraz, wracając do przykładu „Rudego” i „Zośki”: nie jest łatwe do przyjęcia, że to byli chłopcy, którzy – jak to zwykle młodzi ludzie – chcieli coś wielkiego robić, więc walczyli i byli bohaterami, a oprócz tego łączyła ich więź bardzo głęboka, może nawet miłość.

Uznanie tego faktu jest niemożliwe, bo burzliwie zbudowaną konstrukcję?

No taka ewentualność po prostu nie mieści się w głowie. I jeszcze jedni artyści to jeszcze mogą sobie być, jacy chcą. Ale tacy zwykli chłopcy...

...z takiej dobrej szkoły, z takiej dobrej drużyny harcerskiej...

Niemożliwe. Przecież ci homoseksualiści są gdzieś tam, na tym brudnym marginesie. Nie mogą być między nami – w rodzinie czy sąsiedztwie. A tu by może się okazuje, że współtworzyli historię, i to taką, z której jesteśmy dumni, a mało mamy takich jednoznacznie pozytywnych momentów.

Niestety, te reakcje są wyrazem antyhomoseksualnej paranoi. Innego słowa nie można tu użyć, bo to wszystko nie ma związku ani z logiką, ani ze zdroworozsądkowym myśleniem, jest tylko i wyłącznie objawem uprzedzeń.

Żyjemy w świecie segregacji seksualnej, który działa dokładnie tak jak system segregacji rasowej, tzn. są obywateli pierwszej i drugiej kategorii. Pomijam kwestie prawne, nie one są tu najważniejsze. Chodzi o szacunek dla danej osoby i jej doświadczenia. Doświadczenie osób heteroseksualnych otaczane jest poważaniem, natomiast osób homoseksualnych – pogardą.

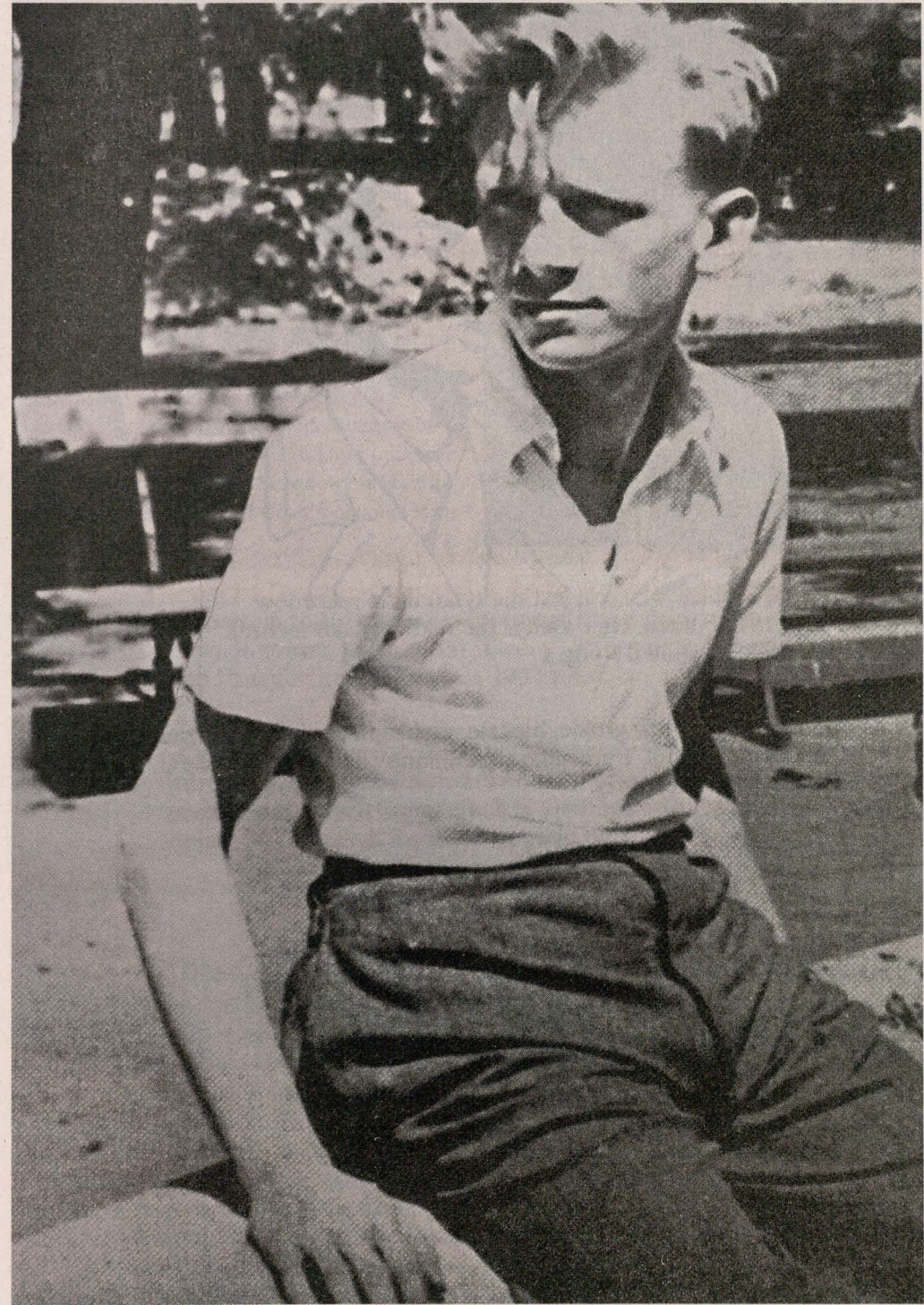
Przy okazji zapomina się także o tym, jak ludzie zachowują się w sytuacjach skrajnych. Na przykład Marek Edelman w „I była miłość w getcie” pisał o krótkich romansach, spontanicznym seksie...

Badania nad zachowaniami ludzkimi oczywiście pokazują, że w skrajnych, ekstremalnych warunkach przekracza się różne bariery, które mamy w głowie jako nieprzekraczalne. Związków – nawet takich, które wprost możemy nazwać homoseksualnymi – było wiele, także np. w obozach koncentracyjnych, o czym zaczynamy mówić, bo dopiero teraz do tego dojrzewamy. Nie wszyscy oczywiście i stąd temperatura sporów. Ludziom na dnie piekła, którego my, współcześni, nie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić, niezbędna jest bliskość, bo ona pozwalała ocalać człowieczeństwo. I to jest, na litość boską, piękne, a nie deprecjonujące.

Czy według pana analizowanie „Kamieni na szaniec” może przynieść w ogóle coś dobrego?

Tak. Bo na głębszym poziomie nie chodzi o to, żeby sklasyfikować tych konkretnych chłopców, ale żeby zobaczyć, że bohaterowie także mogą zachowywać się w sposób wykraczający poza to, co obowiązkowe i normatywne.

A najważniejsze jest to, żeby nie wykluczać doświadczenia osób nieheteroseksualnych, bo ono jest przecież częścią doświadczenia naszego spo-



„Rudy”, Jan Bytnar, rocznik 1921. Wpadł w ręce gestapo w marcu 1943 r. Odbity m.in. przez „Zośkę” 26 marca, zmarł w Szpitalu Wolskim cztery dni później.

łeczeństwa. Nauczyć się rezygnować z binarnego myślenia o homoseksualności jako rzeczywistościach zupełnie do siebie nieprzystających, gdzie niemoralność zarezerwowana jest dla jednej strony, a bohaterstwo i moralność dla drugiej.

Trzeba głośno mówić, że byli homoseksualni bohaterowie polski okupacyjnej. Pokazać, że między światem patriotyczno-narodowo-katolickim i mówiąc najogólniej, światem seksualnych odmieńców nie stoi mur. Te światy się po prostu przenikają.

MAREK SKORUPIŃSKI/FORUM



Marek Edelman

SZTUKA Superbohater z getta

Szary mur, szara cegła, a na jej tle wąsaty brunet z żółtym żonkilem w ręku, symbolem pamięci o powstaniu w getcie warszawskim, którego 70. rocznicę świętujemy. Niżej napis „Najważniejsze jest życie, a kiedy już jest życie, najważniejsza jest wolność. A potem oddaje się życie za wolność...”. Na warszawskim Muranowie powstał mural przedstawiający Marka Edelmana (1919–2009), jednego z przywódców powstania i kardiologa. Autorem muralu jest Dariusz Paczkowski, znany artysta i działacz społeczny z Żywca. To on pod koniec lat 80. stworzył ikonę polskiego ruchu wolnościowego – Lenina z czerwonym irokezem. Najnowsze dzieło można oglądać na budynku przy ul. Nowolipki 9 b. – Chciałbym, żeby stał się superbohaterem dla młodych – powiedział o Marku Edelmanie Dariusz Paczkowski. → eb

AKCJA Symbol zdrowia i grzechu

Ta przydługa zima prawie nas wykończyła. Najwyższy czas na nowy ładunek energii. „Kulisty owoc jabłoni o soczystym i chrupkim mięszu” – w taki poetycki sposób opisuje symbol grzechu Wikipedia – zawiera między innymi witaminę C, węglowodany i dużą ilość błonnika. Niedawno wysłannicy portalu www.hellozdrowie.pl wyszli na polskie ulice i częstowali przechodniów jabłkami. Rzucili również wyzwanie do pobicia „applerekordu”. Zachęcają do jedzenia jednego jabłka dziennie i opisywania w kreatywny sposób kolejnych etapów zabawy.



123RF

Na jej uczestników czekają atrakcyjne nagrody. „Pestka została rzucona”, zegar tyka, konkurs o zdrowie trwa do 27 kwietnia do godz. 10.00. → eb



OBYCZAJE Podziel się i zaufaj

Sprawdzamy rachunki, wyciągi bankowe, billingi telefoniczne. Umowy obwarowujemy mnóstwem zabezpieczeń. Wymyślamy teorie spiskowe. Coraz mniej sobie wierzymy. Akcja „Zawieszona kawa” wyraża empatię i przy okazji uczy zaufania. Chodzi o to, żeby zapłacić np. za dwie kawy, wypić jedną, a drugą zostawić dla kogoś, kto z chęcią by coś wypić, ale go na to nie stać albo po prostu miał szczęście i trafił na „zawieszony” cappuccino. Trzeba tylko zaufać właścicielowi miejsca, że rzeczywiście odda komuś wykupioną wcześniej kawę, i nie węszyć podstępnie. To, kto odbiera, nie jest ważne, w tej zabawie liczy się sama chęć dawania. Kawa jest tylko symbolem. – Ludzie dzielą się też herbatą, czasem zupą – mówi „Przekroju” Aleksander Każurin, kijowianin, inicjator akcji w Polsce. O opisanym przez Luciano De Crescenzo w książce „Il caffè sospeso” neapolitańskim zwyczaju opowiedział w lutym zeszłego roku dwóm warszawskim klubokawiarniom – Kafce i Grawitacji. – Głośno zrobiło się niedawno. Ktoś zamieścił na jednym z portali społecznościowych listę miejsc, w których można dzielić się kawą. Wtedy zaczęły przyłączać się inne. Akcja stała się modna – opowiada Aleksander Każurin. Obecnie mieszka on w Krakowie i zajmuję się informatyką. Ma pomysł na inny projekt społeczny, na razie go zdradza, ale liczy na to, że pozna 12 tys. fanów, których ma „Zawieszona kawa” na Facebooku, pomoże im go zrealizować. → eb



TEATR WST po rewolucji

18 marca rozpoczną się 33. Warszawskie Spotkania Teatralne, jeden z najstarszych i najważniejszych festiwali teatralnych w Polsce. WST po ośmioletniej przerwie reaktywował w 2008 r. Maciej Nowak, dyrektor Instytutu Teatralnego, który zmiejsca zrobił ze Spotkań przegląd twórczości najgorętszych teatralnych nazwisk w kraju. Bilety wyprzedawano na pniu, o teatrze pisały i mówiły największe media, a klub festiwalowy był epicentrum życia warszawskiego stolicy. Rozbudowywano sukcesywnie festiwal o Małe WST (najciekawsze spektakle dla dzieci), Polish Theatre Showcase (specjalne pokazy dla krytyków i szefów teatrów z zagranicy) i ostatnio nurt TANIETEC (pokazy tańca współczesnego). Po zeszłorocznym odbywającym się podczas WST głośnym proteście „Teatr nie jest produktem/Widz nie jest klientem” Hanna Gronkiewicz-Waltz odebrała Maciejowi Nowakowi prawo do organizowania festiwalu i przekazała je Tadeuszowi Słobodziankowi, nowemu dyrektorowi Teatru Dramatycznego. Kuratorem 33. edycji mianował on Jacka Rakowieckiego, który stworzył mało podniecający program. Warszawskie Spotkania Teatralne przestały być sexy. Zamiast radości jest wielka smuta. Czy na wyrost? Przekonamy się niebawem. → Mike Urbaniak

MUZYKA

Bilety tylko dla bogaczy

„Wrong” – tytułem piosenki z płyty „Sounds of the Universe” określili polscy fani Depeche Mode poczynania organizatora koncertu, który odbędzie się w lutym 2014 r. w łódzkiej Atlas Arenie. Kosztujące 385 zł „golden circle early entrance” noszą miano „oferty dla prawdziwych fanów” i uprawniają do wcześniejszego wejścia na imprezę. „Wejściówki osiągają ceny oderwane od realiów gospodarczych i zasobności portfeli Polaków. Przykładowo, w porównaniu z poprzednimi koncertami Depeche Mode w Łodzi ceny biletów wzrosły niemal o 100 proc.” – ogłosili zbulwersowani fani Depeche Mode i obiecali, że na pewno nie zapłacą za VIPowskie zaproszenia. Tymczasem najtańsze bilety na koncert Paula McCartneya, który odbędzie się 22 czerwca na Stadionie Narodowym, kosztują 242 zł, a najdroższe 1100 zł. Co na to zagorzali fani eks-Beatlesa? → eb



OBYCZAJE Przestrzenie gwaru

Hałas, jaki generują imprezowicze, od lat wprawia w irytację warszawiaków, którzy mieszkają w pobliżu rozrywkowych miejsc. Wzywają straż miejską i skarżą do sądu. Z drugiej strony właściciele klubokawiarni narzekają, że takie skargi blokują życie kulturalne stolicy i gaszą zapał do organizowania imprez. Z ich inicjatywy, a także samych władz miasta, od września zeszłego roku odbyło się już kilka spotkań dotyczących tego problemu, a będzie więcej – wiceprezydent Warszawy Michał Olszewski zapowiedział rozpoczęcie dyskusji na temat tego, które miejsca w mieście mogą być określone jako „przestrzenie gwaru”. Michał Borkiewicz (z klubu

Powiększenie, Plan B, Barka i Plac Zabaw) wyjaśnia, że formalnie nie można obecnie wyznaczyć „stref bez ciszy nocnej”, ponieważ sama cisza jest umową społeczną. – Chodzi o to, żeby za normę przyjąć to, że miasto żyje i powinno żyć również w nocy – mówi. Wiceprezydent ma wyznaczyć adres, pod który mieszkańcy będą mogli kierować swoje uwagi i skargi, ale obiecuje, że nie uśpi stolicy. – Ważne, że miasto zauważyło, że klubokawiarnie są miejscami kulturotwórczymi. Wspólnie, drobnymi krokami tworzymy „kodeks drobnych praktyk” – dodaje Przemysław Dziubłowski z klubu Sztuki & Sztuczki i Cud nad Wisłą. → eb

GADŻETY

Dieta czipowa

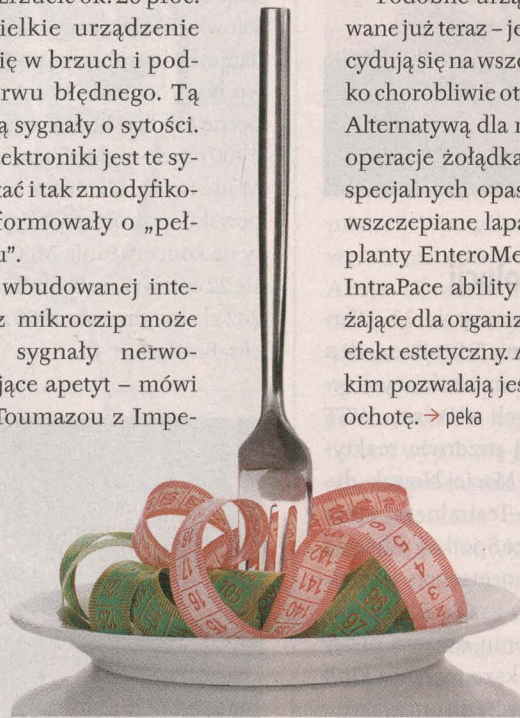
Odchudzić się bez wyrzeczeń, hektolitrow potu na siłowni i żalowania sobie każdego kęsa? Proszę bardzo – mówią naukowcy, którzy opracowali elektroniczne implanty hamujące uczucie głodu. Testy pokazały, że pozwalają one zrzucić ok. 20 proc. wagi. Niewielkie urządzenie wszczepia się w brzuch i podłącza do nerwu błędnego. Tą drogą biegną sygnały o sytości. Zadaniem elektroniki jest te sygnały odczytać i tak zmodyfikować, aby informowały o „pełnym żołądku”.

– Dzięki wbudowanej inteligencji nasz mikroczip może modulować sygnały nerwowe kontrolujące apetyt – mówi prof. Chris Toumazou z Impe-

rial College London, jeden z twórców urządzenia.

– Nie musi to być koniecznie informacja o tym, żeby całkiem przestać jeść. Być może zamiast szybkiego polykania wystarczy sygnał „jedz wolniej”.

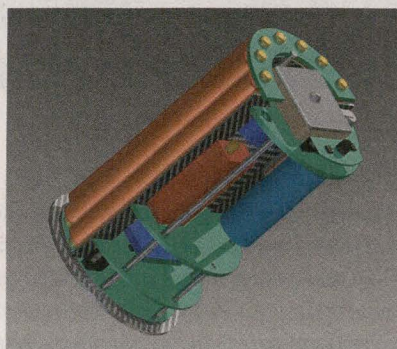
Podobne urządzenia są oferowane już teraz – jednak lekarze decydują się na wszczepianie ich tylko chorobliwie otyłym pacjentom. Alternatywą dla nich są poważne operacje żołądka lub zakładanie specjalnych opasek. Tymczasem wszczepiane laparoskopowo implanty EnteroMedics Vbloc oraz IntraPace ability są mniej obciążające dla organizmu i dają lepszy efekt estetyczny. A przede wszystkim pozwalają jeść tyle, ile mamy ochotę. → peka



123RF

NAUKA

Licealiści na orbicie



Ośmioro uczniów z V Liceum Ogólnokształcącego w Krakowie i Liceum Ogólnokształcącego w Andrychowie (grupa Kraksat) stworzyło model sondy kosmicznej. W założeniu ma ona wyruszyć na nową planetę i badać, czy mógłby tam przeżyć człowiek. Model prezentowany był na zakończonym w niedzielę w Holandii konkursie „Cansat”, którego organizatorem była Europejska Agencja Kosmiczna.

– Naszym celem jest zebranie danych na temat różnych parametrów w czasie lotu, spadku i lądowania. Chcemy się dowiedzieć, czy człowiek może przetrwać na tej planecie i jak bardzo byłoby to niebezpieczne – mówi Michał Gumiela, licealista i szef zespołu Kraksat. Zaprojektowana przez zespół sonda kosmiczna będzie wielkości puszki o pojemności 0,33 l. Jej obudowa została wykonana z włókna węglowego, a dolną i górną przykrywkę wydrukowano na drukarce 3D. Partnerem licealistów, który udzielił im finansowego wsparcia, a także zapewnił transport drużyny na miejsce odbywania się zawodów, był krakowski Comarch. → dwol

PRZEKRÓJ numer 15

Mariusz Ziomecki

Margaret Thatcher: intuicja i autyzm



FRANEK MAZUR

Zimna wojna zakończyła się bez wielkiego grzyba między innymi dzięki temu, że ta zagorzała antykomunistka polubiła kandydata na nowego lidera ZSRR.

„Złomiarze się zainteresują” – ta żartobliwa reakcja młodej osoby, której puściłem esą o śmierci Żelaznej Damy, pokazała mi, jak szybko ludzie władzy, nawet giganci epoki, blakną w głowach obywateli. I ile – na szczęście! – jest w elektoracie zdrowego dystansu wobec hagiografii, jaka odruchowo wylewa się z mediów, kiedy wiecy odchodzą z tego świata.

Margaret Thatcher była jednym z architektów ostatnich dwóch dekad XX stulecia. Historia pewnie posadzi ją w jednym rządzie z Ronaldem Reaganem i Gorbaczowem, a (po ich najdłuższym życiu) niedaleko Nelsona Mandeli i naszego Wałęsy. Celebrowano ją jako jedną z ikon współczesnego konserwatyźmu, a taki status sprzyja tworzeniu klisz. Oto kobieta reformator, która miała przywrócić zdrowie brytyjskiej gospodarce, egzorcyzmując z niej szatana socjalizmu. I kobieta wojownik, która nie pozwoliła argentyńskiej juncie zająć brytyjskich Falklandów i – obok Ronalda Reagana – najdzielniej zwalczała radzieckie Imperium Zła (to rosyjski komentator nazwał ją „Żelazną Damą” po jednej z jej tyrańskich polityk przeciwko polityce Kremla). Część z tej narracji nawet odpowiada prawdzie, tyle że jej bohaterka nie mieściła się w żadnych prostych ramach, a świat jest ciut bardziej skomplikowany.

Brytyjska gospodarka w latach 70., szczególnie w drugiej połowie dekady, prezentowała się nieciekawie. Dławiła ją biurokracja, obciążał przerośnięty sektor państwowy, a związki zawodowe, z wojowniczymi górnikami na czele, wymuszały coraz to nowe przywileje dla swoich członków. Kolejne rządy nie potrafiły się temu przeciwstawić (brzmi znajomo, prawda?), państwo się zadłużało i stale podnosiło podatki, by mieć na puchnące wydatki socjalne. Recesja goniła recesję, rosło bezrobocie i ceny ropy narzucały przez arabski kartel OPEC. Inflacja urwała się z uwięzi.

W Europie Zachodniej, i w Stanach rządy były bezradne. Sprawdzone recepty nagle przestały działać. Z dzisiejszej perspektywy widać, że głębsze przyczyny smuty lat 70. były poza zasięgiem doraźnej polityki. Wyczerpało się polityczne i technologiczne paliwo długiej powojennej koniunktury, która w latach 60. przyniosła bezprecedensowy wzrost bogactwa Zachodu. Potrzebne były nowe impulsy, rewolucyjne technologie z komputerową na czele, globalizacja i trochę zdroworozsądkowych reform, żeby machina dobrobytu rozkręciła się ponownie w latach 80.

Autor jest redaktorem, dziennikarzem, publicystą, biznesmenem. U nas pisze o cywilizacji.

Historyczną zasługą Margaret Thatcher i Ronalda Reagana jest to, że wykonali swoją część zadania. To nie był czas dla konwencjonalnych ucieczki politycznych kompromisów. Zmiany musiały boleć, wymagały uporów i wiary w kapitalistyczne pryncypia. Oboje stanęli na wysokości zadania, politycznie utworowali drogę reformatorom wśród ekonomistów, przepchnęli umiarkowane w istocie zmiany przez niechętne ciała ustawodawcze. Prorynkowe reformy zadziałały, choć z nieznośnym dla polityków opóźnieniem.

Półtora roku po wprowadzeniu się przez Thatcher na Downing Street 10 sytuacja gospodarcza Wielkiej Brytanii pozostawała rozpaczliwa, polityczną skórę pani premier uratowała niespodziewana wojna o Falklandy (tak się jakoś złożyło, że gdy jesienią 1983 r. Stany, mimo reform Reagana, wciąż tkwiły w recesji, prezydent kazał najechać Grenadę na Karaibach. I też pomogło...).

Pierwsza w historii kobieta premier Wielkiej Brytanii budziła skrajne emocje. Oxford odmówił jej honorowego doktoratu. Zatopienie starego argentyńskiego krążownika przez brytyjski atomowy okręt podwodny, co kosztowało życie ponad 300 młodych ludzi, wielu, nie tylko w Argentynie, do dziś uważa za wojenny mord. Jednocześnie na trwałe zmieniła brytyjską politykę; bez niej nie byłoby Blaira i jego „nowej lewicy” z realistycznym programem gospodarczym.

Miała przekonania tak silne, że potrafiła jednym przemówieniem odwrócić przebieg partyjnego zjazdu. I bezcenne błyski intuicji. Zimna wojna zakończyła się bez wielkiego grzyba między innymi dzięki temu, że ta zagorzała antykomunistka polubiła kandydata na nowego lidera ZSRR („I like Mr Gorbachov. We can do business together”), a potem ułatwiła mu kontakty z Reaganem. A jednocześnie bywała wręcz autystyczna. Upierała się np. przy poll tax, katastrofalnym projekcie zastąpienia podatku od nieruchomości pogłównym, gdzie para mieszkańców pałacu z parkiem płaciłaby tyle samo co para emerytów w małym mieszkanku.

Doprowadzała tym autyzmem torysów do rozpacz. Została obalona w przewrocie pałacowym. Nigdy się z tym nie pogodziła. ☹

123RF

TECHNOLOGIA

Chłopaki, jakie macie konsole?

Posiadacze konsoli do gier Microsoft Xbox 360 są najlepszymi kochankami. No, może nie najlepszymi – w każdym razie lepszymi od tych z Nintendo Wii. W łóżku najgorzej wypadają ci z Sony PlayStation 3 i posiadacze pecetów.

Pomysł przebadania partnerek graczy jest oryginalnym wkładem w seksuologię firmy VoucherCodesPro. Zleciła ona przepytanie ponad 1,7 tys. osób w Wielkiej Brytanii – miały ocenić m.in. satysfakcję z seksu. Najwięcej ocen doskonałych i dobrych (odpowiednio 22 i 54 proc.) zdobyli posiadacze Xboxa. Nieco mniej, bo tylko 47 proc., ocen dobrych dostali gracze z Nintendo Wii. To i tak niezłe w porównaniu z graczami pecetowymi: „doskonałych kochanków” widzi w nich zaledwie 3 proc. partnerek.

Ogólne wnioski z badania nie są jednak pocieszające dla graczy. Jedna czwarta pań uznała ich umiejętności za przeciętne, a jedna piąta uważa wręcz, że są one rozczarowujące. W tej sytuacji nie powinno dziwić, że 11 proc. pań życzyłaby swoim partnerom „więcej grania, mniej seksu”. → peka

ROZMAWIA ANNA GWOZDOWSKA

Walczący z cieniem

Po śmierci Hugo Chaveza, Henrique Capriles Radoński, wenezuelski polityk polskiego pochodzenia, zyskał drugą szansę i znów kandyduje na prezydenta. Kiedy zamykaliśmy ten numer „Przekroju”, wyniki wyborów nie były jeszcze znane, ale jak przekonuje **prof. Jacek Perlin**, niezależnie od tego, czy wygra, o 40-letnim Radońskim będzie jeszcze głośno.



JACEK PERLIN

Językoznawca, profesor w Instytucie Studiów Iberyjskich i Iberoamerykańskich UW, były ambasador RP w Wenezueli (1998–2002) i w Kolumbii (2008–2012).

Jako ambasador RP w Wenezueli poznał pan polską babkę Henrique Caprilesa Radońskiego. Podobno wiele jej zawdzięcza?

Nazywała się Bochenek, po mężu Radońska, stąd drugie, polsko brzmiące nazwisko obecnego kandydata na prezydenta. W Ameryce Łacińskiej po ojcu nosi się pierwsze, a po matce drugie nazwisko. Kobiety go nie zmieniają, dlatego Radoński nosi nazwisko po polskim dziadku. Miał z babcią doskonale relacje. Wywarła duży wpływ na jego wychowanie, choć nie nauczyła go mówić po polsku. Trudno się zresztą dziwić. Radoński to Wenezuelczyk w trzecim pokoleniu, a język polski jest w Ameryce Łacińskiej zupełnie nieprzydatny. Radoński jest przede wszystkim Latynosem, ale odziedziczył po rodzicach i dziadkach przynajmniej wiedzę o ich kraju. Z pewnością orientuje się, gdzie leży Polska (śmiech).

Dodajmy, że dziadkowie ze strony matki Radońskiego urodzili się przed wojną w Polsce. Babka pochodziła z rodziny żydowskiej. W czasie wojny znalazła się w warszawskim getcie, skąd wyciągnął ją jej przyszły mąż, działający wtedy w podziemiu.

Poznałem babcię Radońskiego osobiście, bo pod koniec lat 90., po upadku komunizmu w Polsce, przychodziła od czasu do czasu do ambasady, żeby porozmawiać po polsku. Widocznie tęskniła za językiem ojczystym. Była bardzo miłą panią, dlatego zawsze prosiłem urzędników, żeby prowadzili ją do mnie. W końcu zaczęła przychodzić już tylko do mnie. Opowiadała mi trochę o historii rodziny, ale nie lubiła mówić o czasach

wojennych. Chciała się jak najwięcej dowiedzieć o tym, jak teraz jest w Polsce. Ciekawiła ją transformacja. Przez wiele lat, za czasów komuny w Polsce, podobnie jak większość wenezuelskiej Polonii, bojkotowała ambasadę. Kiedy więc komunizm upadł, nadrabiała zaległości.

Czy wenezuelska Polonia czuje się wciąż związana z Polską?

To w 80 proc. Polacy pochodzenia żydowskiego. W większości przyjechali tuż po wojnie, bo do 1948 r. granice Polski nie były jeszcze zamknięte. Jeśli oboje rodzice byli Polakami, to dzieci z reguły mówiły po polsku. Wnuki już nie. Za czasów PRL-u polski paszport to był kłopot, dziś po wejściu Polski do UE nabrał wartości i kontakty są częstsze, ale spotykałem też polonusów pochodzenia żydowskiego, którzy nigdy nie tracili kontaktu z ojczyzną.

Po wojnie babka Radońskiego razem z mężem próbowali w Polsce prowadzić kino. Kiedy jednak zorientowali się, że trudno będzie im utrzymać prywatny biznes, zdecydowali się wyjechać.

To była chyba bardziej decyzja jej męża, ale chociaż Radońska nie była osobą rozpolitykowaną, jej poglądy były wyraźnie antykomunistyczne. Sądzę, że miała pod tym względem wpływ na poglądy wnuka.

Kiedy jednak słucha się go na wiecach wyborczych, brzmi jak zwolennik opcji centrolewicowej. Dużo mówi o postępie.

Nie może być prawicowy, bo nie udało mu się odebrać głosów rywalowi. Ni-

colas Maduro, były kierowca autobusu, został przecież namaszczonej przez samego Chaveza. Nieżyjący przywódca Wenezueli wprawdzie zarzekał się, że nie jest komunistą, ale niewątpliwie był socjalistą. Mawiał, że buduje socjalizm boliwariański XXI wieku, cokolwiek by to znaczyło. Jego strategia polegała głównie na nacjonalizacjach wenezuelskiego przemysłu. Nie był jednak do końca dyktatorem, bo pozwalał Wenezuelczykom podróżować. W każdym razie Radoński musi być centrowy i umiarkowany, żeby wygrać. Kiedy jednak byłem ambasadorem, uchodził jeszcze za prawicowca. Jego poglądy ewoluowały, bo pogłębiały się też podziały w Wenezueli. Oczywiście wiadomo, że przeciwnicy Chaveza będą głosować na Radońskiego, ale to tylko 40 proc. populacji. Radoński, żeby wygrać, musi przyciągnąć głosy wyznawców kultu Chaveza.

Z Chavezem w ub. roku przegrał. Z Maduro pójdzie mu łatwiej?

Maduro zdobywa poparcie dzięki legendzie Chaveza, który był pierwszym niebiałym prezydentem w historii Wenezueli i w którego żyłach płynęła krew indiańska, murzyńska i biała. Chavez był niezwykle charyzmatycznym przywódcą. Co do tego nie ma wątpliwości, choć pewnie w Europie byłby odbierany jako osoba niepoważna. Tak jak on w Europie się nie przemawia. Nikt u nas nie zniósłby ośmiu godzin telewizyjnej transmisji przemówienia prezydenta w czasie, kiedy miał iść mecz baseballa (w Wenezueli popularny

Na ostatnim przedwyborczym niedzielnym wiecu w Caracas, Caprilesa Radońskiego oklaskiwały rekordowe tłumy, a jego szanse na wygraną podobno rosły. W czasie kampanii wspominał polską babkę, Lili Bochenek (zdjęcie poniżej), która miała olbrzymi wpływ na jego wychowanie.



VENEZUELASOMOSTODOS.COM

jest baseball, a nie piłka nożna – red.). Zresztą z podobnych przyczyn korpus dyplomatyczny wspomina Chaveza z mieszanymi uczuciami. Od czasu do czasu wzywał do parlamentu dyplomatów i kazał na siebie czekać dwie godziny, a potem wygłaszał sześciogodzinne przemówienie! Radoński jest jednak bardziej europejski.

Ale kiedy przemawia, zdarza mu się płakać. To mało europejskie.

Musi przyjąć obowiązujący w Ameryce Łacińskiej styl. Tam polityk powinien być złotousty i przemawiać z pasją. W Europie odbierano by takie wystąpienia jako groteskowe, z kolei Latynosom politycy europejscy wydawaliby się bezbarwni i nudni.

Radoński jest żarliwie religijny i nie kryje się z tym. Czy to swoisty PR, bo Ameryka Łacińska jest generalnie katolicka i gorzej wyszedłby na przyznawaniu się do pochodzenia żydowskiego?

Jego religijność może być autentyczna, tym bardziej że Wenezuela jest dość złaicyzowana. Radoński nie musi jakoś specjalnie udawać, żeby przypodobać się wyborcom. Tam kościoły nie są tak pełne jak w Polsce. Z kolei, gdyby

się przedstawiał jako Żyd, nie wygrałby wyborów. Choć trzeba też przyznać, że w Wenezueli antysemityzm jest słabodowy, mimo że próbował go z mierzonym skutkiem wprowadzić do polityki Chavez.

Radoński może dziś uchodzić za polityka umiarkowanego, ale nie bez powodu jego przeciwnicy polityczni nazywają go burżujem.

Rzeczywiście. Pochodzi z zamożnej rodziny. Do niedawna, tzn. do czasów sprzed rządów Chaveza, za których wszystko nacjonalizowano, firma jego dziadków, Cadena Cinex, prosperowała bardzo dobrze.

Mógłby być idealnym białym prezydentem dawnej Wenezueli?

Jego żelazny elektorat składa się z klasy średniej i wyższej, potomków europejskich emigrantów. Europejczycy: Włosi, Hiszpanie i Portugalczycy przyjeżdżali do Wenezueli jeszcze w latach 70., w czasie pierwszego boomu naftowego. To był wtedy bardzo bogaty kraj, ale trzeba pamiętać, że Wenezuela była też wtedy państwem olbrzymich nierówności społecznych, ogromnie klasowym. Pogarda bogatej elity dla biedoty

była czymś niewyobrażalnym. Pamiętam przyjęcie, które zorganizowałem w rezydencji ambasadora. Zaprosiłem m.in. zatrudnionych w ambasadzie sprzątaczkę z mężem i kierowcę. Przyšli także goście z klasy średniej.

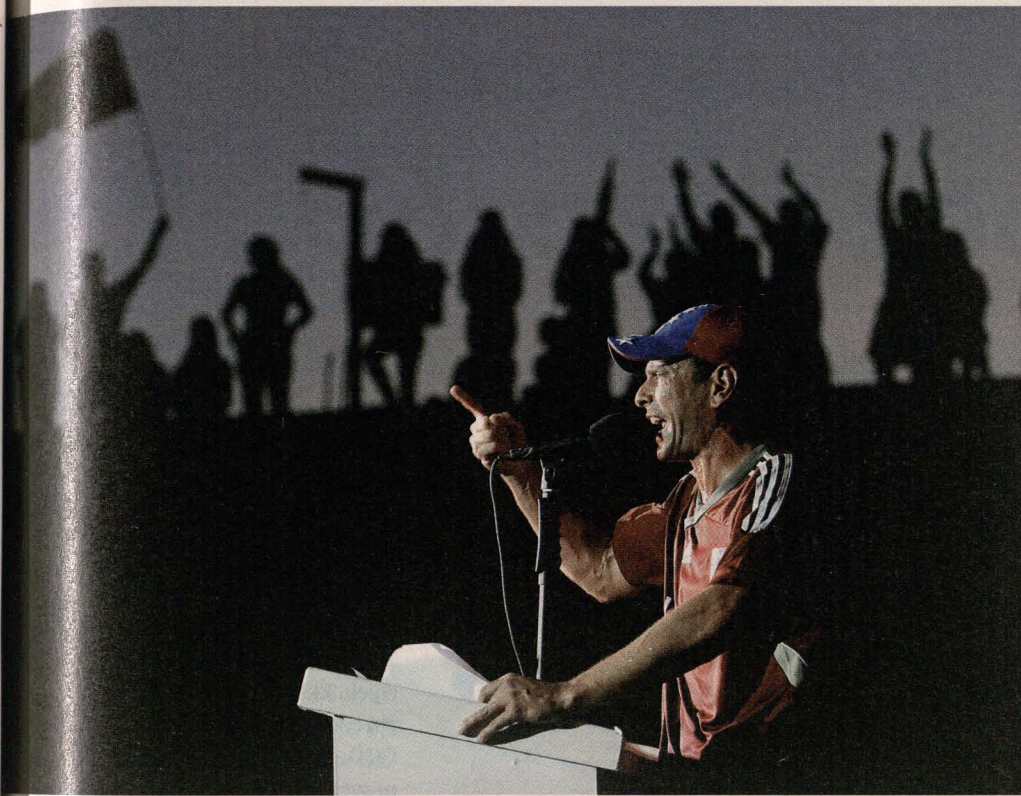
W pewnym momencie jedna z zaproszonych pań zarzuciła mi, że tańczyła z taksówkarzem, a przecież jego miejsce jest w kuchni. I wyszła – ona i całe tzw. lepsze towarzystwo. Jeśli więc biedniejsi wyborcy kojarzą Radońskiego z klasą wyższą, będzie mu trudno wygrać. Choć z drugiej strony nie jest też prawdą, że wszyscy biedni Wenezuelczycy są zwolennikami Chaveza. Wielu z nich widzi, że sprawy gospodarcze idą w złym kierunku, że Chavez rujnował kraj, zamykał fabryki, pozbawiał ludzi pracy, a równocześnie rozdawał Kubańczykom ropę, którą oni później zyskiem sprzedawali. W Wenezueli już nic się dziś prócz ropy nie produkuje. Importuje się nawet 80 proc. konsumowanej żywności. Tymczasem kiedyś Wenezuela była samowystarczalna. Dlatego, kiedy Radoński zapowiada na przykład, że wyrzuci kubańskich doradców z armii wenezuelskiej, to myślę, że te hasła mogą się podobać. Wenezuelczycy wiedzą, co się dzieje na Kubie. Radoński może wygrać, choć większe szanse ma z pewnością Maduro. Ale jeśli przegra, wszystko przed nim, bo jest przecież jeszcze młody. W końcu Lula został prezydentem Brazylii dopiero za czwartym razem.

Poznał pan Radońskiego?

Tak, spotykałem go kilkakrotnie, ale wyłącznie w sytuacjach oficjalnych. Był wtedy bardzo młodym burmistrzem jednej z ważniejszych dzielnic Caracas. Pierwsze wrażenie? Przystojny. Podobał się kobietom.

Dlaczego więc kandydat na prezydenta latynoskiego kraju wciąż nie ma u boku żony?

To nie przysparza mu głosów. Byłoby lepiej, gdyby miał żonę, dzieci i opinię kobicciarza. To w końcu Ameryka Łacińska. Pod tym względem Chavez, w tej typowo latynoskiej roli, spełniał się doskonale. ☞



LEO RAMIREZ/AFP

JERZY ZIEMACKI

Świat bez pszczół

Z każdym rokiem ich ubywa. **Wkrótce mogą zupełnie wyginąć.** Czy czeka nas jedna z największych ekosystemowych katastrof w historii ludzkości?

Od początku XXI w. pszczoły miodne w Europie i Ameryce Północnej wymierają w zastraszającym tempie. Szacuje się, że w Europie straciliśmy już 20 proc. populacji tego gatunku. W Stanach Zjednoczonych mogła paść nawet co trzecia pszczoła. Jeśli ich zabraknie, rolnicy będą zmuszeni do sztucznego zapylania, a to radykalnie podniesie koszty produkcji: za ciężką pracę, którą pszczoły wykonują za darmo, trzeba będzie zapłacić. Ile?

Szacuje się, że każdego roku pszczoły, te najbardziej pracowite stworzenia świata, wykonują dla człowieka robotę wartą 265 mld euro. Bez pszczelich roboczogodzin za kilogram jabłek czy truskawek przyjdzie nam zapłacić co najmniej kilkadziesiąt złotych. Migdały, które i dziś kosztują немало, byłyby pokarmem wyłącznie dla bogaczy. Skoczyłyby ceny przetworów mlecznych: jogurtów, serów, masła. Również ceny mięsa, ponieważ pszczoły mają swój udział w hodowli paszy dla zwierząt rzeźnych.

BBC szacuje, że od 1985 r. w Wielkiej Brytanii mogło wyginąć nawet 50 proc. populacji pszczół miodnych. Jak piszą dziennikarze: „Wymieranie pszczół to jedno z najbardziej kontrowersyjnych zjawisk nowoczesnej agrokultury”.

Paraliż pszczół

W 2000 r. w Izraelu odnotowano pierwsze przypadki masowego wymierania pszczół. W próbkach laboratoryjnych odnaleziono wirus, który nazwano „wirusem izraelskiego paraliżu”. Wirus ten atakował układ nerwowy pszczół do-

prowadzał do dezorientacji, odrętwienia i w efekcie do śmierci. W ten sposób padły całe roje na wybrzeżu Izraela.

Podobne zjawisko zaobserwowali hodowcy w USA. Tajemnicze wymieranie rojów nazwali „chorobą majową”. Problem dotyczył początkowo kilku stanów: Florydy, Północnej Karoliny i Pensylwanii, ale szybko rozprzestrzenił się na 35 innych stanów, docierając do Kalifornii. Amerykańscy farmerzy stracili miliony, jeśli nie miliardy dolarów. Teraz domagają się od władz federalnych interwencji i proszą o pomoc.

W 2006 r. amerykańscy eksperci po raz pierwszy ustalili pewne fakty dotyczące zagłady pszczół. Nazwali zjawisko masowego wymierania pszczół: CCD, Colony Collapse Disorder, czyli zespół masowego ginięcia. Ustalono, że pszczoły w Europie i USA zachowują się inaczej niż w ostatnich tysiącach.

Kryzys społeczny

Te inteligentne stworzenia zawsze stanowiły doskonały przykład społecznych instynktów zwierząt. Żyjące w dużych koloniach (20–80 tys. osobników), budują imperium z własną królową, robotnicami i strażą przyboczną. Każda pszczoła ma swoje miejsce w hierarchii. W królestwie rządzi harmonia. Pszczoły porozumiewają się za pomocą tańców, dźwięków i feromonów. W ten idealny świat wdarł się jednak chaos. U pszczół zaobserwowano zmniejszoną aktywność, gorszą opiekę nad czerwiem, zanikanie instynktu przetrwania, problemy z orientacją w terenie, brak apetytu, spadek inteligencji (eksperci mówią o „problemach w uczeniu się” i „problemach z pamięcią”).

Co sprawia, że pszczoły zachowują się w tak dziwny sposób? Do tej pory nie było jasnej odpowiedzi. Wskazywano na wirus izraelski, zmiany klimatyczne, modyfikowane genetycznie rośliny, a nawet używanie telefonów komórkowych. Eksperci opisali objawy choroby pszczół, postawili diagnozę pod nazwą CCD. Ale nie ustalili jednoznacznie przyczyny masowej dezintegracji.

W 2011 r. brytyjski dziennik „The Independent” wywołał medialną burzę publikacją raportu francuskich chemików. Pismo, powołując się na naukowe doświadczenia, udowodniło, że za śmierć pszczół odpowiedzialne są chemikalia stosowane przez rolników. Konkretnie: imidakloprid, składnik środków owadobójczych. Teza była jasna: pestycydy zabijają pszczoły. Gazeta oskarżyła o katastrofę ekologiczną w pierwszej kolejności firmy przemysłu agrochemicznego, m.in. Bayera. To właśnie przez kontakt z chemikaliami, który następuje podczas zapylania, pszczoły tracą swoje odwieczne instynkty. Wniosek był oczywisty: trzeba natychmiast zakazać używania zabójczych pestycydów. W drugiej kolejności skrytykowano rządy państw, które chętnie współpracują z gigantami agrochemicznymi, lecz ignorują grożącą nam katastrofę ekonomiczną.

Zabójcza chemia

W 2012 r. kolejne badania potwierdziły, że pestycydy zawarte w środkach agrochemicznych poważnie szkodzą pszczołom: uszkadzają ich układ nerwowy, prowadzą do zaburzeń czynności fizjologicznych, w skrajnych przypadkach do ostrych zatruc, paraliżu

i śmierci. W Kanadzie w wyniku stosowania pestycydu o nazwie fenitroton wyraźnie spadła liczebność trzmieli i szerszeni, kolejnych ważnych zapylaczy. W konsekwencji obniżyła się produkcja borówki amerykańskiej. Kanadyjscy farmerzy wymogli na władzach wprowadzenie zakazu używania substancji zawierających fenitroton. Pomogło i już w następnym sezonie wszystko wróciło do normy. Europejscy ekolodzy chcą, aby Europa również wprowadziła zakazy i w ten sposób uratowała swoje rolnictwo.

„Populacje pszczół i innych owadów zapylających spadają na całym świecie, w szczególności zaś w Ameryce Północnej i Europie” – donosi w najnowszym raporcie organizacja Greenpeace. Twórcami raportu są eksperci z University of Exeter. Dokument został zaprezentowany w kwietniu bieżącego roku. Twórcy raportu przedstawiają dowody na to, że duże ilości środków chemicznych wykorzystywanych we współczesnym rolnictwie, przede wszystkim pestycydów, stanowią poważne zagrożenie dla wielu owadów,

szczególnie dla pszczół. W Polsce raport nosi nazwę: „Spadek populacji pszczół. Przegląd czynników zagrażających owadom zapylającym i rolnictwu w Europie”. Greenpeace sprzeciwia się postępującemu procesowi chemizacji rolnictwa i domaga się zakazów używania pestycydów. W swoim raporcie podkreśla też konieczność podliczenia dotychczasowych strat związanych z masowym ginięciem pszczół: „Istnieją poważne wątpliwości co do skali i zakresu tego zjawiska, wynikające głównie z niedostatku szeroko zakrojonych regionalnych i międzynarodowych programów badawczych”.

Co teraz?

Rok 2013 przyniósł przełom. Europejski Urząd ds. Bezpieczeństwa Żywności (EFSA) przedstawił raport, w którym po raz pierwszy oficjalnie wskazano na używanie pestycydów jako jedną z głównych przyczyn wymierania pszczół miodnych. Jednak twórcy raportu podkreślają, że przyczyn fatalnej sytuacji owadów jest więcej. Raport EFSA to krok naprzód w pracach nad

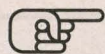
swoistą reformą rolną, która miałaby wyeliminować chemikalia z europejskiego rolnictwa. W zamian Unia Europejska mogłaby wprowadzić standardy modelu naturalnej agrokultury, a więc powrotu do starych, tradycyjnych, niechemicznych metod.

Setki lobbystów zjechały już do Brukseli, aby bronić interesów firm produkujących środki owadobójcze. Są skuteczni. Swój popis siły dali 15 marca. Odbyło się wtedy ważne głosowanie ws. zakazu używania niebezpiecznych pestycydów (wymienionych szczegółowo). Projekt poparło 13 państw, w tym Polska. Ale przeciwko wprowadzaniu zakazów używania groźnych chemikaliów było dziewięć państw. Najgłośniej protestowały Finlandia, Rumunia i Bułgaria, Wielka Brytania i Niemcy wstrzymały się zaś od głosu. Projekt nie przeszedł. W maju Unię Europejską czeka kolejne głosowanie w tej sprawie. Trwają rozmowy kularowe. Kolejne roje pszczół giną.

Jeżeli ten proces będzie postępował, czeka nas ekologiczny paraliż, który spowoduje kolejny kryzys ekonomiczny. ☹



PAUL-ANDRÉ COUMES/AFP



MICHAŁ FAL

Polaków pomnik własny

Niedawny spór o warszawski pomnik Sprawiedliwych, którzy ratowali Żydów w czasie okupacji, to tylko najnowszy akord toczącej się w Polsce od lat **wojny pomnikowej**. Wbrew obiegowej opinii ta walka nie dotyczy tylko przeszłości, ale też tego, jacy jesteśmy dziś. Tu i teraz.

Trudno nie odnieść wrażenia, że środowiskom żydowskim i filosemickim zależy na kultywowaniu antypolskich kłamstw o odpowiedzialności Polaków za Holocaust – pisał oburzony dziennikarz portalu Prawy.pl w reakcji na list otwarty, jaki wystosowali na początku kwietnia naukowcy z Centrum Badań nad Zagładą Żydów. Ten skierowany do mediów dokument był protestem przeciwko planom budowy pomnika Sprawiedliwych Polaków, którzy podczas wojny nieśli pomoc Żydom.

Badacze skupieni w Centrum wypowiedzieli się przeciwko pomysłowi, aby decyzję o tej skądinąd szczytnej inicjatywie ogłaszać akurat w 70. rocznicę wybuchu powstania w getcie, a sam monument budować w pobliżu Muzeum Historii Żydów Polskich. „Pomnik Sprawiedliwych wystawiony akurat w tym miejscu siłą rzeczy będzie odczytywany jako polemiczne uzupełnienie Muzeum, jako »polski suplement« do »żydowskiej« historii” – argumentowali naukowcy krytykujący tego rodzaju „rywalizację na cierpienie” obu narodów.

Barbara Engelking i inni pracownicy Centrum podkreślali, że stawianie pomnika „polskiemu heroizmowi” w miej-

scu „uświęconym krwią i męczeństwem setek tysięcy Żydów” byłoby niestosownym „triumfem narodowego samozadowolenia”. Uczeń uzasadniał swoją tezę twierdzeniem, że postawa Sprawiedliwych nie była w czasie okupacji w żadnym stopniu typowa dla ogółu Polaków. To wystarczyło, by wprowadzić polski Internet w stan wrzenia.

Na autorów posypały się gromy, wzywano ich do opamiętania, dyskutowano z ich tezami, a nieraz prostacko obrażano. I choć wszystko wskazuje na to, że sam list był przedczesny, bo warszawski ratusz oświadczył, że pomnik ma w rzeczywistości powstać w innym miejscu, widać wyraźnie, że spór jest daleki od zakończenia i wciąż budzi ogromne emocje.

Polityka zamiast prawdy

Dr Marcin Zaborski, politolog i wykładowca SWPS w Warszawie, obrazowo porównuje pomniki do znaków drogowych, które pomagają narodom poruszać się po krętych szlakach historycznej pamięci. – To one przypominają o powodach do dumy, ale też przestrzegają przed powtórzeniem wcześniej popełnionych błędów. Stają się miejscem świętowania i scenografią manifesto-

wania własnej tradycji czy tożsamości – tłumaczy.

Zaborski dodaje, że pomniki mówią wiele nie tylko o tych, którym są poświęcone, ale też o tych, którzy je współcześnie pielęgnują lub porzucają. – Miejsca te stają się papierkiem lakmusowym, dzięki któremu możemy zbadać stosunek społeczeństwa do wybranych fragmentów historii – mówi politolog.

Myliłby się jednak ten, kto sądzi, że spory i liczne po 1989 r. „pomnikowe wojny” toczne są w imię odnalezienia prawdy historycznej. Bo, jak podkreśla dr Zaborski, pamięć jest kategorią bardzo polityczną.

– Liderom partyjnym, przedstawicielom władzy czy środowisk ideowych zawsze będzie zależało na tym, by pewne elementy w pamięci społecznej utrwalić lub poddać mitologizacji, a inne zmarginalizować. Kiedy przeszłość staje się kartą przetargową w bojach politycz-

Pomniki mówią wiele nie tylko o tych, którym są poświęcone, ale też o tych, którzy je współcześnie pielęgnują lub porzucają.

Pomnik Bohaterów Getta w Warszawie. To obok niego miał stanąć pomnik Sprawiedliwych. Władze miasta wycofały się jednak z tej lokalizacji.





RADEK PASTERSKI

nych, nie zawsze idzie w parze z racjonalnością – ocenia politolog.

– Dla polityków pomniki są wyjątkowo łakomym kąskiem – mówi dr Lech Nijakowski, adiunkt w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego i wykładowca Collegium Civitas. – Poprzez swoją obecność w przestrzeni stają się nieustannym, ciągle nadawanym komunikatem. Jednocześnie politykom wygodnie jest się nimi posługiwać, bo nie wymaga to szczególnych kompetencji. Do bycia „ekspertem” od pomników i przeszłości wystarczy historyczna wiedza na poziomie gimnazjum – zauważa socjolog.

Niespokojny sen „czterech śpiących”

Ogromna polityczna moc pomników sprawiała, że zawsze w historii padały one ofiarą przewrotów ustrojowych lub obcych potęg przejmujących władzę nad innym krajem. Tak było w Polsce

Pomnik Braterstwa Broni (tzw. czterech śpiących) na placu Wileńskim w Warszawie. Wielu warszawiaków „czerwonego monumentu” na Pradze nie chce.

pod niemiecką i radziecką okupacją, a także podczas transformacji 1989 r. Zwijaniu się PRL towarzyszyła masowa likwidacja pomników i miejsc pamięci będących relikami poprzedniego systemu: według obliczeń znanego historyka prof. Marcina Kuli z całej Polski w ciągu czterech pierwszych lat istnienia III RP zniknęło ponad 2 tys. takich obiektów.

„Czyszczenie symbolicznej pamięci” nie było jednak totalne, tak jak totalne i w pełni radykalne nie było wynegocjowane przy Okrągłym Stole „zerwanie” z czasami PRL. Choć na warszawski bruk runął Dzierżyński, ze stolicy zniknęli też Gomułka, Marchlewski i Nowotko, liczne wzniesione w czasach realnego socjalizmu pomniki pozostały.

Jednym z nich był monument Braterstwa Broni w Warszawie, nazywany pomnikiem „czterech śpiących”. Choć w 1992 r. na fali „nowego” i on miał zniknąć, ostatecznie został i coraz bardziej wtapiał się w krajobraz Pragi. „Śpia-

cy” spali spokojnie aż do 2007 r., gdy w ramach planów przebudowy placu Wileńskiego pojawił się pomysł przeniesienia monumentu w mniej eksponowane miejsce. Realnego kształtu plan ten nabrał w 2010 r., gdy w ratuszu zapadła decyzja o budowie drugiej nitki metra. Na potrzeby budowy jednej z jego stacji konieczne stało się zdemontowanie pomnika.

Satysfakcja środowisk prawicowych, które od dawna nawoływały do oczyszczenia miasta z relikwii PRL, była jednak krótkotrwała. Okazało się, że „śpiący” powrócą na Pragę, a co więcej, pomnik zostanie poddany gruntownej (i kosztownej) renowacji. Mieszkańcy okolic placu rozpoczęli w tej sprawie protest. „Precz z komuną. Nie dla czterech śpiących” – głosił przygotowany przez nich transparent.

Z biegiem czasu opór przybierał na sile. „Ten pomnik komunistycznej propagandy, sprzeczny z historyczną

Miejsce historii – rozumianej w kategoriach oficjalnej wykładni – zajmuje pamięć. Ale nie jedna. Jest ich wiele, a do tego często są ze sobą sprzeczne.

rzeczywistością, jest dla Polaków symbolem serwilizmu i hańby” – głosiła podpisana przez prawie 4 tys. osób petycja skierowana do władz miasta.

Przeciwko „śpiącym” wystąpiły też środowiska kombatanckie i radni PiS. Próby zablokowania powrotu pomnika spełżyły jednak na niczym za sprawą głosów miejskich radnych z PO i SLD. Władze miasta zyskały też kolejny argument za tym, żeby pomnik znów stanął na Pradze: 72 proc. ankietowanych w miejskim sondażu warszawiaków opowiedziało się za jego powrotem na pl. Wileński. Przeciwnicy tego rozwiązania nie złożyli jednak broni i zaproponowali zastąpienie monumentu polskich i radzieckich żołnierzy pomnikiem zamordowanej przez UB łączniczki AK Danuty Siedzikówny „Inki”. Ich walka trwa.

Pomnikowe wojny

Spory o pomniki Sprawiedliwych i „czterech śpiących” są tylko dwiema bitwami w ogromnej pomnikowej wojnie, jaka toczy się na ziemiach polskich od 1989 r. U jej źródła tkwi odzyskanie przez Polaków wolności w domenie wspomnień. Obszary pamięci, które przez lata spowijało wymuszone milczenie, jak było np. w przypadku powstania warszawskiego, mogły w końcu ujrzeć światło dzienne.

Dr Zaborski zwraca jednak uwagę na nieoczywiste konsekwencje takiego „uwolnienia przeszłości”: – Miejsce historii – rozumianej w kategoriach oficjalnej wykładni – zajmuje pamięć. Ale nie jedna. Jest ich wiele, a do tego często są ze sobą sprzeczne, wykluczające się nawzajem – mówi. Te różne opowieści zaczynają ze sobą rywalizować na wol-

nościowych i pluralistycznych zasadach, co nieuchronnie prowadzi jednak do konfliktu.

– Pomniki zawsze wyrażają „właściwą”, „prawdziwą” tożsamość grupy, w imieniu której „przemawiają”. Są znakiem panowania nad danym terytorium, dlatego tak trudno stawiać je obok siebie – dodaje dr Nijakowski i tłumaczy, że nawet jeśli nikt nie wpisał w nie intencjonalnie polemicznego charakteru, monumenty toczą ze sobą symboliczną walkę.

Czasem kończyło się na szyderstwie, jak było w przypadku wysypu internetowej twórczości dotyczącej gigantycz-

nej figury Chrystusa w Świebodzinie. Innym razem kontrowersje okazywały się na tyle ostre, że dochodziło do rękoczynów i niszczenia pomników. Taki los spotkał nie tylko monument w Jedwabnem, ale i figurę Romana Dmowskiego w Warszawie, którą kilkakrotnie nieznanymi sprawcy oblali farbą. Światopoglądowe walki toczono też o pomnik Ukraińców z UPA w Hruszowicach, bolszewickich żołnierzy poległych w 1920 r. w Ossowie czy o miejsca pamięci o żołnierzach Wehrmachtu na Śląsku Opolskim. Nie można też zapominać o sporach wokół sposobu upamiętnienia katastrofy smoleńskiej, która choć wydarzyła

Pomnik Romana Dmowskiego w Warszawie. Nieznani sprawcy kilkakrotnie oblali go farbą.



ADAM RZEBICKI/FAEST NEWS

Kontrowersyjne pomniki w Europie

→ „BRĄZOWY ŻOŁNIERZ” W TALLINIE



PETRI KROHN/WIKIMEDIA

26 kwietnia 2007 r. władze stolicy Estonii postanowiły przenieść położony w centrum miasta pomnik Wyzwólcicieli Tallina wraz z ciałami pochowanych w jego okolicy radzieckich żołnierzy na wojskowy cmentarz. Wywołało to protesty rosyjskiej mniejszości, które w nocy przerodziły się w zamieszki. Zginęła jedna osoba, ponad 50 było rannych. Konflikt znacznie zaostrzył dyplomatyczne relacje między Rosją a byłą republiką radziecką.

→ AUSTRIACCY DEZERTERZY

We wrześniu 2009 r. w samym sercu Wiednia stanął pomnik upamiętniający austriackich żołnierzy, którzy w czasie II wojny światowej zdezerterowali z Wehrmachtu. W Austrii, w której spory o nazistowską przeszłość kraju wciąż są żywe, decyzja ta wywołała spore kontrowersje. Dla lewicy dezercerzy to bohaterowie, dla prawicy – zdrajcy. Po protestach skrajnie prawicowej partii FPÖ pomnik zdemontowano.

→ BULGARSKI SUPERMAN



W czerwcu 2011 r. nieznanymi sprawcami pomalowali stojący w Sofii pomnik Armii Czerwonej – „ucharakteryzowali” przedstawionych na nim żołnierzy na Supermana, Jokera i innych bohaterów ze świata amerykańskich komiksów. Dzieło opatrzone podpisem „Nadążajmy za czasem”. Akcja podzieliła Bułgarów – jedni uznali ją za profanację, inni za ciekawą artystyczną inicjatywę. Pomnik umyto, jednak incydent wywołał dyskusję o przyszłości radzieckich monumentów na terenie Bułgarii.

się niedawno, jest bardzo mocno uwikłana w dyskusje o istocie „polskiego losu”.

Mitycznie, heroicznie, narodowo

Pośród bitewnego zgłębku pomnikowych starć ostatnich 20 lat, w którym można było dosłyszeć głosy różnych opcji politycznych, regionalnych społeczności lub mniejszości etnicznych, dominowała jednak pewna nuta. Jak twierdzi dr Nijakowski, większość powstałych w tym okresie pomników podporządkowana była budowie heroicznej, homogenicznej i wykluczającej wspólnoty narodowej, definiowanej w opozycji do innych narodów.

– Pomniki, które nie wpisują się w heroiczny nurt mówienia o przeszłości, należą do rzadkości i zawsze budzą opór. Choć są ważnym, moralnym gestem świadomej siebie wspólnoty politycznej, są kontestowane przez zwolenników mitycznej wizji narodu. Nie jest przypadkiem, że często niszczy się je i profanuje, jak miało to miejsce w Jedwabnem – mówi dr Nijakowski.

Katrin van Cant, specjalizująca się w historii Europy Środkowo-Wschodniej badaczka z belgijskiego uniwersytetu w Leuven, w swojej pracy o warszawskich pomnikach szacuje, że między 1989 a 2007 r. w stolicy powstało ok. 80 monumentów. 90 proc. z nich dotyczy militarnych i politycznych aspektów polskiej historii, a niemal jedna trzecia upamiętnia wydarzenia II wojny światowej. Tylko jeden z nich odnosił się do historii polskich Żydów, a jedynie cztery portretowały kobiety. Trzy powstałe w tym okresie pomniki przedstawiały cudzoziemców. Dane te dobrze świadczą o dominującym kształcie pamięci zakłętej w warszawskich monumentach.

Dla jednych taki sposób budowania polskiej pamięci jest czymś oczywistym, u innych wzbudza wątpliwości. Chyba najwyraźniej przeciwko pomnikowej „żarłoczności” Polaków zaprotestowała Elżbieta Janicka w książce „Festung Warschau”. Autorka bezpardonowo i z pasją obnażyła liczne przejawy polsko-żydowskiej rywalizacji o przeszłość, wyrażającej się w zakrojonym na szeroką skalę symbolicznym „za-

garnianiu” przestrzeni dawnego getta przez sławiące polskich bohaterów pomniki, tablice i nazwy ulic. Jej zdaniem (w czym Janickiej blisko chyba do autorów listu w sprawie pomnika Sprawiedliwych) tego typu działania to wyraz chęci „przykrycia” pamięci żydowskiej pamięcią polską.

Dyskusja z kamienia

Niezależnie od tego, czy w Polsce rzeczywiście dominuje dziś jedna historyczna wizja, czy – jak sugeruje Zaborski – mamy wciąż do czynienia z mniej lub bardziej rozbudowaną polifonią pamięci, pewne jest jedno: kluczową stawką we wszelkich dyskusjach w tym obszarze odgrywa odpowiedź na pytanie o to, kto jest „prawdziwym Polakiem”. Jej znaczenie wykracza zaś poza ocenę wydarzeń z przeszłości, definiując absolutnie współczesną, polską tożsamość. Tu i teraz.

– Spotkania wokół monumentów nie powinny sprowadzać się jedynie do rozdrapywania ran i rozpamiętywania doznanych lub zadanych cierpień. Jeśli pomniki mają w 100 procentach spełniać swoje zadanie, muszą zapraszać do twórczego myślenia. Chodzi więc o aktywne wspominanie, czyli uwzględnianie przeszłości w kreowaniu nowej rzeczywistości – mówi politolog. Takiej konstruktywnej roli pomników zagraża jednak sytuacja, w której ich rytualny kult zdejmuje z nas obowiązek odpowiedzialności, pamięci i myślenia.

W tym kontekście dr Zaborski przytacza opinię profesora Jamesa E. Younga, który twierdził, że zamiast tworzyć centralne miejsce pamięci o Zagładzie Żydów, należy bez końca organizować konkursy na projekt takiego miejsca. – Uważał, że więcej pożytku przyniesie nieustająca debata niż zamknięta w kamieniu ikona. Zwolennicy takiego podejścia przekonują, że już sama dyskusja staje się quasi-pomnikiem – mówi politolog. Warto się więc chyba zastanowić, czego pomnikiem stała się niedawna polska dyskusja wokół sposobu upamiętnienia Sprawiedliwych.

Autor jest dziennikarzem www.natemat.pl.

Jakub Żulczyk

Drżący wrzask Michała Bajora



JAKUB OSTRALOWSKI

Istnieje taki gatunek muzyki, który jest integralnie zrośnięty z kulturą polską. To nie disco polo, ale piosenka aktorska.

Gdyby zapytać przeciętnego Polaka o rdzenną polską muzykę, ten zapewne bez wahania wskazałby disco polo. Niby jest coś na rzeczy, ale tak naprawdę disco polo również jest amalgamatem, konkretniej – weselnej, polskiej przyspiewki z wpływami zachodniej muzyki tanecznej, najpierw italo disco, a następnie siermiężnego dance’u zza Odry. Disco polo jest na pozór naszą muzyką narodową, ale ja w tym miejscu przyznam się skromnie do pewnego olśnienia. Wydaje mi się, że jest inny rodzaj muzyki, integralnie zrośnięty z kulturą polską, wymykający się ścisłym ramom gatunkowym, ale mający pewne wspólne cechy dystynktywne. Tą muzyką jest szeroko pojęta piosenka aktorska.

Doznałem tego olśnienia, słuchając zespołu Dr Misio, dowodzonego przez aktora Arkadiusza Jakubika, zespołu, który pomimo usilnego reklamowania się jako pełnokrwisty rock’n’roll brzmi raczej jak nieślubne i lekko otępiałe od trzymania w becce dziecko Pidżamy Porno, Światliaków i Yugotonu. Stylistycznie wszystko by się zgadzało, Dr Misio z innym wokalistą grałby pewnie przez następne 20 lat supporty przed Happysad, no ale w Dr. Misio mikrofon dzierży Jakubik. Otóż Bogdan z „Drogówki” interpretuje na tym ciut kartonowym muzycznym tle teksty Krzysztofa Vargi, wcielając się w rolę lekko oblesnionego, skacowanego życiem faceta w klinicznej fazie wieku średniego, który realizuje swoje odwieczne marzenie o dowodzeniu rockowym bandem z impetem, nie przy mierzając, Tomka Karolaka z „39 i pół”. Dziennikarze muzyczni twierdzą, że Dr Misio to rock. No cóż, może ze względu na obecność gitary elektrycznej ta muzyka zachowuje jakieś pozory rocka, ale tak naprawdę to piosenka aktorska w czystym wydaniu. Płyta Dr. Misio wcale nie jest rockowym albumem na takiej zasadzie, na jakiej jest nim, dajmy na to, „Never Mind the Bollocks”. Jest napisanym przez zewnętrznego tekściarza recitalem.

Polacy, nie wiedząc czemu, kochają piosenkę aktorską. Kochają ją tak bardzo, że jest ona osobnym przedmiotem na uczelniach aktorskich już od lat 50. Na Zachodzie muzyczna kariera aktora równoległa do jego drogi filmowej jest przynależna raczej osobnikom kuriozalnym, dzia-

łającym na granicach popkulturowej ekstremy – mam na myśli Davida Hasselhoffa, Telly’ego Savallasa, Stevena Seagala czy zespół 30 Seconds To Mars, który jest chyba jedynym na tym bożym świecie bardziej irytującym zespołem od U2. Za Oceanem to raczej muzykom udaje się zrobić kariery w filmie, i to raczej w lidze aktorów charakterystycznych, vide Tom Waits czy David Bowie. W Polsce jest zupełnie, ale to zupełnie odwrotnie.

Polacy uwielbiają, gdy aktor wchodzi w rolę wykonawcy scenicznego. Tradycja ta ciągnie się już od czasów Kabaretu Starszych Panów. Wierszowano-śpiewane recitale Edyty Geppert, Magdy Umer czy Michała Bajora to tętnicza krew polskiej muzyki, i nie ma co ukrywać, że pompacyjne ekstrawagancje Michała Wiśniewskiego wyrosły właśnie na tym gruncie. Polacy tak kochają piosenkę aktorską, że dzisiaj od alternatywnych songwrotek i rockowych twardzieli wybierają aktorów, którzy odgrywają tychże – patrz Maria Peszek i Piotr Rogucki.

Może przyczyna leży w tym, że Polacy masowo kochają patos i grafomanię, to nieodłączne dla piosenki aktorskiej wysokie C, które może zagwarantować tylko gruntownie ukształtowany przez PWST i kilotony wyrecytowanej poezji aktor? Bo przecież nieważne, czy słuchamy „elektronicznej alternatywy” w wydaniu Peszek, „progresywnego rocka” Comy czy „prawdziwego, depresyjnego rock’n’rolla” Dr. Misio. Mentalnie płyty tych wykonawców nawet nie stały obok gatunków, które próbują udawać. Nad każdą z nich unosi się niezdrowy zapach spełnionej zachcianki. Zresztą wystarczy posłuchać oryginałów z każdej z tych stylistyk, aby zrozumieć, że w każdej z tych płyt, pod spodem, poza granicą słyszalności, czai się drżący wrzask Michała Bajora. I że Polacy, wybierając się po płyty do Empiku, nie szukają tak naprawdę zbiorów piosenek z danego gatunku. Platynowe płyty nagrane przez aktorów dowodzą jednego – mimo że dla wielu antropologów polskiej popkultury obrazem rdzennego, polskiego pieśniarza jest discopolowiec w swetrze z golfem i z odłączoną gitarą, Polacy szukają specyficznych wrzasków. Takich, które może dać im tylko aktorski recital.

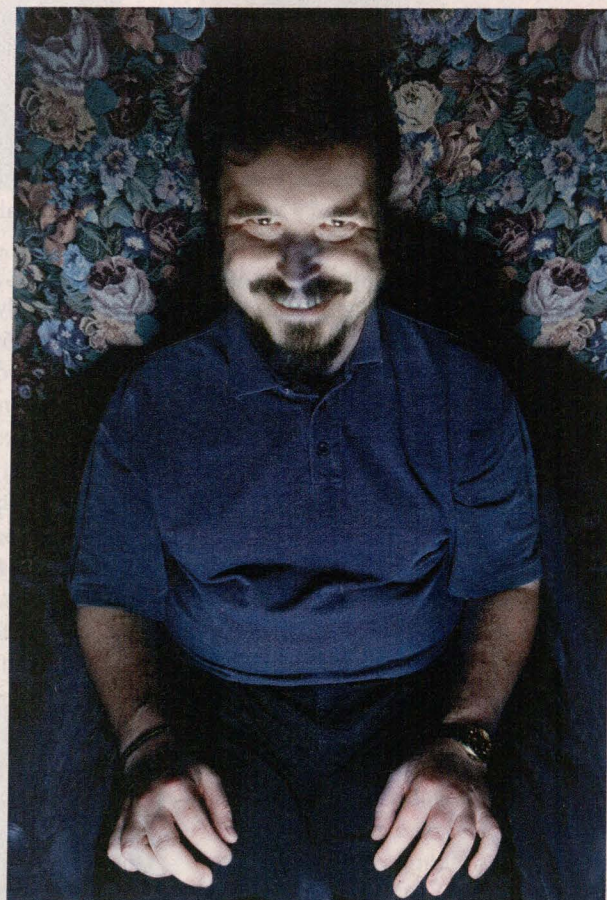
Autor jest pisarzem, dziennikarzem i felietonistą. Wydał m.in. „Radio Armageddon” (2008) i „Świątynię” (2011). U nas pisze o kulturze i show-biznesie.

AGNIESZKA BERLIŃSKA, ZDJĘCIA MAJA KRYŃSKA

Misjonarze Wikipedii

Wikipedia jest czymś więcej niż tylko stroną w Internecie. To idea. Stoi za nią wiara w możliwość stworzenia ogólnodostępnego kompendium ludzkiej wiedzy.

Od kiedy wujek Google wspiera ciotkę Wiki, każdego miesiąca z jej zasobów korzysta pół miliarda ludzi na całym świecie. Z kilkudziesięciu edycji językowych najstarsza i największa jest angielskojęzyczna z ponad 4 mln opracowanych artykułów. Polska edycja ma ich prawie milion. W przeciwieństwie do tradycyjnych encyklopedii Wikipedii nie tworzy wyselekcjonowane grono ekspertów, ale ochotnicy. Teoretycznie każdy w dowolnej chwili może stworzyć nowe hasło lub zmodyfikować istniejące. W Wikipedii nie ma redaktorów naczelnych ani szefów. O wszystkich kwestiach spornych decyduje się w drodze dyskusji. Niemożliwe? A jednak.



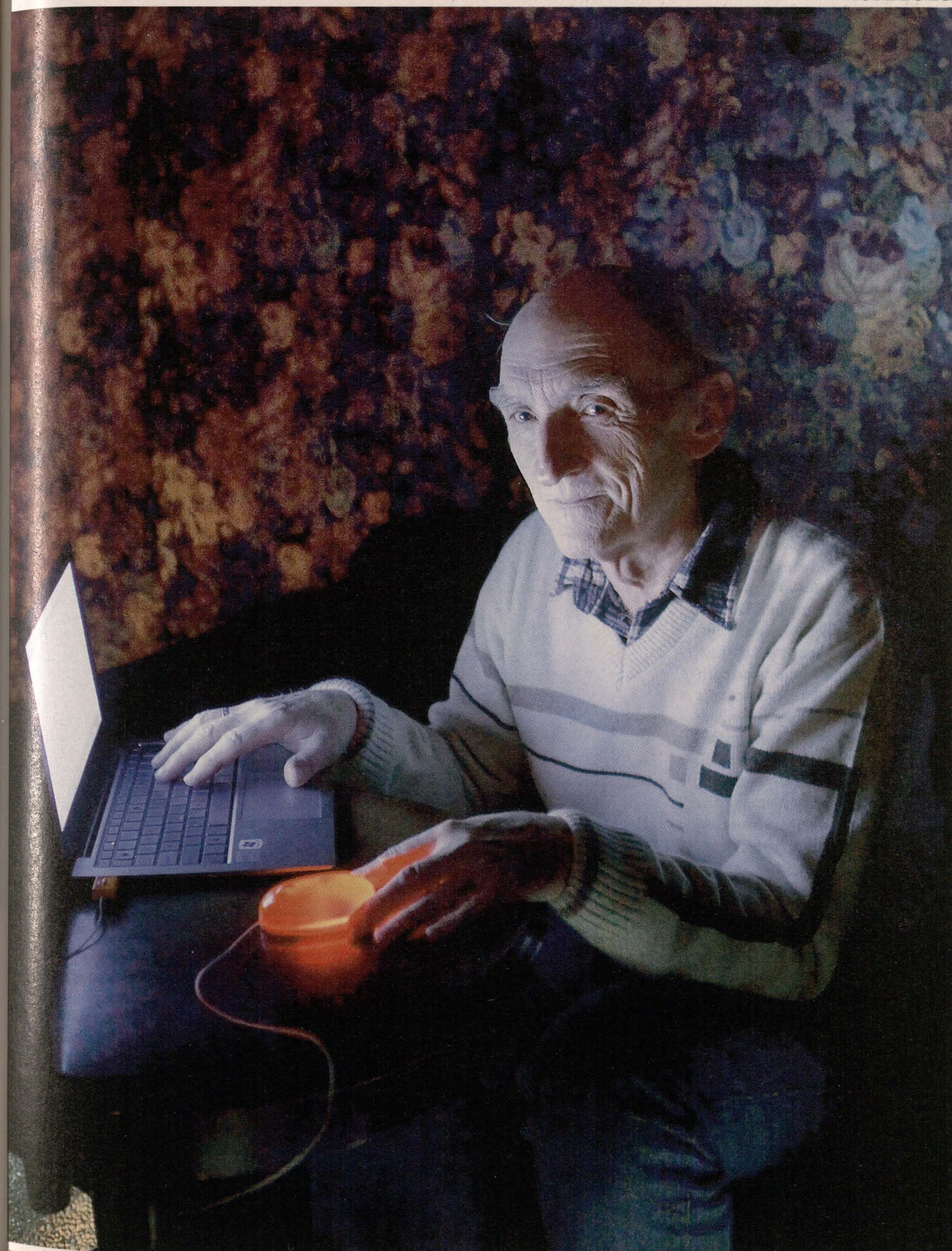
Marek Stelmasik, znany w sieci jako Masti, to jeden z administratorów polskiej edycji Wikipedii. Po prawej: Paweł Moszyński, czyli PawełMM. Ma 72 lata i jest najstarszy wśród adminów.

nią wiara w możliwość stworzenia pełnego i ogólnodostępnego kompendium wiedzy. Wikipedyści to jej misjonarze. Jednym z nich jest Szymon Grabarczuk, społeczności Wiki znany jako Tar Lócesilion. Zapytany o to, co ich łączy, odpowiada bez wahania – satysfakcja z dawania ludziom wiedzy i służba społeczeństwu informacyjnemu. Ma 22 lata, mieszka w Lublinie, studiuje prawo. Odkąd jest w społeczności Wiki, szczególnie interesuje się prawem autorskim.

To wiedza niezbędna na Wikipedii. Jej zawartość z założenia nie jest niczym własnością, więc nie może zawierać treści objętych prawem autorskim. Obowiązują tu alternatywne wobec niego licencje Creative Commons.

Art jest nieency

Tar Lócesilion poświęca Wikipedii średnio kilka godzin dziennie. Porządkuje bałagan na zapleczu. Stara się poprawić przejrzystość nawigacji po stronach, które nie są artykułami, a powstały w procesie opracowywania zasad Wikipedii. Są to złogi definicji i instrukcji postępowania, przewodników po kategoriach, wątków społecznościowych czy pozostałości po akcjach promocyjnych. Zapleczu Wikipedii przypomina rozbudowany labirynt, a klikanie w kolejne odnośniki – schodzenie do lochów wirtualnego państwa. Jest tu wszystko – zapis każdej dyskusji, decyzji, zmiany i edycji artykułów, listy pożegnane rozgoryczonych członków społeczności, kłótnie i pogróżki, wyrazy przyjaźni, akty wandalizmu, historia sukcesów. To gigantyczna księga pamiątkowa. Pajęcza sieć, w której szamoczą się nowicjusze. Bo wbrew pozorom nie jest łatwo zostać wikipedystą. Po banalnej prostej rejestracji – wystarczy wpisać nazwę użytkownika, hasło i adres mejlowy (a i ten niekoniecznie) – przychodzi czas na otrzęsiny. Tar Lócesilion z empatią oddał ten stan w swoim blogu (a blogi wikipedystów poświęcone Wikipedii to osobne zjawisko), pisząc, że kiedy już czytelnik się przełamie i zdecyduje napisać własny artykuł, wikipedyści zagrają z nim w rosyjską ruletkę.



zonglując hermetycznymi uwagami: „art jest nieency, naruszył PUA, NPOV, NOR, WER, LZ, CWNJ”. Wikislang jest częścią wikifolkloru.

Zasadnicza dziura

Pisanie artykułów „nieency” i „POV” (od ang. point of view) to najcięższe przewinienia nowicjuszy. Encyklopedyczności i neutralnego punktu widzenia (NPOV) wikipedyści bronią zaciekle z dwóch powodów. Po pierwsze, Wikipedia regularnie obrywa za wszystkie błędy, które pojawiają się w artykułach i są wykorzystywane jako argument w dyskusji o wartości merytorycznej całego przedsięwzięcia. I to jest najczulszy punkt w umyśle każdego wikipedyisty.

Po drugie – zasady zastępują szefa. Są jedyną wyższą instancją, do której można się odwołać. Przy kilkuset osobach pracujących codziennie nad polską Wikipedią, kilku tysiącach użytkowników „z doskoku” i kilkuset tysiącach wszystkich zarejestrowanych trudno byłoby utrzymać tego molocha w ryzach. Bezrefleksyjne stosowanie zasad prowadzi jednak do absurdów, z których śmieją się sami wikipedyści. „Dziura drogowa – rodzaj uszkodzenia nawierzchni drogi powstający, gdy wskutek zniszczenia ubywa materiału nawierzchni i tworzy się wgłębienie”. Artykuł o dziurze drogowej zawiera aspekty prawne, uwagi, przypisy z „warygodnych źródeł”. – To najlepszy przykład, że można stworzyć idealne hasło encyklopedyczne o niczym – mówi Masti. – Dlaczego nie? – pyta Paweł Moszyński, inaczej PawełMM. Za usuwanie z bazy haseł niezgodnych z zasadami został nagrodzony wikimedalem. – To sztuka opracować hasło zgodne z zasadami Wikipedii.

Właśnie opublikował artykuł dotyczący poradnika kucharskiego Marii Disslowej z 1931 r. Kartkuje reprint. – Mnie to bawi – wyznaje. Ma 72 lata i jest najstarszy wśród administratorów. Inżynier elektroniki, specjalista

od metrologii. Kiedyś wykładał na warszawskiej Politechnice. To – jak sam twierdzi – tłumaczy jego cierpliwość wobec młodzieży. Najlicniejszą grupę wikipedystów stanowią studenci i młodzi ludzie w wieku 19–29 lat. Najmłodszy administrator w historii polskiej Wikipedii miał 13 lat. Dla PawłaMM, emeryta, Wikipedia jest zajęciem ciekawszym niż siedzenie przed telewizorem. Ceni sobie kontakt z ludźmi. – Ale do Facebooka nie dorosłem. Denerwuje mnie, że zajmuje się takimi duperelami – przyznaje.

Naturalna selekcja

– Wśród wikipedystów nie ma ludzi przypadkowych – uważa Małgorzata Kulbaczevska, wirtualna Loraine, studentka romanistyki i Studiów Wschodnich na Uniwersytecie Warszawskim. Ma 23 lata, zna bardzo dobrze angielski, francuski, dobrze niemiecki, rosyjski, ukraiński, hiszpański, włoski oraz podstawy kilku innych języków. W liceum brała udział w olimpiadach polonistycznej, historycznej i języka francuskiego. Uczenie się sprawia jej przyjemność, podobnie jak dzielenie się wiedzą. Jest autorką wzorowych artykułów, wielokrotnie nagradzaną przez społeczność wikimedalami. Nie angażuje się w życie społeczności, unika dyskusji, które – jak zauważyła – im bardziej są zaciekle i rozbudowane, tym bardziej jałowe i nieprzekładające się na praktyczne rozwiązania. Lorain jest osobą praktyczną. Opracowywanie haseł dla Wikipedii jest jednocześnie jej sposobem na przygotowywanie się do sesji. Traktuje to również jako okazję do szlifowania języków. Z natury introwertyczna i nieśmiała, jest zaprzeczeniem tezy, że wikipedysta musi mieć grubą skórę. – Kto nie potrafi się dogadywać i funkcjonować w grupie, prędzej czy później odejdzie lub zostanie zablokowany – mówi Lorain.

Blokada to narzędzie dyscypliny. Jednym z tzw. pięciu filarów Wikipedii jest wzajemny szacunek użytkowników.

Kiedy nie mogą się dogadać, do akcji wkracza Komitet Arbitrażowy, który może zarządzić blokadę konta. Trwała lub kilkugodzinna. Formą blokady jest też zabezpieczenie przed możliwością edycji strony z artykułem szczególnie narażonym na działania wandalii. Każde wybory i rocznice kontrowersyj-



Małgorzata Kulbaczevska (w sieci Loraine) ma 23 lata i jest autorką artykułów wielokrotnie nagradzanych wikimedalami.

nych wydarzeń dla administratorów oznaczają czas wzmożonej czujności. Część artykułów jest stale pod specjalnym nadzorem. Ten o Donaldzie Tusku obserwuje 79 użytkowników, a poprawiany był 1200 razy. Jarosława Kaczyńskiego pilnuje 91 osób, a poprawiano go 1500 razy, tyle co „aborcję”. Kubie Wojewódzkiemu regularnie co kilka miesięcy ktoś usiłuje dopisać słowa na „ch”, Palikot został przerobiony na Palikotka. Historia zmian w artykułach Wikipedii to fascynująca lektura.

W ciągu pierwszych dwóch tygodni pontyfikatu papieża Franciszka artykuł o nim poprawiało 200 osób. Jedni wstawiali fragment o współpracy z juntą, drudzy go usuwali. W szczytowych momentach treść zmieniała się dwa razy na minutę. – W takich chwilach serwery głupieją. Po krótkiej dyskusji z innymi

Część artykułów jest stale pod nadzorem. Ten o Donaldzie Tusku obserwuje 79 użytkowników, a poprawiany był 1200 razy. Jarosława Kaczyńskiego pilnuje 91 osób, a poprawiano go 1500 razy.

wikipedystami zabezpieczyłem tę stronę – opowiada Tar Lócesilion. Masti dodaje: – To nie cenzura, tylko gaszenie emocji. Jak tylko opadają, blokada jest zdejmowana.

Wszyscy piszmy Wikipedię

Dla Wikipedii pracuje się społecznie. – Dobrze mi to robi na psychikę. Ludzie dzielą się na takich, którzy ze wszystkiego robią biznes, i na takich, którym pomaganie sprawia frajdę – mówi Adam Kliczek „CLI”. Zanim zaangażował się w Wikipedię, opiekował się zwierzętami w schronisku, pomagał w nauce dzieciom z biednych rodzin. Ma 30 lat, z wykształcenia jest elektronikiem akustykiem, pracuje w jednej z głównych stacji telewizyjnych. Jego działką na Wikipedii są zdjęcia do artykułów. Zajął się tym, bo nie było komu. Specjalnie zapisał się na kurs fotograficzny. Z czasem stał się dyżurnym fotografem. Na hasło Wikipedia bez problemu otrzymuje akredytacje na koncerty i festiwale. Organizuje wakacyjne

Wikipedię, opiekował się zwierzętami w schronisku, pomagał w nauce dzieciom z biednych rodzin. Ma 30 lat, z wykształcenia jest elektronikiem akustykiem, pracuje w jednej z głównych stacji telewizyjnych. Jego działką na Wikipedii są zdjęcia do artykułów. Zajął się tym, bo nie było komu. Specjalnie zapisał się na kurs fotograficzny. Z czasem stał się dyżurnym fotografem. Na hasło Wikipedia bez problemu otrzymuje akredytacje na koncerty i festiwale. Organizuje wakacyjne

„Wikiexpedycje”, podczas których z grupą ochotników fotografuje zabytki w wybranym regionie Polski. Dzięki Wikipedii stworzył pokaźne portfolio swoich prac. Teraz pojawiła się nowa perspektywa pracy zawodowej. – Ale zawsze będę w Wikipedii – mówi CLI. Chyba że pojawiłyby się tu reklamy. Wtedy by odszedł. To samo mówi Masti.

Wikipedia to ruch społeczny na niespotykaną skalę. Zwraca na to uwagę Mirosław Filiciak, medioznawca ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej, badacz wpływu cyfrowych mediów na kulturę. Skoro wszyscy z niej korzystamy, w interesie nas wszystkich jest, aby Wikipedia była jak najlepsza. Na Zachodzie obserwuje się stopniową akceptację i otwarcie środowisk naukowych na współpracę z Wikipedią. Jednym z przejawów zmiany nastawienia były warsztaty, jakie dla wikipedystów zorganizowali pracownicy British Museum. Edycję angielskojęzyczną uznaje się już za rzetelne źródło informacji. – Ten projekt ewoluuje. Skrajnie negatywne oceny Wikipedii, podobnie jak bezkrytycznie entuzjastyczne, są wyrazem uprzedzeń – mówi Mirosław Filiciak. Akceptacja i pozyskanie do współpracy środowiska naukowego jest także celem polskiej Wikipedii. O podobieństwach tych dwóch środowisk i o dzielących je stereotypach mówił podczas obchodów 10-lecia Wikipedii Paweł Jochym, jeden z jej współzałożycieli, doktor habilitowany Instytutu Fizyki Jądrowej PAN.

Jak wikipedyści wyobrażają sobie Wikipedię za pięć lat? – Musimy pracować nad przyjaznym edytorem tekstu. Tak żeby osoby „nietechniczne” mogły tworzyć artykuły, bo teraz na starcie się zniechęcają – odpowiada CLI. Mówi, że Wikipedii łatwo dokopać. Kiedyś się tym bardziej przejmował, teraz odpowiada, że należy ją traktować jak encyklopedię pierwszego kontaktu. A szczegółowej wiedzy szukać w źródłach, na podstawie których hasła zostały napisane. ☞

MICHAŁ CESSANIS

Kemping w stylu glamour

Czas na glamping, czyli połączenie biwaku z luksusem superwyposażonych kamperów, mongolskich jurt czy nawet cygańskich, kolorowych wozów. Na kempingach chcą dziś wypoczywać bogaci turyści, znudzeni ofertą gigantycznych hoteli all inclusive.



P przed modą na luksusowy biwak na łonie natury nie ma ucieczki. Po Afryce i Ameryce przyszedł czas na Europę, a ośrodków do glampingu ciągle przybywa. Ale nie ma tam miejsca na turystyczne krzeselka czy stoliki z namalowaną szachownicą, z którymi przez lata Polacy jeździli na wakacje. Na luksusowych kempingach turyści wypoczywają w namiotach przypominających pokoje z najlepszych pięciogwiazdkowych hoteli. Zamiast materaców i śpiworów mają do dyspozycji ręcznie robione królewskie łóża z najwyższej klasy pościelą. Są mahoniowe meble, często też antyki, do tego pufy, dywany i muslinowe woale. Osobne łazienki i klimatyzacja. Jakby tego było mało, do dyspozycji mamy obsługę namiotową, która spełni każde nasze życzenie. Bo w glampingu turysta ma tylko chłonąć naturę, podziwiać widoki i zrelaksować się, a nie z menażką biec po wodę czy gotować obiad na biwakowym gazowym palniku. Jak to wygląda, można przekonać się na własne oczy na stronach goglamping.net czy www.glampinggirl.com.

Wygody pod chmurką

USA, Wielka Brytania, Hiszpania, Francja, Włochy, Portugalia czy Szwajcaria to kraje, w których glamping ma się coraz lepiej. Każdego roku powstają tam rankingi miejsc w stylu glamour, do których warto się wybrać. I zapłacić fortunę za wypoczynek.

Glamping powstał z myślą o tych, którzy chociaż bez luksusu podczas urlopu nie mogą się obejść, to jednak mają dość hoteli molochów. Ten sposób na wakacje wymyślono na początku XX w., kiedy popularne stało się safari. Chodziło o zaspokojenie potrzeb zamożnych podróżników. W obozowiskach mieli oni do usług kucharzy, ragarzy i przewodników. Pokoje bądź namioty były wyposażone w łóżka, perki dywany i antyki.

Till i Michelle Braddock prowadzą glampingowy ośrodek Lanzarote Retreats. Znalazł się wśród 10 najlepszych

tego typu miejsc w Hiszpanii. Zainwestowali w niego sześć lat temu. Oferują ekologiczny wypoczynek w okolicy wioski rybackiej Arrieta, nie pozabawiając przy tym gości wygod. – Mieszkańcy wyspy, a także nasi przyjaciele namawiali nas, abyśmy rozwinęli naszą ekoturystykę i przyciągnęli na Lanzarote więcej turystów. Dzisiaj dajemy im kontakt z naturą, mieszkanie w luksusowych mongolskich jurtach albo willach z basenami. Wszystko mamy ekologiczne – nawet samochody, które wynajmujemy gościom, są hybrydowe – opowiadają. Ekowakacje nie są jednak tanie. W ośrodku Braddocków trzeba za nie zapłacić nawet 2 tys. euro za tydzień.

W Ałozainie (Andaluzja) możemy zaś zamieszkać w przyczepie kempingowej w stylu retro. To miejsce również znalazło się wśród najlepszych w Hiszpanii. Z zewnątrz srebrna przyczepa z lat 30. wygląda zwyczajnie. W środku kryje zaś sypialnię z małżeńskim łóżem, pokój gościnny, w pełni wyposażoną łazienkę oraz kuchnię, sprzęt AGD i RTV najlepszych marek. Nie brakuje też wanny z hydromasażem. – Czy to nie przyjemne leżeć sobie w wannie z bąbelkami i patrzeć na rozgwieżdżone niebo? – pyta retorycznie Trevor, który prowadzi Glamping Airstream Andalusia. Ten nietypowy hotel położony jest 3 km od miasta. – To idealne miejsce, by wypocząć z dala od miejskiego hałasu, ale nie w spartańskich warunkach – zachęca. Koszt takiej przyjemności – 800 euro za tydzień.

W USA i Wielkiej Brytanii moda na glamping zapanowała wśród gwiazd, które upodobały sobie wyjazdy m.in. do Afryki, do bajecznego ośrodka Wolwedans na pustyni w Namibii, gdzie propaguje się ekologiczną turystykę. Tamtejsze luksusowe namioty-wille stają się też tłem do sesji zdjęciowych do magazynów modowych, wesel i filmów przyrodniczych. – Luksusowe warunki nie przeszkadzają w kontakcie z naturą – piszą właściciele Wolwedans. Taki styl wypoczynku preferują m.in. modelka Kate Moss, aktor George Clo-



Wyposażenie Safari Camp w Massai Mara w Kenii przypomina luksusowe obozy brytyjskich podróżników z początku XX w.

Zdjęcie po lewej: Pierwszy w Polsce glampingowy ośrodek Glendoria w Głędach na Mazurach. Według jego właścicieli to hotel, ale pod gołym niebem.

oney czy znany z telewizyjnych programów kucharz Jamie Oliver.

Jadą wozy kolorowe

Jak podaje na swoich stronach internetowych stacja Deutsche Welle, we Francji każdy kto chce, może spędzić także wakacje w glampingowym, kolorowym cygańskim wozie, przez którego przeszklony dach nocą można oglądać gwiazdy. Taką ofertę ma firma Ruolottes de Campagne, która ustawiła swoje wozy już na ponad 60 francuskich kempingach i planuje kolejne lokalizacje.

A jeśli nie pięciogwiazdkowy namiot, przyczepa czy cygański wóz? Możemy zamieszkać w ekologicznych półokrągłych domach w angielskim Gloucestershire. W położonym w lesie Dome Garden jest 10 kopułów do zamieszkania, w których zarówno woda, jak i wentylacja czy ogrzewanie napędzane są baterią

ANGELO CAVALLI/CORBIS



mi słonecznymi. Turyści mają tu głównie odpoczywać. „Rano pobudka, w południe wypoczynek, a wieczorem przygotowanie do snu” – taki plan dnia obowiązuje w ośrodku. Między kopytami biegają kury i kozy. Jednak w Dome Garden nie ma miejsca dla psów. – Niestety, gdyby goście przyjeżdżali z psami, musielibyśmy zamykać naszych 20 kur. A tego nie chcemy. Zrobiliśmy raz wyjątek dla niewidomych. Nasze kury były w klatkach przez tydzień i bardzo źle to zniosły – tłumaczą właściciele tego niezwykłego miejsca.

Glampingowcy mają też na swoich mapach ośrodek w szwajcarskich Alpach. W Whitepod również mieszka się w półokrągłych namiotach. Są rozstawione na drewnianych platformach, na wysokości 1400 metrów. Dla gości są stoki narciarskie, restauracja oraz spa. Ceny: od 1350 zł za noc!

Polski glamping

– Wrażenia z pobytu w Whitepod są niezwykle. Chcemy, by u nas było podobnie – mówi Artur Kurmin, który wraz z żoną założył pierwszy i jedyny w Polsce ośrodek glampingowy Glendoria w Głędach na Mazurach. Daleko stąd do cywilizacji. Dominują harmonia, spokój i cisza. Posiadłość z jednej

Ekologiczne gospodarstwa z Feather Down Farm w Wielkiej Brytanii to raj dla glampingowców.

strony dochodzi do małego jeziora, z drugiej otoczona jest lasem. Kurmin zaznacza jednak, że według niego glamping nie ma nic wspólnego z kempingiem. – Bo jest jak hotel, tylko na powietrzu, bez wspólnej kuchni czy łazienek. Wyposażenie w namiotach jest z najwyższej półki – podkreśla.

Ale czy w Polsce znajdują się chętni na taki wypoczynek? – Otwierając nasz ośrodek w ubiegłym roku, mieliśmy wiele obaw. Okazało się jednak, że obłożenie wyniosło ponad 90 proc. Teraz jesteśmy przed otwarciem kolejnego sezonu i już jest wielu chętnych. Przyjeżdżają do nas najczęściej menedżerowie dużych firm, rodziny z dziećmi, nie brakuje też znanych osób, które chcą tak odpoczywać – wyjaśnia Artur Kurmin.

Do Głęd Kurminowie trafili 20 lat temu. Kupili warmińskie gospodarstwo. Przez długi czas kursowali między Warszawą a wiejskim domem. W końcu w 2010 r. podjęli decyzję o rozstaniu ze światem korporacji i agencji reklamowych, z którym byli związani, i przenieśli się na wieś.

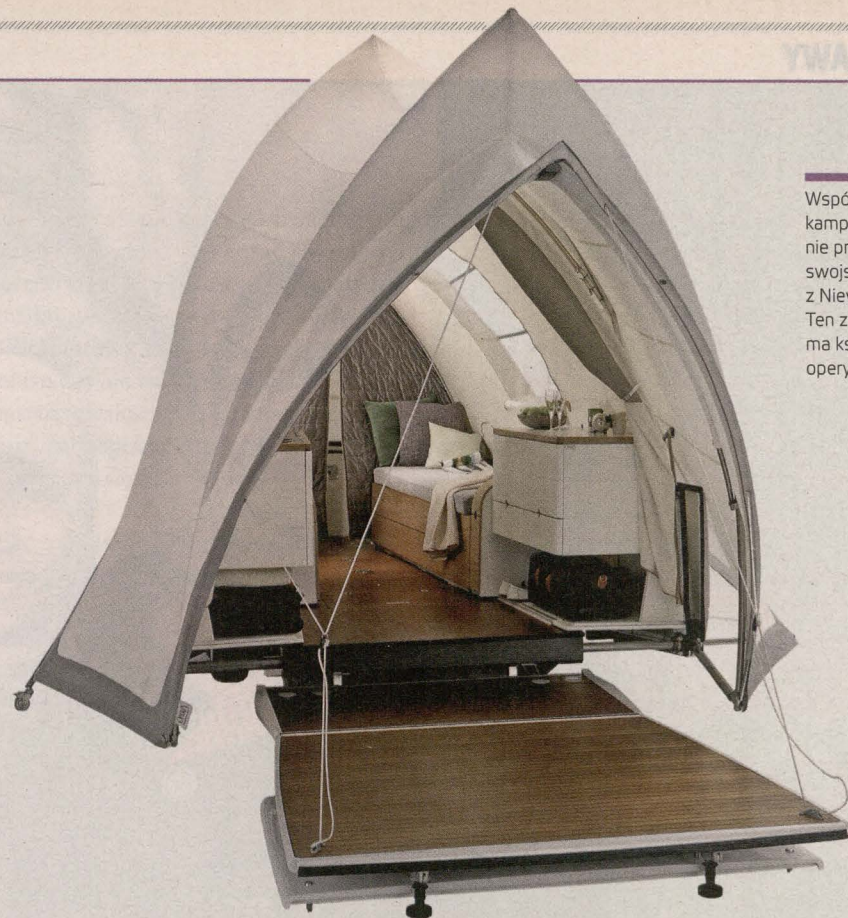
Zmienili zawody. Co prawda plany psycholożki i polonisty, aby zostać rolnikami, się nie powiodły, ale okazało się, że mieli talent hotelarski.

– Tak powstała Glendoria, miejsce z autentycznym wiejskim klimatem i dziką naturą wokół. Staraliśmy się zachować charakter przedwojennego warmińskiego gospodarstwa, wprowadzając jednocześnie niezbędne modyfikacje, które pozwalają gościom wypoczywać na wsi, na końcu świata, na poziomie dobrego hotelu – tłumaczy. Główna zaleta pobytu w Glendorii? Święty spokój, i to za znacznie mniejsze stawki niż w podobnych miejscach w Europie.

Aktor Karol Strasburger, od ponad 30 lat miłośnik wypoczynku na kempingu (najczęściej w sierpniu, w Grecji lub w Chorwacji), do glampingu podchodzi jednak z rezerwą. – To tak, jakby na grzyby pojechać limuzyną i z lokajem. Według mnie to zaburzenie sensu wypoczyniania na kempingu, który odstraszy już pierwszego dnia albo wciągnie na lata. Co więcej, to nie jest tani wypoczynek. Pamiętam, jak przed laty z zazdrością patrzyłem na Niemców, którzy na kempingi przyjeżdżali kamperami albo ciągnęli wielkie przyczepy. Było w nich wszystko, o czym wtedy my z przyczepami Niewiadów mogliśmy tylko pomarzyć. Byli niedoścignionym dla nas wzorem. Ale i Polacy przez tych kilka lat się wzbogacili, zainwestowali w dobry sprzęt i dzisiaj też wypoczywamy w dobrych kamperach czy przyczepach – mówi.

Strasburger przypomina, na czym polega wypoczynek na łonie natury. – Na pewnym luzie. To urlop w kłapkach i krótkich spodenkach. Klóci mi się to z mahoniowymi meblami w namiotach i lokajem na każde zawołanie. Chociaż może to być oferta dla tych, którym kemping kojarzy się ze spartańskimi warunkami. A o miłośnikach tej formy wypoczynku myślę, że robią to z oszczędności. Tak jednak nie jest. Kiedy liczę, ile już pieniędzy zainwestowałem w kempingowanie (m.in. zakup kampera, paliwo, opłaty autostradowe, kempingi w Europie), to mogę mówić, że to forma luksusowa. A więc na swój sposób jestem glampingowcem – śmieje się.

Michał Szeftel, prezes Polskiej Federacji Campingu i Caravaningu, przyznaje, że ten rodzaj turystyki wciąż się zmienia. – W Polsce mamy ok. 200 kempingów. Ich jakość jest różna, chociaż coraz więcej jest tych bardzo dobrych. W ciągu roku wypoczywa na nich nawet milion osób. Kamperzyści wypierają przyczepy kempingowe. Coraz rzadziej można zobaczyć rozbity namiot. Kiedyś była to forma wypoczynku dla studentów, uczniów, mówiło się nawet o turystyce socjalnej. Ale dzisiaj na kempingach chcą wypoczywać także bogaci. Dlatego glamping jest rozwiązaniem dla osób wygodnych i ceniących naturę, które chcą odpocząć z dala od miasta, ale nie wyzbywając się pewnych dóbr – uważa Szeftel. I chociaż w Polsce glamping wciąż raczkuje, to będzie o nim mowa na 79. Międzynarodowym Zlocie Campingu i Caravaningu, który w tym roku odbędzie się w Sławie (Lubuskie).



Współczesne kamperzyści w niczym nie przypominają swojskich przyczep z Niewiadowa. Ten ze zdjęcia ma kształt słynnej opery w Sydney.

EAST NEWS

REKLAMA

PRZEKROJ

patronuje

24-28.04.2013 Kraków

 CK Rotunda

 sponsor główny: LOTTO

 sponsor: Pod Wawelem KOMPANIA KUFLOWA

 patronat medialny: gazeta PRZEKROJ SUKCES czasdzieci.pl

 organizator: PAKA Stowarzyszenie Promocji Sztuki Kabaretowej

 Wystąpią: Kabaret Młodych Panów, Łowcy B, Limo, Hrabci, Grupa McCorty, Artur Andrus, Smile, Ireneusz Krosny, Jurki, The Mischief - Improvised Comedy Theatre i wielu innych...

 Informacje, szczegółowy program i bilety: PAKA.pl

 eska poleca



JERZY ZIEMACKI

Nieustające wakacje

Azja Południowo-Wschodnia jest słoneczna, piękna i bardzo tania. Nieustające wakacje pod palmami można mieć za 700 złotych miesięcznie. Cały rok. Całe życie. Pytanie: czy w rajy da się długo wytrzymać?

300–500 złotych. Jedzenie jest tanie. Wielki obiad w restauracji: owoce morza, ryż, świeży sok z mango można kupić za 2 złote. Kilogram kokosów kosztuje kilkadziesiąt groszy. Życie w Azji jest tanie, lekkie i przyjemne.

Azjaci wyjątkowo szanują i podziwiają Europejczyków. Przybyszom z Europy robią zdjęcia (czasem z ukrycia). Każdego traktują jak gwiazdę Hollywood. W powszechnym wyobrażeniu mieszkańców Azji Południowo-Wschodniej mieszkańiec Europy jest bardzo bogaty, bardzo kulturalny i bardzo seksowny. Tę naiwność wykorzystują głównie starsi panowie z Niemiec i Wielkiej Brytanii, którzy

przeprowadzają się do Tajlandii, aby otaczać się młodymi dziewczynami (za kilka dolarów) i czuć się jak młodzi bogowie. Anglojęzyczni studenci korzystają z rządowych programów w Chinach, w Tajlandii i Indonezji, uczą angielskiego za państwowe pieniądze, wiodąc życie na wysokim poziomie.

Azja Południowo-Wschodnia to prawdziwy raj za pół darmo. Wystarczy sprzedać prakę i lodówkę, spakować walizkę i lecieć do najtańszych krajów świata: do Tajlandii, Indonezji, Wietnamu, Kambodży, Laosu i na Filipiny.

Przedstawiają się do Tajlandii, aby sprzedawać loty za 200–300 złotych, bo myślą im się zera. Bilet jest dziesięć razy tańszy, niż miał być. Ten, kto kupi tani bilet z błędną ceną, nie musi się obawiać, że przewoźnik anuluje zawartą umowę – mówi Marcin Janiszewski z portalu mlecznepodroze.pl, który zajmuje się wyszukiwaniem najtańszych połączeń lotniczych oraz informacji o podróżniczych okazjach. Działalność Mlecznych Podróżów na Facebooku śledzi ponad 40 000 Polaków. Każdy poluje na swoją okazję.

Twórcy Mlecznych Podróżów przyznają, że Azja to od kilku lat najpopularniejszy kierunek eskapad. Również dlatego, że najtańszy. – Byłem dotychczas w Azji dwa razy. W Chinach z promocją Aeroflotu za 1000 zł i w Wietnamie w ramach promocji Szalone Środy LOT-u za 1400 zł – chwali się Janiszewski. Podpowiada, że do Azji najlepiej latać między styczniem a marcem, kupując bilet w dwie strony (bilet w jedną stronę wychodzi o wiele drożej, zwłaszcza między czerwcem a sierpniem). Często bardziej opłaca się kupić bilet w obie strony i nie skorzystać z powrotnego.

Asian Dream

Co robić z wolnym czasem na tych nieustających wakacjach? Jeśli do miesięcznego budżetu dorzuci się drugie 700 zł, można podróżować w nieskończoność. Tajlandia, Indonezja, Wietnam, Filipiny to olbrzymie kraje o bogatej tradycji i historii. Jazda taksówkami jest tam tańsza niż jazda polskim autobusem. Pociąg z Warszawy do Krakowa kosztuje tyle, co 1000 kilometrów trasy w Indonezji.

Do tego masaże, joga, tai-chi – tuż za rogiem. Godzinny masaż tajski, który leczy ciało i duszę, pozwala osiągnąć najgłębszy poziom relaksu, kosztuje 10–20 zł. Lekcje jogi i tai-chi często są prowadzone przez wolontariuszy.

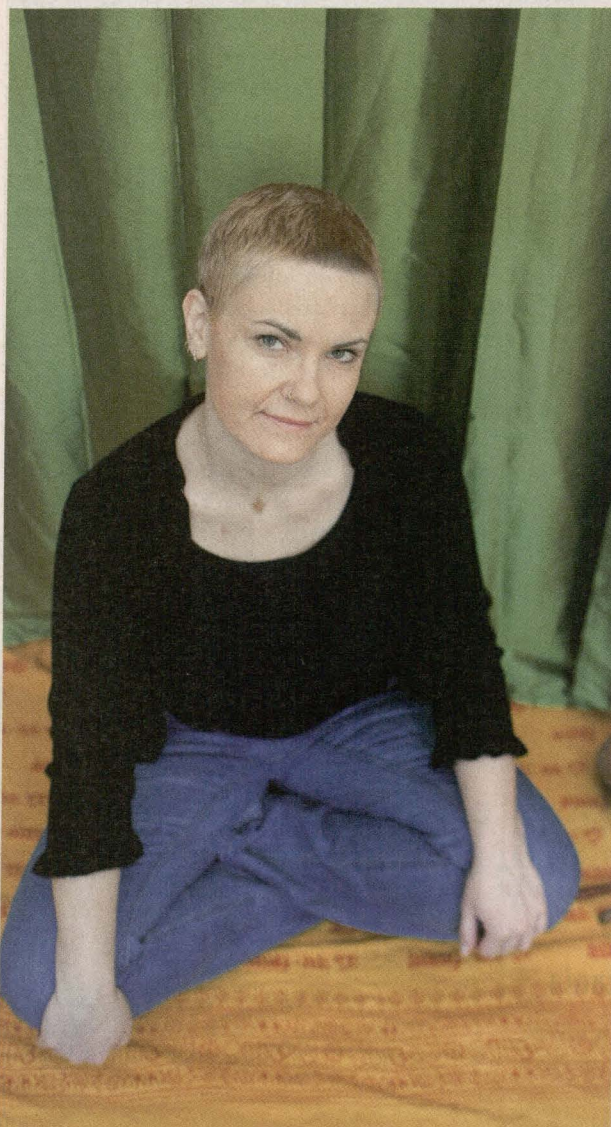
– Zakochałam się w Azji. Mogłabym podróżować po niej nieustannie. To kulturowy, etniczny i religijny tygiel. Bogactwo i różnorodność Azji zachwyca – mówi Magda Rejnert, która w 2008 r. sprzedała mieszkanie w Warszawie, aby przez trzy i pół roku jeździć

Tanie bilety

Choćby zaraz. Jest ku temu dobra okazja. Bilety do Azji tanieją. W lutym, z okazji uruchomienia lotów z Polski, linia Emirates przygotowała atrakcyjne promocje. Można było polecieć i wrócić za 1200 zł: do Dubaju, do Chin, Malezji, a dzięki tanim przesiadkom praktycznie wszędzie: Nepal, Kambodża, Laos, Filipiny. Ale nawet bez promocji nie jest drogo. Średnia cena lotów do Azji z Warszawy to około 2000 zł. Sprytni szperacze potrafią znaleźć wśród tysięcy ofert prawdziwe gratki.

– Czasem zdarzają się błędy cenowe. Na przykład włoskie linie lotnicze Alitalia potrafią przez kilkanaście godzin

Ermyna Seri z Indonezji (na pierwszym planie) od marca uczy w Polsce języka bahasa. Ma już ponad setkę uczniów.



po swoim ukochanym kontynencie. Mieszkała przez dwa lata na Bali, gdzie uczyła się technik tajskiego masażu, zgłębiała tajemnice tarota, ćwiczyła jogę i odpoczywała od dotychczasowego życia. Do tej pory mieszkała w Warszawie, całe dnie spędzała w biurze.

Jako nastolatka była w Azji z wujkiem himalaistą. Zachwycił ją egzotyczny świat. Jako osoba dorosła chciała wrócić do Azji, ale życie potoczyło się inaczej: założyła rodzinę, urodziła syna. Nie miała czasu na dalekie wojaże. Dopiero gdy syn stał się pełnoletni, dokładnie kilka tygodni po jego 18. urodzinach, Magda rzuciła wszystko i wyprzewodziła się na drugą stronę świata,

W 2008 r. Magdalena Rejnert sprzedała mieszkanie w Warszawie i przez trzy i pół roku podróżowała po Azji. Po powrocie otworzyła własny biznes: masaż tajski i tarot.

do Azji Południowo-Wschodniej. Pożegnanie z pracą nie było dla niej bolesne. Wreszcie wyrwała się z kierunku. Jej prawdziwą pasją jest podróżowanie.

Po miesiącu w Indonezji miała już wynajęty dom, a w domu własnego kota i kochanka Azjatę. Miała być rok, była prawie cztery lata. – Wiem, że kupiłam sobie ten czas. Przez kilkadziesiąt miesięcy nie pracowałam, uczyłam się masażu, medytowałam, zwiedzałam, odkrywałam Azję i samą siebie, wiedziałam życie szczęśliwej osoby. Odzyskałam siły – mówi Rejnert, która do Polski wróciła kilka miesięcy temu.

Teraz rozkręca w Warszawie oryginalny biznes: masaż tajski, terapia czaszkowo-krzyżowa i tarot. Dobrze

☞ Życie w Azji jest tanie, lekkie i przyjemne. Wynajęcie na miesiąc domku z wielkim tarasem z widokiem na morze kosztuje 300–500 złotych. Obiad można kupić za 2 złote.

jej idzie. Ma już zadowolonych klientów. Wschodnie metody pracy z ciałem zaczynają być przez wielu Europejczyków cenione wyżej niż zachodnia medycyna. Zarobione pieniądze Magda Rejnert chce przeznaczyć na powrót do Azji. Woli żyć tam niż tutaj.

Emigracja

Ponad 200 mln ludzi na świecie żyje poza swoją ojczyzną. Powodów migracji do innych krajów jest nieskończenie wiele. Ludzi, którzy przybywają z krajów biedniejszych do krajów bogatszych, nazywa się imigrantami. Natomiast ludzi wyjeżdżających z bogatych krajów do miejsc uboższych nazywa się expatiates. Sami o sobie mówią w skrócie: expat. Imigranci i expaci nie różnią się od siebie: wybierają życie poza krajem urodzenia. Jednak expaci wciąż czują wyższość nad imigrantami. Dlaczego? Powodów jest wiele: przede wszystkim pieniądze.

Expaci czują, że stać ich na wszystkich krajach przybywający do bogatych krajów mają nadzieję, że dorobią

się i będzie ich stać na to i na tamto. Ale dopiero w przyszłości.

Bogaczem w Azji może poczuć się brytyjski bezrobotny z zasiłkiem (1400 euro) albo właściciel dwupokojowego mieszkania w Warszawie lub Krakowie, które wynajmie za 1600 zł miesięcznie.

Expating, czyli emigracja bogatych ludzi, nasilił się pod koniec XX w. Rynek pracy stał się rynkiem globalnym, a przy tym dzięki rozwojowi komunikacji, przede wszystkim Internetu, uwolnionym od geograficznej lokalizacji. Wiele zawodów można wykonywać w dowolnym miejscu świata, mając ze sobą tylko komputer. Wyjazd na drugą stronę świata, mieszkanie w oko-

licach dżungli, pozostawanie w stałym kontakcie z rodziną, pracodawcą i przyjaciółmi jeszcze nigdy nie było tak łatwe. Z roku na rok na expating decyduje się coraz więcej Europejczyków. Są wśród nich również Polacy. Po fali emigracji do Europy Zachodniej jako imigranci zaczynają wybierać Azję Południowo-Zachodnią, już na prawach zamożnych, europejskich expatów.

Pomaga im w tym na przykład Ministerstwo Edukacji i Kultury Indonezji, które funduje Polakom stypendia. Co roku do Indonezji wyjeżdża ponad setka studentów. W Azji uczą się języka lub regionalnego rzemiosła, na przykład sztuki batik. Po powrocie mają szansę kontynuować naukę języka bahasa, którym w Azji Południowo-Wschodniej mówi ponad 400 mln ludzi. – Przyjechałam do Polski na początku marca. Byłam mile zaskoczona, że Polacy tak chętnie uczą się bahasy. Mam ponad setkę uczniów – mówi Ermyna Seri, nauczycielka z Indonezji.

Razem z drugą nauczycielką przyslaną przez indonezyjskie ministerstwo

prowadzi lekcje na trzech poziomach: podstawowym, średnim i zaawansowanym. Podczas lekcji w najlepszej grupie Polacy dyskutują w języku bahasa o urokach i problemach Azji Południowo-Wschodniej. Zajęcia odbywają się w ambasadzie kraju, na uniwersytetach i w szkołach wyższych. Dobra znajomość języka otwiera Polakom wspaniałe możliwości: nie tylko podróżnicze i kulturowe, ale również biznesowe. Nauka języka to w wielu przypadkach kolejny krok do wsiąknięcia w Azję głębiej. Wielu polskim uczniom Ermyna Seri marzy się stały pobyt w Azji.

Prawdziwe życie

– W Azji najwspanialsze są rzeczy najprostsze: klimat, jedzenie, uśmiechnięte twarze. W Polsce brnę przez śniegi, przeklinam błoto, jest mi zimno. Czuję, że raj jest tam, na pewno nie tu – tłumaczy Anna Jaklewicz, autorka książki o Chinach, i dodaje: – Jednak za długo wraju żyć nie można.

Pierwszy raz do Azji poleciała zaraz po studiach. Została przewodniczką w Chinach, pracowała dla brytyjskiej firmy. Wróciła do Europy dopiero po dwóch latach. W Polsce zaczęła pracować w agencji eventowej. Na początku to było ciekawe. Ale z czasem zmęczyła ją rutyna. Każdy wakacyjny urlop (zwykle trzy–cztery tygodnie), spędzała w Wietnamie, Laosie, Chinach lub w Kambodży. Potem wracała

Anna Jaklewicz zaraz po studiach pojechała do Azji i została przewodniczką w Chinach. Po dwóch latach wróciła, ale każdy urlop spędza w Wietnamie, Laosie albo w Chinach.

do biura i odkładała pieniądze na kolejny wyjazd.

W końcu rzuciła pracę. Wymyśliła koncept książki podróżniczej i ruszyła do Chin. A potem do Indonezji. Książkę napisała: „Niebo w kolorze indygo. Chiny z dala od wielkiego miasta” (2013). Jej barwna relacja z południowych prowincji chińskich okazała się bestsellerem wydawnictwa Bezdroża.

Anna skończyła trzydziestkę. Ma poczucie, że stoi w życiowym rozkroku pomiędzy Polską i Azją. Nie wie, gdzie chce żyć. Kocha Azję, ale zna jej wady: nawet mieszkając tam kilka lat, każdego dnia traktowanym jest się jak turysta, brakuje prywatności i poczucia anonimowości. Jest głośno: Brytyjczycy zwykle zwiedzają Azję z zatyczkami w uszach.

– Samolot przenosi człowieka w dobę do innego świata. Człowiek zaczyna budować tam swoje życie: wynajmuje mieszkanie, skuter, poznaje znajomych, zawiązuje przyjaźnie, zakochuje się, zmienia przyzwyczajenia. Gdy wraca do Polski, zaczyna się zastanawiać, gdzie jest jego prawdziwe życie – opowiada pisarka. I dodaje: – Chyba jednak tutaj. Z masą obowiązków, które czynią życie trudnym, ale nie pustym. Azja to tylko tymczasowa bajka. ☞



REKLAMA

KRS: 0000097123



... bo jutro



Fundacja
Warszawskie
Hospicjum dla Dzieci



mnie nie będzie

JOANNA WIEK, KAMILA GBSKA, ILUSTRACJE KAROLINA KOTOWSKA

Choroby niegrzecznych dzieci

Wielu rodziców skarży się dziś na nadpobudliwość maluchw i niestety zbyt szybko akceptuje diagnozy psychologw. Tymczasem przyczyn zego zachowania najmodszych s najczściej nie jakies psychiczne zaburzenia, ale **zaniedbania rodzicw**.

Jeszcze kilkanacie lat temu dziecko, ktre nie mogo usiedzie na miejscu czy cigneo za ogon kota, uwaano po prostu za niesforne. W rodzinie mawiano, e jest jak ywe srebro. Dzi takie zachowanie budzi ju podejrzania. Maluch wiercipita, ktry bez przerwy biega, rozrzuca zabawki i nie potrafi nawet na chwil si skoncentrowa, moe kwalifikowa si do leczenia. Przypado? ADHD, czyli zesp nadpobudliwoci psychoruchowej z deficytem uwagi, okrelany czasem rwnie jako zaburzenie hiperkinetyczne. Choroba ta od lat 70. budzi wrd lekarzy spore kontrowersje. Szacuje si, e dzieci z ADHD stanowi okoo 5 proc. populacji, tymczasem liczba maluchw z orzeczeniem tej choroby, co niekoniecznie oznacza rzeczywist przypado, jest wielokrotnie wiksza. Niektrzy lekarze bij wic na alarm i przestrzegaj przed zbyt pochopnym diagnozowaniem zaburze psychicznych u dzieci. Ich zdaniem w wielu przypadkach najmodszym potrzebna jest po prostu uwaga zagonionych na co dzie rodzicw, a nie terapia farmakologiczna.

– Chocia nie naley kwestionowa choroby, bo z pewnoci istnieje grupa dzieci, ktra ma problemy z nadpobudliwoci psychoruchow, to na pewno nie jest ona tak liczna, jak si powszechnie uwaa – tmaczy prof. Mariusz J-

drzejko, pedagog i psycholog. – Zwłaszcza e w ostatnich latach liczba takich diagnoz wzrosa kilkakrotnie. W przypadku chorb generycznych, a do takich zalicza si wilnie ADHD, jest to po prostu niemoliwe – dodaje ekspert.

Problem zauwayli rwnie Amerykanie. – To mao prawdopodobne, eby co pity chopiec w USA mi ADHD – argumentuje w artykule opublikowanym kilka dni temu w dzienniku „New York Times” James Swanson, profesor psychiatrii na Florida International University, jeden z gwwnych badaczy zajmujcych si ADHD. Wedug amerykańskich statystyk problemy z nadpobudliwoci ma tam obecnie 15 proc. chopcw i 7 proc. dziewczynek. To a o 53 proc. wicej ni 10 lat temu. A wszystko wskazuje na to, e pojawia si kolejna choroba „niegrzecznych dzieci”, ktrej diagnozowanie moe si sta rwnie powszechnie co w przypadku ADHD.

Najnowszym zaburzeniem psychicznym u dzieci, odkrytym przez amerykańskich psychiatrw, jest DMDD (Disruptive Mood Dysregulation Disorder), czyli zesp destrukcyjnego rozregulowania nastroju u dzieci, ktre ju w przyszym miesicu trafi do oficjalnego spisu zaburze psychicznych DSM-5. Objawy nowej choroby brzmi znajomo dla wikszoci rodzicw. To niekontrolowane i czste

histeryczne napady zoci, od krzyku, tarzania si po pododzie po rzucanie przedmiotami. Wedug naukowcw, aby mwi o przypadku DMDD, ataki niekontrolowanej wciekoci powinny zdarza si w sytuacjach, w ktrych trudno jest je racjonalnie wytmaczy, powinny wystpowa co najmniej trzy razy w tygodniu i utrzymywa si minimum przez rok. Przy tej kategorii chorobowej musz zdarza si w rwnych okolicznociach, miejscach i w obecnoci rwnych osb, nie tylko rodzicw czy opiekunw. Polscy lekarze, dla ktrych amerykańska klasyfikacja nie jest wizca (obowizuje ich Midzynarodowa Statystyczna Klasyfikacja Chorb i Problemw Zdrowotnych ICD-10) maj spore wtpliwoci. – Uwaam, e przy stawianiu diagnozy trzeba by ostronym. Etiologia tej choroby nie jest jeszcze do koca znana. Wiele z jej objaww wystpuje te w ADHD czy w zespole Aspergera. Naley pamita, e czsto zmieniajce si emocje, w tym zo, krzyk, to norma u dwu-, trzylatkw. Obawiam si te, czy rodzice nie bd wykorzystywa DMDD do usprawiedliwiania zego zachowania swoich dzieci – zastanawia si dr Dorota Jaboska, psycholog kliniczny z Warszawy.

Leczenie zamiast wychowania

Prof. Jdrzejko dostrzega trzy zasadnicze przyczyny zego zachowania



u maluchw. – Po pierwsze, jedzenie, a w drugiej kolejnoci kontakt z mediami cyfrowymi i brak mioci – mwi pedagog. Jego zdaniem dziecko, ktre ywi si gwwnie wysoko przetworzon ywnoci i cukrem, a w dodatku pochlania znacznie wicej takiego jedzenia ni powinno, gdzie nadmiar energii musi wyadowa. Poza tym dzieci spdzaj mnstwo czasu przed szklanym ekranem telewizora lub komputera. – Dlatego s agresywne, latwo wpadaj w zo i s koliwe. Nie potrafi te samodzielnie myle, analizowa i wydaje im si, e wiat wyglda tak jak w komputerowych grach – mwi prof. Jdrzejko.

– Brakuje miejsca na mylenie, wic wydaje im si, e cel najatwiej osignc przemoc – dodaje profesor. Jdrzejko przyznaje jednak, e wina za taki stan rzeczy ley po stronie rodzicw. – Mae dziecko korzysta ze zdobyczy wsplczesnej techniki nie tylko dlatego, e jest ona dla niego atrakcyjna, ale te z tego powodu, e nie ma co ze sob zrobi – tmaczy profesor.

Wsplczesni rodzice spdzaj poza domem co najmniej 10 godzin dziennie, a po powrocie maj czas na wykapanie dziecka i pooenie go spa. – W dodatku w Polsce wiele dzieci wychowywanych jest na odlego, bo np. rodzice wyjechali do pracy za granic. Znam te przypadki, kiedy rodzice pracuj w kraju, ale od 8 do 20, a dzieci cae dni s pod opiek nia. Czsto s to oczywicie wykwalifikowane opiekunki, z wyksztaceniem psychologicznym, ale nawet najbardziej kompetentna opiekunka nie zastpi bliskoci w relacji dziecko – rodzic – mwi dr Tomasz Krasowski ze stoecznej poradni Centrum-Ja, specjalizujcy si w dziedzinie psychiatrii, i dodaje: – Problem ten dotyka nie tylko dzieci z rodzin biednych, wielodzietnych, w ktrych panuje problem uzalenienia od alkoholu. W kopoty wpadaj, wcale nierzadko, dzieci z tzw. dobrych domw, ktrych rodzice s wyksztaceni i dobrze sytuowani ekonomicznie, maj prosperujce fir-

my, robią kariery naukowe, podróżują po świecie, ale w domu są gośćmi – tłumaczy dr Krasowski. Nic dziwnego, że coraz więcej rodziców miewa z wychowaniem dzieci poważne problemy. – Przed świętami mieliśmy wykład dla rodziców w jednej z podwarszawskich szkół. W ciągu dwóch tygodni zgłosiło się do nas aż ośmioro z tych rodziców, którzy byli na wykładzie, z prośbą o pomoc w rozwiązaniu kłopotów z dziećmi. Wszyscy byli bardzo dobrze sytuowani – przyznaje z kolei prof. Jędrzejko.

Organizowane w szkołach wykłady to z jednej strony garść solidnych informacji dla rodziców o tym, jak rozwija się ich dziecko, ale z drugiej strony to także czasem pokusa, żeby przy pomocy specjalisty łatwo i szybko rozwiązać problemy wychowawcze. A zapracowani rodzice, zajęci robieniem kariery i skoncentrowani tylko na bezpieczeństwie materialnym rodziny prędzej czy później na nie napotykają. – Wtedy przyprowadzają dzieci do psychiatry lub psychologa dziecięcego, skarżąc się, że „nie jest takie, jak być powinno” i oczekując, że da się w łatwy sposób „naprawić” – opowiada dr Krasowski.

Teoria plus zdrowy rozsądek

Jednak z diagnozowaniem zaburzeń psychicznych u dzieci trzeba bardzo uważać, bo nie można ani z góry założyć, że z dzieckiem jest coś nie tak, ani że jego zachowanie to wyłącznie wina rodziców.

– Psychika, stany emocjonalne, szczególnie dzieci, to bardzo delikatna materia. Znaczenie diagnostyczne ma tutaj nie tylko aktualne zachowanie osoby badanej, ale też jej temperament – mówi psycholog Anna Kubis z warszawskiej poradni Centrum-Ja. Jej zdaniem diagnoza stawiana we wczesnym



okresie życia wpływa na obraz tego funkcjonowania psychospołecznego w kolejnych okresach jej życia.

– Wierzę, że każdy specjalista stawia rozpoznanie nie tylko w oparciu o teorię i obowiązujące go normy diagnostyczne, ale też odwołuje się do własnej intuicji. Takie wszechstronne działanie ogranicza w znacznym stopniu liczbę zbyt pochopnie stawianych diagnoz – dodaje psycholog Kubis.

Należy pamiętać, że to, co odbieramy jako „złośliwość” dziecka, jest na pewnym etapie jego rozwoju czymś naturalnym. – Napady złości, okazywanie negatywnych emocji przez dzieci może służyć zwróceniu na siebie uwagi, zasygnalizowaniu swoich potrzeb. To prawda, może być też przejawem patologii. Z tego powodu zalecany jest zdrowy rozsądek i duża ostrożność w procesie diagnostycznym – przypomina Kubis i dodaje, że nie można postawić diagnozy wyłącznie na podstawie obserwacji samego dziecka. Potrzebne są także informacje o jego najbliższym otoczeniu – rodzinie, rówieśnikach – oraz dane o ewentualnych niesprzyjających czynnikach okołoporodowych.

Tabletka zamiast miłości

Polscy eksperci zwracają także uwagę na jeszcze jeden aspekt wprowadzania do amerykańskiego klasyfikacji coraz to nowych jednostek chorobowych.

– W Stanach Zjednoczonych zauważalna jest tendencja do stosowania farmakoterapii u coraz młodszych dzieci z zaburzeniami psychicznymi – mówi dr Krasowski. Dlaczego? – Prawda jest brutalna, ale z ekonomicznego punktu widzenia farmakoterapia dziecka jest po prostu znacznie tańsza niż systemowe leczenie całej

jego rodziny, gdzie często konieczne jest zaangażowanie nie tylko psychiatry dziecięcego, ale także psychoterapeutów rodzinnych, pedagogów, psychologów szkolnych lub społecznych. A poza tym podanie tabletki jest łatwiejsze i mniej kłopotliwe dla rodziców – tłumaczy dr Krasowski.

Aby jednak zaordynować dziecku tabletki, potrzebna jest oficjalnie stwierdzona choroba. W USA systemy odszkodowawczy i kontrolny w zakresie rejestracji leków w nowych wskazaniach, zwłaszcza u dzieci, są bardzo restrykcyjne i muszą być poparte odpowiednimi badaniami medycznymi. – Być może wynajdywanie nowych jednostek chorobowych „dla niegrzecznych dzieci” jest potrzebne do badań naukowych, a następnie rejestracyjnych sponsorowanych przez firmy farmaceutyczne. Nowe, rozszerzone na najmłodszych pacjentów rejestracje otworzyłyby drogę do zwiększenia sprzedaży niektórych leków, a tym samym pomnożenia zysków firm farmaceutycznych – zauważa dr Krasowski.

Jego zdaniem może to być przypadek DMDD. Wpisanie tej nowej jednostki chorobowej do Klasyfikacji Zaburzeń Psychiczych Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego to według dr Krasowskiego początek badań leków na takie właśnie schorzenie. A problemów wychowawczych, które zdarzają się wszystkim rodzicom, nie powinno się łączyć z zaburzeniami psychicznymi u dzieci.

– Nie jesteśmy w stanie przepisać cudownej tabletki, która sprawi, że dziecko będzie grzeczne – argumentuje dr Krasowski. – Jeśli sprawia kłopoty wychowawcze, potrzebna jest profesjonalna interwencja w jego rodzinie. Dziecko z zaburzeniami zachowania stanowi często najsłabsze ogniwo, trzeba więc uzdrowić sytuację np. między skłóconymi rodzicami, udzielić im wsparcia, a to czasem wystarczy, by ich pociecha „wyzdrowiała” z historycznych napadów złości – podsumowuje dr Krasowski.

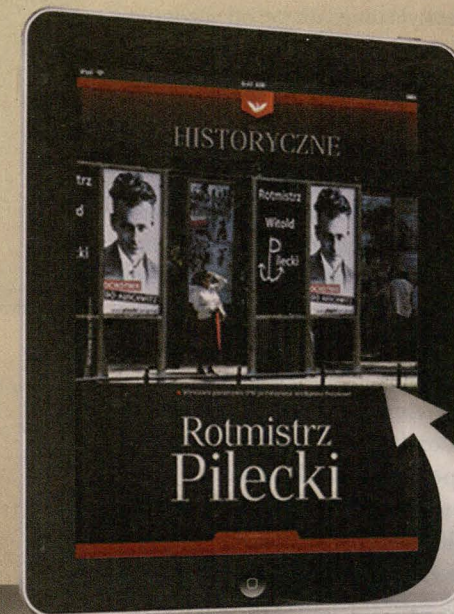
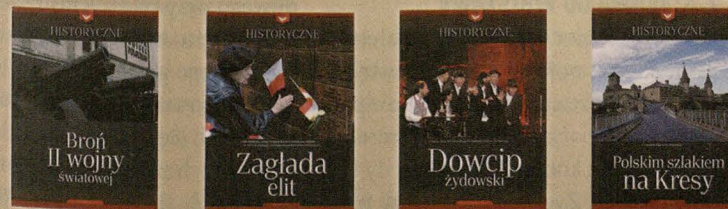
ebooki historyczne „Rzeczpospolitej”



RZECZPOSPOLITA

Rotmistrz Pilecki – Tryptyk odwagi

Przez lata komuniści starali się zatrzeć pamięć o rotmistrzu, dokonując kolejnej zbrodni – tym razem w świadomości Polaków. Pamiętajmy prawdziwego bohatera narodowego, nieugiętego człowieka, najmężniejszego z mężnych żołnierzy II wojny światowej.



MIKE URBANIAK

Perfekcja jest tylko teorią

Wybrali chyba jeden z najtrudniejszych zawodów świata. Mówi się, że ich kariera trwa tak krótko jak życie motyla. Ale nie wyobrażają sobie, że robią coś innego. Właśnie przygotowują kolejny pokaz swoich możliwości. **Tancerze Polskiego Baletu Narodowego.**

To nie jest zawód, to narkotyk – mówi Renata Smukała, baletmistrzyni Polskiego Baletu Narodowego (PBN). A dobrze wie, co mówi, bo przebyła długą drogę: od uczennicy szkoły baletowej do pierwszej solistki baletu Teatru Wielkiego – Opery Narodowej w Warszawie. – Pracę tu zaczęłam zaraz po szkole w 1966 r. i tańczyłam przez 20 lat. Potem przeszłam na emeryturę, bo były jeszcze wtedy takowe dla tancerzy baletowych, i zaczęłam pracę najpierw jako asystentka choreografów, a potem baletmistrzyni, którą jestem do dzisiaj. Ostatnio, kiedy szłam do pracy, spjrzałam na pięknie oświetlony gmach Teatru Wielkiego i pomyślałam sobie: „Mój Boże, tyle lat tańczyłam na tej scenie. Spędziłam tu całe życie”. Bo balet, musi pan wiedzieć, jest bardzo zaborczy. Trzeba mu się oddać całkowicie.

Nie ma w tym cienia przesady. Wybranie zawodu tancerza baletowego to wybranie stylu życia. To żmudne, nie-

kończące się lekcje, ćwiczenia i próby. Ciało musi być ciągle w najlepszej formie. Specjaliści stawiają balet na jednej półce ze sportami wyczynowymi. Renata Smukała: – I słusznie, bo tancerka, oprócz nieustannego trenowania, musi pilnować tego, jak się odżywia, musi trzymać w ryzach swoją wagę i nawet kiedy wychodzi z teatru, nie może sobie od tak zabalować do rana, jeśli tańczy na drugi dzień, bo to się odbije na jej formie. To jest Polski Balet Narodowy, nie ma tu miejsca na fuszerki.

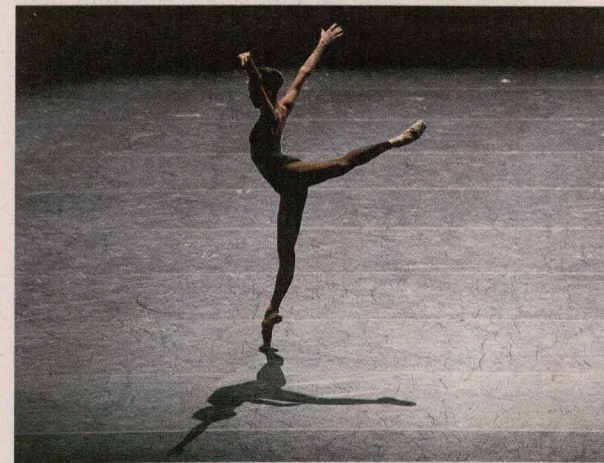
Z Krakowa do Warszawy

W Polsce balet – w formie baletów dworskich – pojawił się mniej więcej w tym samym czasie co w całej Europie. Za umowny początek tej dziedziny tańca uznaje się koniec XVI w. Wtedy też kolejne żony Zygmunta III Wazy, tego samego, który przeniósł stolicę z Krakowa do Warszawy, sprowadzały do kraju, na Wawel, taneczników. Ale pierw-

szy profesjonalny polski balet powstał 200 lat później. W 1785 r. ostatni król Polski Stanisław August Poniatowski, wielki mecenas kultury, powołał do życia 30-osobowy balet, który składał się z rodzimych tancerzy. Zespół nazywano Tancerzami Narodowymi Jego Królewskiej Mości, a prowadzili go „ojcowie polskiego baletu” – François Gabriel Le Doux z Paryża i Daniel Curz z Wenecji. Przez niemal pół wieku balet warszawski (bo tak go nazywano po zniknięciu Rzeczypospolitej z mapy świata) występował na deskach Teatru Narodowego przy placu Krasińskich. Kiedy w 1833 r. ukończono budowę monumentalnego gmachu Teatru Wielkiego autorstwa Antonia Corazziego, tancerze przenieśli się do niego i są tu do dzisiaj, choć nie bez przerwy. Spowodował ją wybuch drugiej wojny światowej. Wówczas balet przestał działać, a budynki Teatru Wielkiego leżały w gruzach. Po wojnie tancerze tułali się po różnych

salach aż do 1965 r., kiedy uroczystie zakończono odbudowę Teatru Wielkiego – Opery Narodowej. Zespół wrócił do swojej przedwojennej, podniesionej z ruin siedziby.

W roku 2009 balet, na prośbę dyrektora Teatru Wielkiego Waldemara Dąbrowskiego, został podniesiony przez ministra kultury Bogdana Zdrojewskiego do rangi Polskiego Baletu Narodowego. Jego szefem został Krzysztof Pastor, choreograf Holenderskiego Baletu Narodowego. Zapytany, czy zmiana nazwy to tylko kosmetyka, odpowiada: – To prestiż, ale przede wszystkim uzyskanie autonomii artystycznej. Wcześniej bowiem balet nie był samodzielny. Ciągłe w niego ingerowano, był właściwie podporządkowany dyrektorowi artystycznemu opery. Teraz jesteśmy równorzędnym partnerem. Sami projektujemy sezony i walczymy o przestrzeń dla nas, co nie jest łatwe, ale tak jest na całym świecie. Naszym głów-

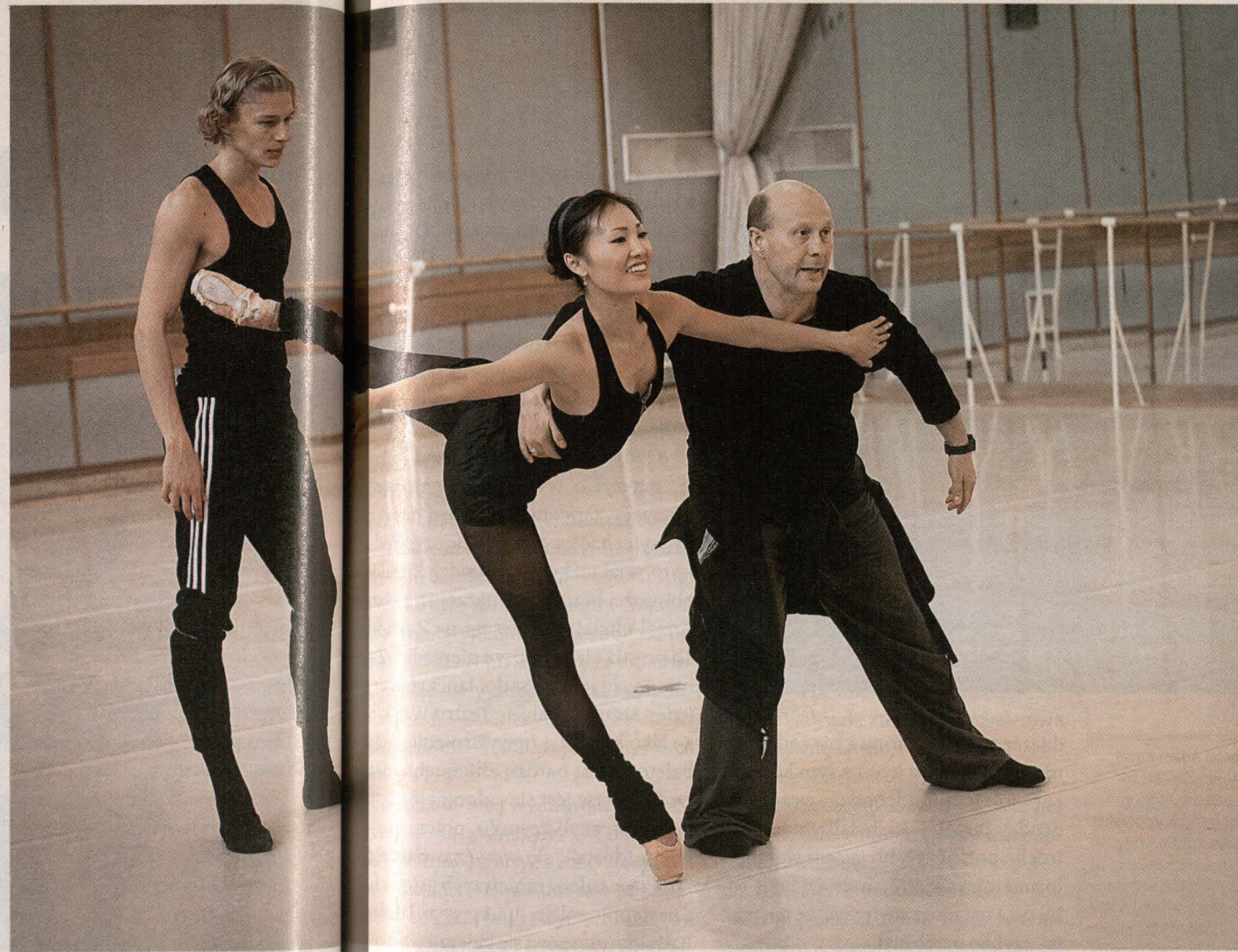


Na górze (od lewej): Sergey Popov, Yuka Ebihara i Ashley Page (choreograf) na próbie baletu Page'a „Century Rolls”. Poniżej Yuka Ebihara w balecie „Artifact Suite” z choreografią Williama Forsythe'a.

nym zadaniem jest służenie polskiej publiczności, ale i reprezentowanie Polski za granicą, a zespół mamy naprawdę dobry.

Byle do Europy

Dobry i międzynarodowy. Świat baletu działa bowiem podobnie do świata sportu. To nieustanne, nieznanące



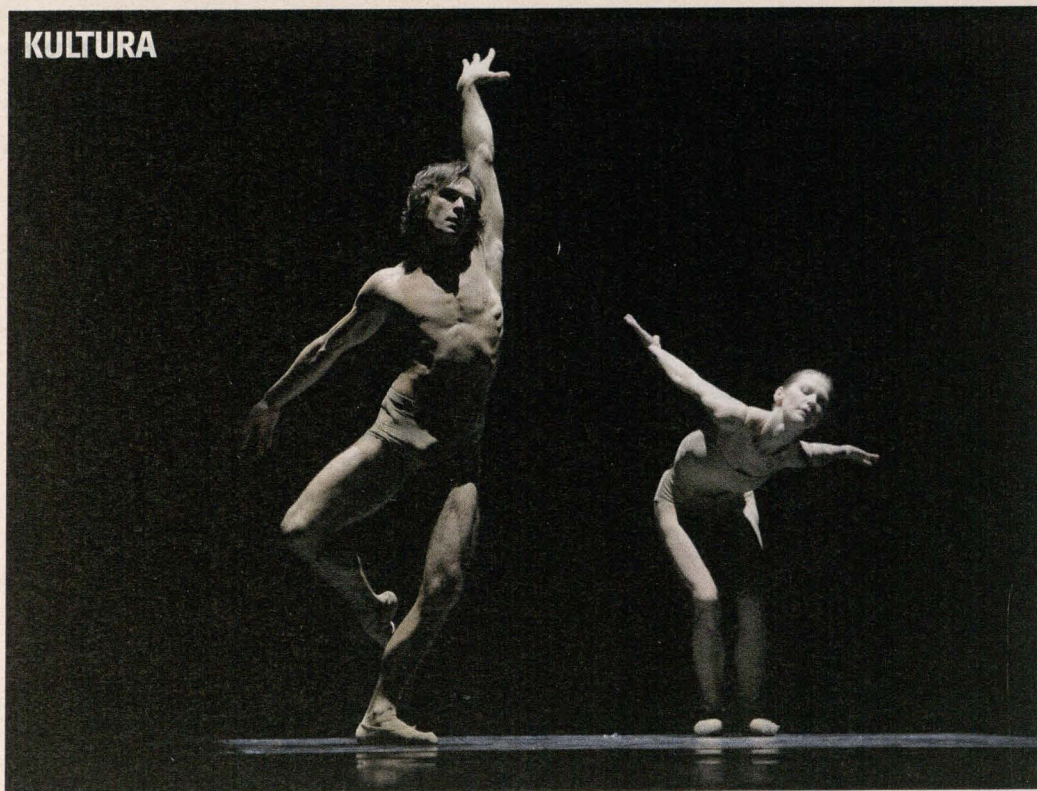
granic ani narodowości transfery. Pastor: – My i tak jesteśmy wyjątkowi, bo trzy czwarte tancerzy stanowią Polacy, a tylko jedną czwartą osoby z zagranicy. W czołowych, światowych baletach jest kompletny narodowy miks. Kiedy zapytałem Johna Neumeiera, ilu ma Niemców w swoim Baletcie Hamburgskim, to się roześmiał.

W Polskim Baletcie Narodowym są tancerki i tancerze z Anglii, Białorusi, Australii, Ukrainy, Francji, Rosji, Hiszpanii, Gruzji, Szwajcarii, a nawet Japonii. – Na początku słyszałam ze strony widowni jakieś negatywne głosy, że Japonka w naszym narodowym baletcie? Dzisiaj ludzie się już chyba przyzwyczaili – mówi Yuka Ebihara, solistka PBN.

Urodziła się w Tokio, ale kiedy miała sześć lat, rodzice przenieśli się z powodu biznesowej działalności ojca do Chin. Tam uczyła się baletu w Beijing Dance Academy. Chińskie szkoły znane są z wielkiej, żeby nie powiedzieć morderczej, dyscypliny, co dzisiaj Ebihara sobie chwali. Po czterech latach rodzina wróciła do Japonii, co marzącej tylko o tańcu dziewczynce nie było w smak.

– Japońskie szkoły baletowe nie są dobre, dlatego nie byłam zadowolona z decyzji rodziców, ale wpływu na nią nie miałam – opowiada. Skończyła szkoły, chodziła na balet trzy razy w tygodniu i poszła nawet na uniwersytet studiować komunikację. Zrezygnowała po pierwszym semestrze i szybko uciekła do Vancouver do Kanady, gdzie Goh Ballet Academy przyjęła ją w swoje progi, choć miała już 18 lat. – Byłam bardzo zdeterminowana. Chciałam tańczyć, nic więcej. W Europie, o której marzyłam, żadna szkoła baletowa by mnie nie przyjęła w tym wieku. A w Vancouver to nie był problem. Udało się.

W 2008 r. Ebihara leci do Oslo na audycję do Norweskiego Baletu Narodowego. Audycjami (od angielskiego audition – przesłuchanie) w świecie baletowym nazywa się castingi. Dostaje angaż, od razu jako solistka. Potem



Soliści Adam Kozal i Aneta Zbrzeźniak w balecie „Moving Rooms” (choreografia: Krzysztof Pastor).

tańczy na kilkumiesięcznych kontraktach w Londynie, Charleville-Mézières we Francji i w The Suzanne Farrell Ballet w Waszyngtonie w USA. – Uwielbiałam moją pracę i te ciągle zmiany miejsca zamieszkania, ale zaczęłam myśleć o jakiejś małej stabilizacji. Poleciałam więc do Zagrzebia na audycję do Chorwackiego Baletu Narodowego. Przyjęli mnie i spędziłam tam dwa sezony. Od 2011 r. jestem w Warszawie. Bardzo się cieszę, bo jako mała dziewczynka marzyłam, żeby tańczyć w jakimś europejskim balecie, i proszę – marzenie się spełniło.

Dzisiaj już nie jest jedyną Japonką w Polskim Balecie Narodowym. W sezonie 2012/2013 do zespołu dołączyło aż trzech jej rodaków: Simon Yoshida, Takeshi Watanabe i Shunsuke Mizui. Czy jest jej teraz różniej? – Szczerze mówiąc, to nie ma dla mnie znaczenia. Skupiam się wyłącznie na tańcu, to moje życie. Choć zaczynam się powoli zastanawiać, bo mam 26 lat, co będę robiła, kiedy przestanę tańczyć. Trochę się tego boję.

Jeszcze chcę potańczyć

– Boję się to mało powiedziane. Jestem raczej przerażony – śmieje się Adam Kozal, solista PNB. Ma 35 lat, co w świecie baletowym wielu uważa za wiek emerytalny, choć są tacy, którzy twier-

czas, więc nie było zbyt dużo biegania z kolegami po podwórku. Przełom nastąpił, kiedy Adam zajął w Ogólnopolskim Konkursie Tańca w Gdańsku najpierw trzecie, a dwa lata później – pierwsze miejsce. – Wtedy zaczęło mi się podobać. Poczuję, że balet jest czymś, co chcę robić w życiu. Dzisiaj nie jestem sobie w stanie wyobrazić, że zajmuję się czymś innym.

Kiedy w 1997 r. skończył szkołę, marzył o wyjeździe za granicę. Wszyscy tancerze baletowi marzą, by wyjechać za granicę. Bez względu na to, w jakim kraju się urodzą. To takie zbiorcze, branżowe marzenie. Adam Kozal chciał oczywiście na Zachód. To prestiż i inne, lepsze pieniądze. Zanim to się jednak stało, tańczył przez jeden sezon w balecie Teatru Wielkiego jako koryfej. I tu wyjaśnienie: świat baletowy jest bardzo zhierarchizowany. Najpierw jest się członkiem coper de ballet, czyli zespołu, potem koryfejem (dostaje się wówczas bardziej znaczące role w mniejszych grupach), a następnie solistą i pierwszym solistą. Baleriny (nie mówi się baletnicami!) miały jeszcze kiedyś szansę na zostanie primabaleriną (tą jedną, jedyną, najważniejszą), dzisiaj to tytuł w zaniku.

Kozal po roku wyjeżdża do Niemiec, do legendarnego Baletu Hamburgskiego prowadzonego przez jeszcze bardziej legendarnego Johna Neumeiera. Po dwóch latach odchodzi i zostaje solistą Fińskiego Baletu Narodowego w Helsinkach. Na pytanie, dlaczego odszedł z prestiżowego zespołu Neumeiera do Helsinek, odpowiada: – W Niemczech byłem tancerzem, w Finlandii solistą. Poza tym to zespół narodowy. Zasada planowania kariery baletowej jest bardzo prosta: idziesz tam, gdzie masz lepszy repertuar, lepszą pozycję i lepsze pieniądze. To cała filozofia.

W 2006 r. przenosi się do Królewskiego Baletu Flandrii w Antwerpii. Dzisiaj mówi, że potrzebował nowych wyzwań, no i zmęczył go trochę zimny fiński klimat. Po trzech latach w Belgii i ponad dziesięciu za granicą wraca do Polski. – Kiedy balet opery stał się

polskim Baletem Narodowym i jego szefem został Krzysztof Pastor, pomyślałem, że to czas na powrót do kraju. To była bardzo dobra decyzja. Nie mam powodów do narzekań. Dostaję dużo fajnych ról, a to jest najważniejsze.

Na pytanie, czy zdarzyło mu się upuścić balerinę, odpowiada: – Nigdy, ale nieraz są takie figury, że człowiek czuje dreszczyk emocji.

Złowione talenty

– Mnie na szczęście nikt nigdy nie upuścił. Chociaż nie, raz kiedyś na próbie, i to było bolesne lądowanie. Na scenie nie zdarzyło mi się to nigdy. Miałam za to inne wypadki. Kiedy robiłam piruet, zahaczyłam o partnera i złamałam sobie mały palec u dłoni. Palec sobie wisiął, a ja tańczyłam dalej – opowiada Aleksandra Liaszenko, pierwsza solistka PBN.

Urodziła się, wychowała i szkołę baletową skończyła w Charkowie na Ukrainie. Tańczyć zaczęła naprawdę wcześnie. – U nas jest tak, że pedagodzy ze szkół baletowych chodzą już po przedszkolach i wypytyują o utalentowane dzieci. Wytypowano mnie. Zaczęłam naukę, oczywiście na początku przez zabawę, kiedy miałam trzy i pół roku.

Mała Aleksandra była bardzo wysportowana. Trenowała jednocześnie gimnastykę artystyczną, ale po kilku latach musiała wybrać: albo balet, albo gimnastyka. Wybrała to pierwsze. Kiedy miała dziesięć lat, zaczęła tańczyć w puentach. Na początku skórę miała oczywiście startą do krwi, ale potem stopy się przyzwyczaiły. Od 15. roku życia pracowała w teatrze w Charkowie, dużo też jeździła z zespołem po świecie. Kiedy skończyła szkołę, dostała propozycje pracy i z Doniecka, i z Kijowa. Chciała jednak, jak każda balerina, wyjechać za granicę. Zaczęła od baletu Opery Bałtyckiej w Gdańsku. Tam zobaczył ją Emil Wesołowski, znakomity choreograf, który był wówczas dyrektorem artystycznym Teatru Wielkiego w Poznaniu. Przygotowywał „Romeo i Julię”. Julią została Aleksandra.

Wszyscy tancerze baletowi marzą o tym, by wyjechać za granicę. Bez względu na to, w jakim kraju się urodzą. To takie zbiorcze, branżowe marzenie.

W 2009 r. Liaszenko dołączyła jako solistka do Polskiego Baletu Narodowego. Po roku została pierwszą solistką. Dość szybko zaaklimatyzowała się w teatrze i Polsce. – Języka polskiego nauczyłam się w garderobie, rozmawiając z koleżankami. Mam ich teraz naprawdę wiele. A pamiętam, że kiedy tu przyjechałam, nie miałam komu dać zaproszenia na „Dziadka do orzechów”, w którym tańczyłam.

Takich problemów nie miał 22-letni Patryk Walczak, który szkołę baletową skończył niedawno, bo w 2010 r. Pierwszą klasę w Gdańsku (pochodzi ze Starogardu Szczecińskiego), a resztę już w Warszawie. Podobnie jak Aleksandra został zwerbowany przez krążących po szkołach łowców talentów. – Nie mam pojęcia, dlaczego moja wychowawczyni wskazała akurat mnie. Może dlatego, że chodziłem na kurs tańca towarzyskiego? – zastanawia się Patryk. – W każdym razie myślałem, że to będą



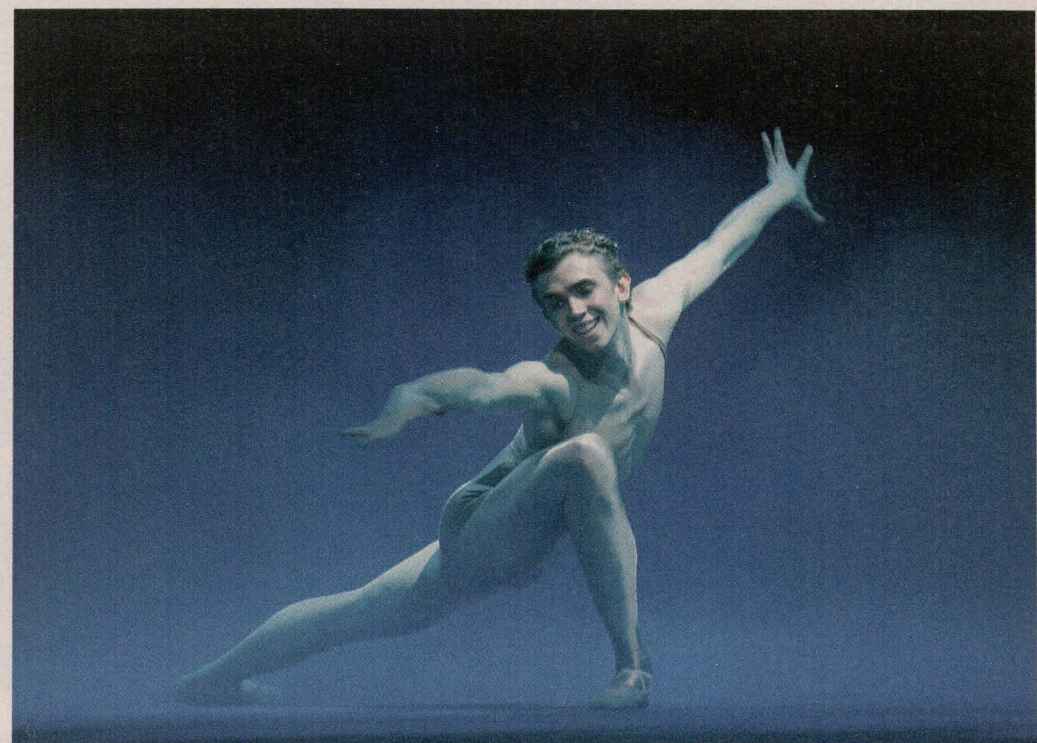
BARTELOMIEJ ZBOROWSKI/PAP

Na górze: Aleksandra Liaszenko z zespołem w balecie „Kurt Weill” (choreografia: Krzysztof Pastor). Poniżej: Patryk Walczak jako Puk w balecie „Sen nocy letniej” (choreografia: John Neumeier).

po prostu jakieś dodatkowe zajęcia. Pamiętam, że kiedy się dowiedziałem, że w szkole baletowej nie ma WF, to się obraziłem na cały świat. Potem się okazało, że balet to jeden wielki WF.

Edukacja, jak u każdego, była okresem wzlotów i upadków, fascynacji i słomianego zapału. Nie było też właściwie czasu na nic poza baletem. Ale ciężka praca się opłacała. Od razu po szkole Walczak został przyjęty do Polskiego Baletu Narodowego. Na pytanie, czy trudno wejść do zespołu, odpowiada: – Szkoła nie przygotowuje do tego, jak się pracuje w teatrze, jakie są oczekiwania wobec tancerzy. Uczy techniki tańca i tyle. Dlatego mój pierwszy sezon był ciężki. Musiałem się wiele nauczyć, zderzyć z rzeczywistością. Szkoła promuje uczniów na solistów, a solistą nie zostaje się przecież od razu. Tu trzeba walczyć, żeby zaistnieć, wykazać się, co zresztą mi się podoba.

Wykazywanie się idzie Patrykowi Walczakowi całkiem dobrze. W styczniu został koryfejem. Mimo to John Neumeier powierzył mu zatańczenie Puka w „Śnie nocy letniej”, czyli w roli dla solisty. Dopytuję, czy nie czuł zawści kolegów solistów. – Wręcz przeciwnie, dawali mi dobre rady, konstruk-



EWĄ KRASUŁCĄ/TW-ON

tywne uwagi. Wszystko po to, żebyśmy zatańczył jak najlepiej. Czułem wsparcie, a nie zazdrość. I tak powinno być. W końcu jesteśmy zespołem.

Paszport do przyszłości

Potwierdza to Paweł Koncewoj, solista PBN, który urodził się jako Pavel Kantsavy w Berezynie na Białorusi. Pawłem jest od 14 lutego 2012 r., kiedy prezydent Bronisław Komorowski nadał mu polskie obywatelstwo. Dobra data na wyznaczenie miłości do nowej ojczyzny. Koncewoj (perfeekyjnie mówi po polsku) uśmiecha się tylko i przyznaje, że polski paszport, w odróżnieniu od białoruskiego, bardzo ułatwia życie. Szczególnie komuś, kto chce, a wręcz musi podróżować po świecie.

Szkołę baletową (jedyną w kraju) skończył w Mińsku, gdzie przeniosła się jego rodzina. Wysłała go tam mama, choć ojciec marynarz też nie miał nic przeciwko. Egzamin były bardzo trudne, trwały trzy dni. O jedno miejsce ubiegało się ponad 30 osób. Ale się udało. Kończąc szkołę, Koncewoj myślał, jak uciec z Białorusi, bo nie chciał tańczyć w tamtejszym Narodowym Teatrze Wielkim Opery i Baletu, który do najlepszych nie należy. Polska publiczność



Na górze: Paweł Koncewoj jako Błażen w balecie „Kopciuszek” (choreografia: Frederick Ashton). Poniżej: Krzysztof Pastor, dyrektor Polskiego Baletu Narodowego, z tancerzami po próbie generalnej „Tristana”.

mogła się o tym przekonać w grudniu zeszłego roku, kiedy białoruski balet zaprezentował na deskach naszego Teatru Wielkiego koszmarną „Aniutę” na podstawie „Anny na szyi” Antoniego Czechowa w reżyserii i z choreografią Władymira Wasiliewa.

Azyłem dla Koncewoja okazał się balet prowadzony w rosyjskim Krasnodarze przez Jurija Grigorowicza, tancerza i choreografa, który przez ponad

trzy dekady, do połowy lat 90., kierował słynnym Teatrem Bolszoi w Moskwie. – To była świetna szkoła prowadzona przez wielkiego artystę – wspomina Koncewoj. – Ale plan był oczywiście taki, żeby wyjechać gdzieś na Zachód i z piątką tancerzy (z tej piątki czwórka jest dzisiaj w PBN) wyjechaliśmy w 2007 r. do Lublina, by tańczyć w balecie tamtejszego Teatru Muzycznego. To było jednak nieporozumienie i szybko uciekliśmy na audycje do Warszawy. Jak się okazało – udane. Jeszcze w tym samym roku dołączyłem do zespołu Polskiego Baletu Narodowego, a po dwóch latach zostałem solistą.

Paweł Koncewoj przyznaje, że wraz z partnerką Martą Fiedler (pierwszą solistką PBN) zaczynają coraz częściej myśleć o tym, co będzie, jak przestaną tańczyć. – Teraz mam 26 lat, ale zaraz będzie 35 i koniec – mówi. – Myślimy z Martą o założeniu rodziny, ale trzeba ją przecież jakoś utrzymać. Pytanie: jak to zrobić, kiedy przestaniemy tańczyć?

Może więc nie było warto? – Nie jestem sobie w stanie wyobrazić, że robię coś innego. Mimo że łatwo nie jest. Ćwiczenia i próby mamy codziennie od rana do wieczora, potem występujemy. Często się zdarza, że wolne mamy tylko poniedziałki. Ale i tak nie zamieniłbym baletu na nic.

– Tak mówi każdy, kto tańczy w balecie, bo balet to miłość na całe życie, choć trudna – dodaje Renata Smukała. – Ja w pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że nie mam przyjaciół spoza tego świata. Bo przyjaźnie trzeba pielęgnować, poświęcić im czas, a jak tu znaleźć wolne przy takim trybie życia? Nawet mój mąż, bo wiecznie nie było mnie w domu, był zazdrosny o balet.

Kreacjoniści

Wiosną, oprócz regularnych prób do spektakli, zespół Polskiego Baletu Narodowego uczestniczy od kilku lat w warsztatach choreograficznych „Kreacje”. Pomysł, by tancerze i tancerki sami wymyślali choreografię, dobierali muzykę i produkowali cały spektakl, przywiózł z Amsterdamu do Warszawy dyrektor Krzysztof Pastor: – Kiedy w 2009 r. zacząłem kierować baletem,

BF Nie jesteśmy jeszcze baletowym centrum świata, ale mamy bardzo dobry, ambitny, dynamiczny zespół i interesujący repertuar.

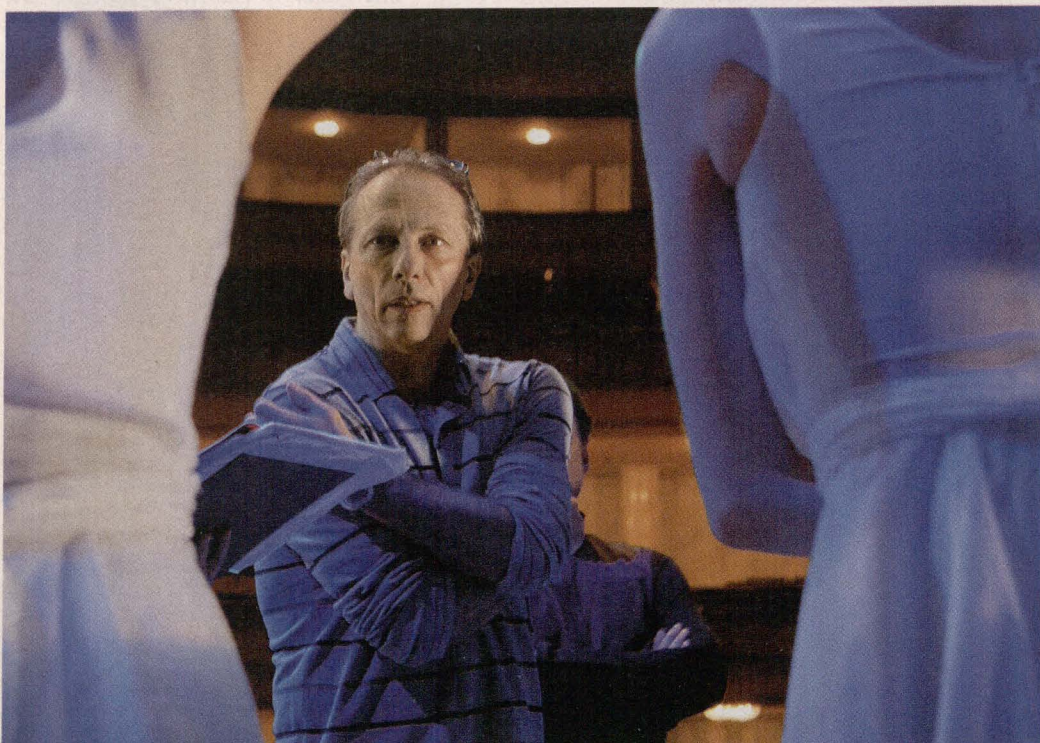
zauważyłem, że nie ma tu żadnej twórczości choreograficznej. Postanowiłem wypełnić tę lukę przez wprowadzenie do naszego repertuaru „Kreacji”. Powiedziałem nawet, że jeśli w ciągu kilku lat z Polskiego Baletu Narodowego wyjdzie jakiś choreograf, to będę spełniony. Spełniony nie jestem, ale kilku utalentowanych choreografów się pojawiło.

Jednym z nich jest Robert Bondara, koryfej PBN, którego balet „When You End and I Begin” do muzyki Pawła Szymanowskiego, przygotowany na pierwszych „Kreacjach”, został włączony do repertuaru Polskiego Baletu Narodowego.

wego. Obecnie Bondara pracuje nad baletem „Čiurlionis” Giedriusa Kuprevičiusa, który za miesiąc będzie miał premierę w Litewskim Narodowym Teatrze Opery i Baletu w Wilnie. Jak widać, idea przeflancowania na nasz krajowy grunt holenderskich patentów sprawdziła się świetnie, polski balet ma się coraz lepiej.

– Nie ma co ukrywać, nie jesteśmy jeszcze baletowym centrum świata – mówi dyrektor Krzysztof Pastor. – Ale mamy bardzo dobry, ambitny, dynamiczny zespół i interesujący repertuar. Cały czas pracujemy nad tym, żebyśmy rozwijali się i byli najlepsi, ale jak powiedział Michał Barysznikow: „W balecie perfekcja jest tylko teorią”.

Polski Balet Narodowy, „Kreacje V”, choreografa: Victor Banka, Barbara Bartnik, Michał Chrościelewski, Joanna Drabig, Anna Hop, Lachlan Phillips, Kurusz Wojeński, pokazy: 19, 20 i 21 kwietnia 2013 r. w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej w Warszawie.



REKLAMA

RAMMSTEIN

4 CZERWCA SLAYER KORN BEHEMOTH
AIRBOURNE MASTODON GHOST BC
LOVE AND DEATH

II EDYCJA
IMPACT FEST
A LIBERATION FESTIVAL
LOTNISKO BEMOWO, WARSZAWA

FOT. P. R. BROWN

THIRTY SECONDS TO
MARS

PARAMORE STEREOPHONICS NEWSTED
ASKING ALEXANDRIA
IAMX NEGRAMARO

5 CZERWCA

WARSZAWA, LOTNISKO BEMOWO
BILETY EVENTIM.PL I LIVENATION.PL

LIVENATIONSTORE LIVE NATION BEMOWO ARTYRADIO wprost ams L&F rbl.tv DEEZER Głazysta MALE MEN cgm.pl ROCK onet. tvn

ROZMAWIA KAROLINA SULEJ

Ofiara dla Oriany

Jest podobna do wybitnej dziennikarki, nie tylko fizycznie. Lubi Polskę. Żyje i pracuje na pełnych obrotach. O roli w filmie „Wałęsa” Andrzeja Wajdy opowiada **Maria Rosaria Omaggio**.

Grając Oriane Fallaci w filmie „Wałęsa”, nie pierwszy raz styka się pani z postacią tej słynnej dziennikarki. Kilka lat temu czytała pani fragmenty książki „Kapelusz cały w czereśniach”, teraz zamieszczone na oficjalnej stronie internetowej Fallaci.

Siostrzeniec Fallaci, Edoardo Perazzi, poprosił mnie, abym przeczytała fragmenty tej książki w czasie jej oficjalnej prezentacji zorganizowanej w Mediolanie. Ten sam klip, który pani widziała, zobaczył mistrz Wajda, zanim zaangażował mnie do filmu. Mieliśmy okazję poznać się już wcześniej, wiele lat temu – na Festiwalu Filmowym w Sorrento, na którym gościli wybitni artyści z Polski: oprócz Andrzeja Wajdy Beata Tyszkiewicz, Jan Englert, Kazimierz Kutz i Daniel Olbrychski. Fallaci od zawsze była jedną z moich ulubionych pisarek i marzyłam, by kiedyś ją zagrać.

W czasie Festiwalu Filmowego w Rzymie, dzięki Massimo Cantiniemu Parriniemu (późniejszy konsultant wizerunku Oriany Fallaci w filmie), poznałam Alessandro Leone, włoskiego producenta pracującego w Polsce, m.in. przy „Bitwie pod Wiedniem”. Kilka dni później Alessandro spotkał się w Warszawie z producentem Michałem Kwiecińskim, który powiedział mu, że Andrzej Wajda poszukuje włoskiej aktorki Marii Rosarii Omaggio, żeby zaproponować jej rolę Oriany Fallaci, na co Leone odpowiedział: „Poznałem ją dwa dni temu w Rzymie”.

Postać Oriany Fallaci w filmie sprawia, że Wałęsa się uczłowiecza – nie jest już jedynie oglądaną w „Wiadomościach” figurą.

Wywiad Oriany z Wałęsą był niewątpliwie wywiadem proroczym. Jeste-



Oriana Fallaci (powyżej) mówiła o sobie, że jest raczej historyczką niż dziennikarką – przypomina Maria Rosaria Omaggio (po lewej), która wcieliła się w postać zmarłej w 2006 r. gwiazdy.

śmy w marcu 1981 r. Wałęsa jest już wtedy liderem „Solidarności”, ale jeszcze nie tak rozpoznawalnym. Pytania, które Oriana zadaje Lechowi, odpowiadają zaś dokładnie kolejnym etapom zmian, jakie potem miały miejsce nie tylko w Polsce, ale także na linii Wschód – Zachód. Oriana dysponowała bowiem ogromną wiedzą geopolityczną. Określała siebie zresztą nie jako dziennikarkę, lecz jako historyczkę. W czasie spotkań z wielkimi przywódcami Oriana starała się więc jednocześnie odkryć ich ludzkie oblicze, nie ukazywać ich tylko jako figur „ducha dziejów”, ale też próbowała pokazać, jak wiele robią, aby utrudnić dojście do prawdy, na której poznaniu jej zależało.

Z Wałęsą było jej o tyle trudno, że miał on dla niej bardzo mało czasu, a na dodatek nie traktował jej z należytym respektem, do którego była przyzwyczajona. Oriana zaliczała ten wywiad do najbardziej nieudanych.

Wałęsa rzecz jasna wiedział, z kim ma do czynienia – znał reputację Oriany. Na początku rozmowy nie czuł się swobodnie. Był zwyczajnym, prostym robotnikiem, którego siłą były proste idee, a miał się spotkać ze sławną dziennikarką, która rozmawiała z wielkimi tego świata – na pewno wywoływało to u niego skrępowanie. Nie jest jednak prawdą, że Oriana uważała tę rozmowę za jedną z mniej udanych.

To był moment dla niej szczególnie. Oriana właśnie opublikowała książkę „Un uomo” (Człowiek), którą poświęciła swojemu życiowemu partnerowi, grekiemu rewolucjonście Aleksandrosowi Panagoulisowi, zmarłemu w tragicznych okolicznościach, przez wielu, w tym i przez samą Oriane, uznanych za nieprzypadkowe. W oczach ukochanej Aleksandros stał się męczennikiem za sprawę. Po kilku chwilach złośliwej wymiany zdań z Wałęsą Oriana zaczyna się do niego przekonywać właśnie z uwagi na pamięć o Aleksandrosie. Widzi w jego historii podobieństwo do losu ukochanego. Zdaje sobie sprawę, że Lech ryzykował życie, że walczył o wolność. To bohater jak Panagoulis. I to właśnie starałam się pokazać w filmie, tę emocjonalną przemianę w stosunku do Wałęsy, który także w czasie rozmowy zmienia nastawienie do Oriany. Istnieją trzy słowa, tylko trzy, ale za to niezwykle ważne, które w moim odczuciu łączą Oriane Fallaci, Lecha Wałęsę i dzieło Andrzeja Wajdy, a są to:

„wściekłość”, „wolność” i „sprawiedliwość”. To wspólny mianownik filmów Wajdy, historii życia Wałęsy i Oriany Fallaci.

Pojawiały się jednak przecieki z tego wywiadu, wedle których Oriana miała określić Wałęsę jako nadętego bufona, a on sam miał o niej powiedzieć, że jest namolna. Orianie zależało jednak na tym, żeby „Solidarność” była postrzegana na Zachodzie jako coś ważnego. Nie chciała pokazywać słabości jej najbardziej charyzmatycznego przywódcy.

Jedyne znane w Polsce fragmenty wywiadu pochodziły z podsłuchów w domu Wałęsy. Po jakimś czasie ukazał się wywiad w prasie podziemnej, ale źle przetłumaczony. Dopiero niedawno wyszła w Polsce książka „Wywiad z władzą” zawierająca oryginalny tekst tej rozmowy. Ja z kolei przywiozłam na plan zapis wywiadu, stenogram wykonany ręką samej Fallaci. W filmie znajdują się prawdziwe notatki z rozmowy.

Kiedy Oriana poznała Wałęsę, właśnie w tych notatkach zapisała, że jest podobny do Pancho Villi, meksykańskiego przywódcy chłopskiej partyzantki, obdarzonego równie charakterystycznymi co Lech wąsami. W samej rozmowie jednak, żeby sprowokować Wałęsę, posłużyła się porównaniem z inną politycznie istotną postacią. Powiedziano jej, że rozmawiając z Wałęsą, nie powinna wspominać o Związku Radzieckim, a ona otwiera wywiad słowami: „Tak na pana patrzę i myślę sobie, że wygląda pan jak Stalin, te same wąsy, profil, postura”. Wałęsa jest poruszony. Zrobiła to celowo, aby wydobyć od niego jakieś deklaracje. Z pewnością nie mogło się to Wałęsie podobać. Pyta zaraz: „Co mogę zyskać na tym wywiadzie?” Na co Fallaci odpowiada: „Wywiad przeprowadzam ja, rezultat jednak zależy od tego, co pan powie, a nie ode mnie”.

W ostatnim zdaniu wywiadu Wałęsa stwierdza jednak, że ma nadzieję, że również dla Oriany Fallaci znajdzie się miejsce w raju. Tak, wywiad kończy się wzajemnym podziwem. Ostatnie słowa Lecha brzmią: „Dała mi pani wiele do myśle-



MARIA ROSARIA OMAGGIO

Urodziła się w 1957 r. w Rzymie. Jest aktorką teatralną, telewizyjną i filmową. Dała się poznać również jako pisarka. Jej kreację w filmie „Wałęsa” (w roli tytułowej Robert Więckiewicz, na zdjęciu powyżej wraz z Omaggio) będziemy mogli podziwiać jesienią.

nia. Nigdy o pani nie zapomnę. I jeśli polska cenzura pozwoli opublikować pani książkę, to ją przeczytam. Będzie to pierwsza książka w moim życiu. Zobaczymy się jeszcze? Jeśli trafię do raju, zajmę pani miejsce”. Kiedy rok później Lech jest internowany, poruszona tym faktem Oriana wraca do Polski, aby porozmawiać z Mieczysławem Rakowskim, i zadaje mu bardzo ostre pytania o stan wojenny, o czołgi w Warszawie, a przede wszystkim o Wałęsę, widząc w tym uwięzieniu niebezpieczeństwo dla Lecha. Mogłabym nawet nieśmiało powiedzieć, że trochę mi szkoda, że nie będzie o tym mowy w filmie, bo miało to swoją wagę na poziomie międzynarodowym. W książce „Wywiad z władzą” rozmowy te zostały zamieszczone obok siebie. I wobec Rakowskiego Fallaci wcale nie jest uprzejma, ani na początku, ani na końcu rozmowy. Relacja z Lechem była dla Oriany odkryciem. Zdała sobie sprawę, że uosabiał on nie tylko walkę o wolność Polski, ale i otwarcie wrót między komunizmem a kapitalizmem. Była piekielnie inteligentna. Można powiedzieć o niej wszystko: że była straszna, miała okropny charakter, ale na pewno była szalenie przenikliwa.

Jest jeszcze jedna kwestia, która wydaje mi się bardzo istotna. Wiadomo

wszystkim, że Fallaci miała poglądy antyklerykalne i była zdeklarowana ateistką. Lecz w czasie wywiadu z Wałęsą zdała sobie sprawę, jak ważną rolę odgrywał Kościół w Polsce w zaistniałej sytuacji. To też bardzo ważny moment filmu. Oriana pyta: „Chciałabym wiedzieć, dlaczego nosi pan wizerunek Matki Boskiej w klapie”, a on wyjaśnia jej, że Kościół w Polsce jest zupełnie czymś innym niż w Włoszech, bo zawiera w sobie dążenie do wolności i do sprawiedliwości.

I jeszcze jedna ciekawostka. Panagoulis dał Orianie ikonę z Czarną Madonną, którą ona zawsze nosiła przy sobie. Tak więc dla niej nie był to tylko wizerunek religijny, a coś więcej. Kiedy pierwszy raz przyjechałam do Warszawy, postanowiłam kupić małą srebrną ikonę z Matką Boską Częstochowską, którą podarowałam siostrzeńcowi Oriany Fallaci. Wiąże się z tym pewna anegdota. To zbieg okoliczności, ale szczególny. Wiele lat temu, kiedy wychodziłam po próbie w teatrze, trafiłam na mały targ. Jakiegoś młody chłopak z Polski sprzedawał tam kilka skromnych rzeczy: ikonę, dwie filiżanki. Powiedział do mnie: „Potrzebuję pomocy”. W odpowiedzi zapytałam: „Ile chcesz za tę ikonę?”

ona: „Ile pani da”. Otworzyłam portfel i dałam mu wszystko, co akurat miałam przy sobie, nawet najdrobniejszą monetę. Dopiero później, kiedy wzięłam udział w filmie Andrzeja Wajdy, zdałam sobie sprawę, że to wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej.

Czy w nastawieniu do spraw związanych z religią jest pani bliżej do Oriany czy do Lecha?

Interesuje mnie istnienie ludzkie, które poszukuje siebie samego, więc wolę mówić o duchowości, a nie o religii. Także dlatego, że wiem, iż słowo „religia” wiąże się ze słowem „relegare”, czyli zamykaniem się, podczas gdy duchowość jest otwarciem. W czasie odtwarzania roli Oriany napotkałam pewną trudność. Fallaci, w przeciwieństwie do mnie, nie darzyła sympatią papieża. W mieszkaniu Wałęsów wisiał portret Jana Pawła II, na który w pewnym momencie Oriana spogląda z mieszaniną niechęci i drwiny. Nie było to dla mnie łatwe zadanie. Darzę olbrzymim szacunkiem tradycję i sądzę, że należy szukać swojej duchowości w „genetycznym” dziedzictwie, które w naszym przypadku wiąże się z tradycją katolicką. Oczywiście trudniej jednak powrócić do znanych od dzieciństwa modlitw, niż nauczyć się nowych. Egzotyka sprawia, że czujemy się swobodniej, podczas gdy to, w czym wyrastaliśmy, wywołuje w nas skrępowanie. Jednak właśnie nad tym należy pracować, jeśli poszukujemy samych siebie.

Duchowość Oriany w relacji z innymi ludźmi w pewnej mierze przypomina moją. Fallaci była bardzo szczodra. Pomimo trudnego charakteru wielką radość sprawiało jej, kiedy mogła kogoś uszczęśliwić. Z pewnością to nas łączy. Widzieć kogoś szczęśliwym to niemal jak modlitwa.

Oriana to nie tylko ikona dziennikarskiej etyki, ale także figura nieustraszonej feministki. Lech nie był przyzwyczajony do takich kobiet. Oriana nie była feministką, była anarchistką. Nie stała po niczyjej stronie. Trochę jak Wałęsa.

W tym wywiadzie można odczuć nastroj damsko-męskiej gry.

Podobnie jak we wszystkich wywiadach Oriany. Fallaci uwodziła i używała kobiecej intuicji, aby jak najdogłębniej przedstawić osobowość rozmówcy. Robiła tak nie tylko w stosunku do mężczyzn, ale i kobiet. Wywiad Fallaci z Goldą Meir, który zainspirował ostatnio przeze mnie reżyserowaną sztukę Williama Gibsona „Golda’s Balcony” (Balcon Goldy), nie ukazuje jej tylko jako męża stanu, ale również jako kochankę, babcię, żonę. Nikt nie jest przecież jednowymiarowy. Wszyscy starają się pokazywać ludzi według jakiegoś schematu, bo tak jest łatwiej, ale przecież nikt nie jest tylko piękny lub tylko zły. Na tym polega złożoność człowieka. To dobrze, jeśli w kobiecie jest trochę z dziwki i trochę ze świętej. Na tym polega właśnie kobiecy czar. Jest we mnie jednocześnie wiele z aktorki i wiele z Marii nieaktorki. Trudno jest odciąć życie od kariery.

Ja wyobrażam sobie życie bez mężczyzny, ale nie bez mojej pracy.

Być może dlatego Oriana opłacała swoją wielką karierę głęboką samotnością. Kiedy w życiu zostaje się samemu, tylko

Czy teraz, gdy jest pani aktorką dojrzałą, otrzymuje pani ciekawsze oferty ról?

Każdy etap życia ma swój urok. W wieku 30 lat pracowałam z ErlanDEM Josephsonem, dziś pracuję z Wajdą. Kłopot polega na tym, że zwłaszcza we Włoszech – nie jest tak we Francji czy w Anglii – i trochę też w Stanach Zjednoczonych nie ma historii o kobietach po czterdziestce. A przecież najważniejsze role w społeczeństwie odgrywają kobiety między 40. a 60. rokiem życia! Głupotą z mojej strony byłoby, gdybym próbowała się odmładsza. Oriana była w moim wieku, gdy przeprowadzała wywiad z Wałęsą. To zarazem jej najbardziej znany wizerunek i najbardziej charakterystyczny moment w karierze. Oriana-ikona to Oriana-kobieta, a nie Oriana-dziewczyna czy Oriana-starsuszka. Jeśli myślimy o Orianie, pojawia nam się przed oczami kobieta w średnim wieku.

Jak pani widzi własne emploi?

Przed wszystkim grałam kobiety silne. Medea, George Sand, Dydona. Nawet w filmach komediowych były to kobiety z charakterem, kobiety silne. Nigdy nie zagrałam ofiary.

Starła się pani upodobnić do Oriany Fallaci nie tylko poprzez środki wyrazu aktorskiego, ale także uciekając się do sposobów wręcz magicznych. Założyła pani jej futro, przypięła jej kameę.

Wiedząc, z jaką dokładnością mistrz Wajda stara się odtworzyć realia epoki, dokonałam prawdziwej dokumentacji. Może także w tym przypominałam Oriane, że drażnę, jestem bardzo dokładna, staram się zawsze dojść do sedna. Przywiozłam do Polski oryginalne przedmioty należące do Oriany Fallaci; poza dyktafonem, futrem i kameą udało mi się też zdobyć czerwone papierosy Lark, które Oriana paliła w latach 80. Paliłam je w czasie zdjęć, choć były bardzo mocne i gorzkie. Robert Więckiewicz miał jeszcze gorzej, bo palił papierosy bez filtra, takie jak Wałęsa. Oboje ponieśliśmy tę ofiarę z przyjemnością.

BF Oriana nie była feministką, była anarchistką. Nie stała po niczyjej stronie. Trochę jak Wałęsa.

z pracą, w człowieku wyzwała się pewna oschłość. Chyba coś takiego przydarzyło się właśnie Orianie.

W pani karierze też bywały z pewnością momenty, kiedy miała pani dosyć.

Nigdy nie miałam dosyć pracy. Zaczęłam pracować jako 16-latką i do dziś nie przestaję działać na pełnych obrotach. Zadebiutowałam na dużym ekranie, grając z Tomaszem Milianem i występując równolegle w filmie „La Lozana Andalusia” wyreżyserowanym przez Vincente Escrivá.

ROZMAWIA MIKE URBANIAK, ZDJĘCIA BARTOSZ JANKOWSKI

Nowy od nowa

Dekadę temu z prowincjonalnego teatru w Wałbrzychu zrobił jedną z najważniejszych polskich scen. Dzisiaj kieruje Teatrem Nowym w Poznaniu i ma podobny plan. **Piotr Kruszczyński.**

Nie masz biurka?

Jakoś się nie dorobiłem. Ale nie brakuje mi go. Nie jestem dyrektorem gabinetowym, spędzam czas, chodząc po teatrze. Lubię być blisko sceny.

Trudno się robi teatr w takim nudnym mieście jak Poznań?

Spodziewałem się tego pytania. Tak, trudno. Poznań jest nudny i mieszczański, a ja sam jestem nudnym mieszcuchem.

A poważnie?

Trudno być prorokiem we własnym kraju. Nie mam tu takiego dystansu do miasta, jaki miałem, kiedy tworzyłem teatr w Wałbrzychu. Tam byłem obcym, przybyszem z innego świata, zafascynowałem się miastem, robiłem o nim teatr. W Poznaniu żyję czterdzieści parę lat i mam to miasto w genach. Teraz muszę zapraszać ludzi z zewnątrz, żeby mi opowiedzieli, co się tu ich zdaniem dzieje.

Czyli jednak coś się dzieje?

Myślę, że jakby podnieść te porzucane dywany, to znalazłoby się trochę fafołów, czyli paprochów. Zastanawiam się nad tym, czy Poznań nie potrzebuje swojej Elfriede Jelinek, która by pogrzebała w naszych pruskich duszach.

I?

Wyciągnęłaby z nich jakieś demony.

Ale czy poznańska publiczność jest na to gotowa? Zaobserwowałem, że poruszenie na widowni wywołuje zwykle ściągnięcie przez aktora spodni. Dodam, mającego majtki.

Majtki w wielu miejscach w Polsce wywołują poruszenie, a tym bardziej ich

brak. W Poznaniu mamy raczej do czynienia z aplauzem dla różnych aktorskich gestów. Wkurzam się, gdy widownia akceptuje tanie komediowe chwytły. Ale jeszcze bardziej wkurza mnie bezrefleksyjny aplauz dla hermetycznej artystowskiej wypowiedzi. A są reżyserzy, którzy się w tym specjalizują.

Pijesz do Krzysztofa Garbaczewskiego i jego głośnej ostatnio, wywołującej kontrowersje w Poznaniu „Balladyny”?

Ktoś piszący o teatrze wyraził na Facebooku pogląd, że gdyby był dyrektorem teatru, to zbudowałby piwniczkę dla wybranych reżyserów. Mogliby się

Nie. Jestem za tym, żeby teatr był komunikatywny, żeby twórcy starali się nawiązać kontakt z widownią, podejmowali z nią istotny dla obu stron dialog. Zamiast tego mamy często buńczuczne prowokacje. Też byłem młody i chciałem opowiedzieć o wszystkim, co siedzi w mojej głowie, rozumiem taką potrzebę. Jednak jako dyrektor publicznego teatru staram się dbać o wzajemną inspirację między sceną i widownią.

Dlaczego po maturze poszedłeś na architekturę?

Dlatego, najprościej mówiąc, że jestem poznaniakiem. Urodziłem się w rodzinie, w której był i lekarz, i adwokat, i inżynier. A że przejawiałem talent artystyczny – dokładnie rzecz biorąc plastyczny – to trzeba było mnie posłać na jakieś przyzwoite studia, godne rodziny z inżynierami i adwokatami. Skoro rysuje, niech już rysuje, ale chociaż coś pożytecznego.

Czyli to nie był twój wybór?

Dokonywałem go, kiedy miałem 16 lat, bo o dwa lata wcześniej poszedłem do szkoły. Trudno więc mówić w tym wieku o świadomych wyborach. Znajomy rodziny był architektem, uczył rysunku. Przekonał moich rodziców i mnie, że można się spełniać artystycznie przy projektowaniu mostów.

Dlaczego poszedłeś dwa lata wcześniej do szkoły?

Uznano, że jestem wybitnie uzdolniony.

Sprawdziło się?

Jak widać nie. Na uczelnię poszedłem jako nieświadomy 17-latek. Miałem



pamiętam, taki tymczasowy, czerwony dowód osobisty, z orłem bez korony.

Lubiłeś te studia?

Bardzo. Wszyscy byli starsi ode mnie. Byłem takim beniaminkiem. Oczywiście niepijącym i niepalącym.

Oczywiście?

Pijący i palący nieletni w Poznaniu? Nie do pomyslenia. Na studiach poznałem zwariowanych profesorów-artystów, którzy zburzyli mój pogląd na uporządkowaną edukację inżynierską. Byli wspaniali, nieco „przedwojenni”. Po-tem, już w szkole teatralnej, też miałem szczęście do starych dobrych nauczycieli. Byli wśród nich i Holoubek, i Zaspasiewicz. To znaczący ludzie w moim życiu.

Kiedy pojawił się teatr?

Tak na poważnie wraz z Jerzym Gutawskim, który uczył na architekturze jako scenograf Grotowskiego był czło-

wiekiem świetnie zorientowanym w teatrze. Anegdotami o Grocie sypał jak z rękawa.

A przed studiami miałeś jakieś teatralne ciągoty?

Oczywiście były amatorskie próby teatralne. Pamiętam trudne rozmowy dyrektorki liceum z moją mamą, która usłyszała, że mam talent i powinno się mnie wysłać na wydział aktorski. No i zaczął się dramat. Matka porządna, ojciec porządny, a syn aktor? Tragedia.

Posłuchałeś rodziców.

Tak, ale już po pierwszym roku architektury pojechałem potajemnie do warszawskiej szkoły teatralnej. Przesłuchał mnie Jan Englert i powiedział, że jestem okej. Chciałem nawet złożyć papiery, ale akurat wtedy mój ukochany dziadek dostał zawału i wylądował w szpitalu. Poszedłem go odwiedzić i on na szpitalnym łożu szepnął: „Tylko nie bądź

Piotr Kruszczyński, kierując Teatrem Nowym, chce poszturczać trochę zachowawczą poznańską widownię.

aktorem, proszę cię”. Nie pojechałem na egzaminy.

Naprawdę tak powiedział?

Przysięgam, choć sam był dość niestandardowym adwokatem, bo pisał wiersze i malował obrazy. Myślę, że w gruncie rzeczy to on zasiał we mnie tak zwaną artystyczną wrażliwość.

Dlaczego tak bardzo nie chciał, żebyś został aktorem?

Widocznie uważał, że to nie jest wystarczająco twórcze, samodzielne. Dzisiaj się z nim zgadzam. Za dużo jest w zawodzie aktora przypadku i skazania na decyzje innych.

Dziadek przeżył ten pobyt w szpitalu?

Jasne. Żył jeszcze wiele lat, a ja skończyłem architekturę.

Jaki był temat twojego dyplomu?

„Analiza historyczna układów przestrzeni teatralnej z przykładem jej ada-

ptacji w warunkach współczesnych. Dom – Teatr”.

Skąd ten pomysł?

Moi dziadkowie ze strony ojca mieli dom na poznańskiej Wildzie. Nazywał się „Willa Helena”, bo był zbudowany na cześć mojej prababci. Stwierdziłem, że jestem w stanie przeistoczyć ten dom w miejsce teatralne, i zrobiłem taki projekt.

Udało się?

Na projekcie? Fantastycznie. W środku było miejsce na scenę kameralną z widownią na 100 osób, a na zewnątrz 300-osobowy amfiteatr. Zaprojektowałem też świątynkę Melpomeny. Dyplom złożyłem na ręce rodziców i wyprowadziłem się z domu, żeby zamieszkać w komunie. Najfajniejsze w tym moim buncie i ucieczce z domu było to, że codziennie rano mama przywoziła mi do tej komuny kanapki.

Co to była za komuna?

Różni, bardzo kolorowi ludzie kręcący się wokół teatru. Była wśród nich dziewczyna, której bogaci rodzice oddali do użytku willę, no i myśmy w niej zalegli. Robiliśmy różne teatralne wydarzenia i w końcu z paroma osobami pojechałem zdawać na reżyserię do Warszawy. Miałem pod pachą „Peepshow” George’a Taboriego. Tą sztuką zainaugurowałem niedawno moją dyрекcję w Teatrze Nowym. Historia zatoczyła koło.

Jak było na studiach w Warszawie?

Jako jedyny na roku człowiek spoza stolicy próbowałem się wkomponować w stołeczne realia, co nie było łatwe, bo pierwszy raz w życiu wyjechałem z Poznania. Od razu, na dzień dobry, usłyszałem od pani w szkolnym bufecie, że mówię z poznańskim akcentem.

Szkoła teatralna była tym, czym sobie wyobrażałeś, że będzie?

Ja sobie w ogóle niczego nie wyobrażałem, bo jak można sobie wyobrazić coś tak abstrakcyjnego jak reżyseria? To, mam wrażenie, w ogóle nie jest zawód.



PIOTR KRUSZCZYŃSKI

Urodził się w 1967 r. Jest rodowitym poznaniakiem, absolwentem Wydziału Architektury Politechniki Poznańskiej i Wydziału Reżyserii Dramatu Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej (dzisiaj Akademii Teatralnej) w Warszawie. Jako reżyser debiutował w 1997 r. sztuką „Fernando Krapp napisał do mnie ten list” Tankreda Dorsta na deskach Teatru Polskiego w Poznaniu. Zrealizował ponad 30 spektakli w polskich miastach oraz w Niemczech i USA. W latach 2002–2008 był dyrektorem artystycznym Teatru Dramatycznego im. Jerzego Szaniawskiego w Wałbrzychu, z którego zrobił jedną z najlepszych i najciekawszych polskich scen. Laureat wielu nagród kulturalnych. Od jesieni 2011 r. jest dyrektorem Teatru Nowego im. Tadeusza Łomnickiego w Poznaniu.

A co?

Potrzeba opowiadania własnej historii i zarażania nią innych. Reżyseria jest przede wszystkim pasją i świetnie, kiedy ta pasja przynosi jakieś profity, które pozwalają z niej żyć. Ale nie zawsze jest tak różowo.

Po reżyserii wróciłeś od razu do Poznania.

Dlaczego?

Mam to miasto we krwi. Jeszcze podczas studiów uciekałem ze szkoły w jakieś poznańskie asystentury, bo tu mogłem praktycznie współuczestniczyć w robieniu teatru. Taką możliwość w Teatrze Nowym dał mi jego ówczesny dyrektor Eugeniusz Korin.

Ale dlaczego akurat wybrałeś Nowy?

Bo jest wyjątkowy.

Dlaczego?

Na nim się wychowywałem. Tu była Izabella Cywińska, wielka osobowość teatralna. Tu oglądałem pierwsze spektakle. Pamiętam, jak wielkie wrażenie zrobiła na mnie „Balladyna” w reżyserii Janusza Wiśniewskiego. Miałem wówczas 13 lat. Na tej scenie widziałem w czasach Peerelu rzeczy ważne i odważne. Od zawsze lubiłem być w tym teatrze. Tu mogłem jeszcze przed studiami podglądać na scenie próby z Tadeuszem Łomnickim. A poza wszystkim, jako człowiek porządny, wygodny i nie lubiący się przemieszczać, wybrałem rodzinne miasto.

Nielubiący się przemieszczać? Przecież po skończeniu reżyserii jeździłeś nieustannie. Robiłeś spektakle w teatrach Gdyni, Gdańska, Kalisza, Gniezna, Jeleniej Góry, Warszawy, Krakowa, Wrocławia.

Taki jest los reżysera.

Co to był za czas, ta tułaczka po kraju?

Po szkole czekałem rok na debiut. W końcu zrobiłem sztukę „Fernando Krapp napisał do mnie ten list” Tankreda Dorsta w Teatrze Polskim w Poznaniu. Spektakl widziała Julia Wernio, która kierowała wtedy Teatrem Miejskim w Gdyni, i zaproponowała mi pracę. Pamiętam to uczucie: jadę do Gdyni, mam niesamowity zapał i energię, poznaję nowych aktorów, coś wspólnego. Dostałem do tego wszystkiego piękny pokój w Orłowie. Pierwszego poranka wyszedłem na balkon – słońce, morze... I pomyślałem sobie: kurczę, tak chcę żyć. Ale sielanka szybko się skończyła, bo przenieśli mnie do Domu Aktora, gdzie miałem pokój w piwniczce ze śmierdzącą wykładziną i grzybem.

Skąd się wziął w twoim życiu Wałbrzych?

Z nieba. Zadzwoił do mnie Jacek Głomb i powiedział, że potrzeba dyrektora artystycznego w Teatrze Dramatycznym w Wałbrzychu i czy bym nie chciał.

Dlaczego zadzwonił do ciebie?

Nie mam pojęcia, naprawdę. Myśmy się wtedy znali raczej słabo. Może pomyślał, że inżynier z menedżerską głową

to dobra opcja? W każdym razie pojechałem najpierw ten Wałbrzych zobaczyć. Ruszyłem instynktownie w kierunku Katowic, bo przecież wiedziałem, że węgiel i kopalnie, choć nigdy tam nie byłem. Na szczęście coś mnie knęło i zerknąłem na mapę. Wjechałem do innego świata. Bida tam była potworna. Na deski sceny kapłała deszczówka i śmierdziało stęchlizną. Uznałem, że to naprawdę fajne wyzwanie, żeby się tym miejscem zaopiekować. Zanim jeszcze podpisałem umowę, wymyśliłem festiwal Wałbrzyskie Fanaberie Teatralne. Chciałem najpierw zobaczyć, jak ludzie zareagują na teatralne święto. Zareagowali super, przyszły tłumy. A kiedy Majka Kleczewska zrobiła „Lot nad kukułczym gniazdem”, to już wiedziałem, że mogę zwieźć tam z Poznania swoje kartony i walizki.

Czyli nie byłeś dyrektorem dojeżdżającym?

Nie, przeprowadziłem się z całym majdanem do pokoju teatralnego na poddaszu teatru. Miałem wspólną łazienkę i kuchnię z aktorami. Tak żeśmy sobie żyli przez sześć lat.

Zostałeś dyrektorem podupadłego teatru w zdegradowanym mieście na końcu świata.

Skąd wzięłeś pomysł na podźwignięcie tej sceny?

Z ulicy. Chodziłem po mieście i rozmawiałem z ludźmi, a mieszkańcy Wałbrzycha byli bardzo otwarci i komunikatywni. Nazwałbym ten ich styl życia peerelowskim: wszyscy mają kupę czasu i integrują się przeciw siermiężnej rzeczywistości wokół. Gadałem w sklepach, w aptekach, na stacjach benzynowych i szybko zrozumiałem potrzebę wałbrzyszan do opowiadania historii. Kierunek stał się jasny: trzeba tym ludziom, w mieście z wieloma problemami, przywrócić godność przez teatr, oopowiadać o nich ze sceny. I zaczęło się kręcić, ludzie zaczęli przychodzić do teatru, uważać to miejsce za swoje i wyjątkowe. To było bardzo uzdrowicielskie dla Wałbrzycha. Zauważono, że w miejscu o dość dramatycznym stopniu beznadziei pojawiło się coś, co zaczyna być tego miejsca wizytówką.

Teatr Dramatyczny w Wałbrzychu stał się ogólnopolskim fenomenem. Zaczęło się o nim mówić i pisać, do miasta jeździli krytycy teatralni, powstawały głośnie i ważne spektakle. Jak to przyjąłeś?

A jak mogłem przyjąć? Fajne to było, ale dla mnie niezbyt istotne. Istotne okazało się za to dla zespołu aktorskiego, którego członkowie nagle stali się rozpoznawalni, jeździli na festiwale, dostawali nagrody. Przestali być anonimowi, a to jest chyba w gruncie rzeczy istotą tego zawodu. Planu na sukces nie było, robiliśmy po prostu swoje. Dla mnie to, co się wydarzyło, było naturalne, bo jak ktoś robi coś uczciwie, to w końcu ktoś inny może to zauważyć.

☞ Nie chciałem być pochowany na cmentarzu junikowskim w Poznaniu z napisem: „Tu leży Piotr Kruszczyński, ale powinien leżeć w Wałbrzychu”.

Teatr stał się pieszczochem władzy?

Trochę tak, i zacząłem się nawet tego bać, bo to ryzykowne.

Dlaczego?

Teatr zawsze musi iść w spak wobec obowiązującego porządku. Na szczęście zadowolenie i pochwały właściciela teatru, czyli samorządu Dolnego Śląska, zrównoważyły pravicowe środowiska Wałbrzycha, część miejskich radnych i niektórzy księża, którzy nas zaatakowali z ambon, na przykład za kalandry imienia Matki Boskiej w teatrze.

Zrezygnowałeś z funkcji dyrektorskiej u szczytu potęgi wałbrzyskiej sceny. Jaki był powód?

Zadecydowało zagrożenie oczywistością działań, bo po latach nasyciła się we mnie potrzeba opowiadania o mieście. Tę opowieść uznałem za zakończoną. Nałożyły się też na to sprawy prywatne. Wróciłem do Poznania.

Rozstanie z Wałbrzychem było trudne?

Nie, bo bardzo potrzebowałem już nowego środowiska, nowych wyzwań.

Kiedy dyrektor zbyt wiele lat siedzi z tym samym zespołem, to ma coraz większą trudność w odkrywaniu jego nowej energii, znajdowaniu nowych znaczeń. Zmiany są dobre. Poza tym mam dziwną tendencję do uciekania od sukcesów. Kiedy odebrałem nagrodę ministra kultury za spektakl zrobiony w Teatrze Polskim w Warszawie w 2002 r., uciekłem od reżyserowania. Kiedy zaczął mi doskwierać sukces wałbrzyski – też zwałem. Nie chciałem być pochowany na cmentarzu junikowskim w Poznaniu z napisem: „Tu leży Piotr Kruszczyński, ale powinien leżeć w Wałbrzychu”.

Niezwykłe było też płynne przejście schedy po tobie. Niespotykane w naszym kraju.

Ktoś napisał, że było to „pierwsze pokojowe przejście w dziejach polskiego teatru”. Nie zdecydowałbym się odejść z Wałbrzycha bez dobrego następcy. I tu wielki ukłon w stronę władz, które bez mrugnięcia okiem przyjęły moją propozycję, by stery teatru przejął Sebastian Majewski.

Który przez ostatnie cztery lata świetnie nim kierował. Wyobrażam sobie, że kiedy zrezygnowałeś z Wałbrzycha, zostałeś zasypywany ofertami pracy z całej Polski.

Owszem, od aktorów. Zespoły aktorские chciały, żebym u nich zrobił taki teatr jak w Wałbrzychu. Ale nie można być skutecznym dyrektorem, kiedy jest się nominowanym przez pracowników.

Nie było propozycji od samorządów?

Nie, politycy nie śledzą pilnie tego, co się dzieje w życiu kulturalnym. W Niemczech, kiedy się odniesie sukces w mniejszym teatrze, dostaje się propozycję poprowadzenia większego, wędruje nieustannie w górę, aż do najbardziej prestiżowych scen. U nas tak się nie dzieje, oferty się więc nie posypały.

Zaskoczyło cię to?

Tak, ale we frustrację nie popadłem. Zabrałem się za reżyserowanie, bo jestem przede wszystkim reżyserem. Dyrektorem tylko bywałem.

Nastąpił powrót do walizek?

Jasne. I czasem na niedzielny obiad u poznańskiej babci.

Od półtora roku jesteś dyrektorem Teatru Nowego w Poznaniu. Tego samego, w którym przesiadywałeś, kiedy byłeś nastolatkiem.

To trochę taka historia od pucybuta do milionera, a raczej od widza do dyrektora. Pierwsze spotkanie z aktorami było dla mnie wielkim przeżyciem. Stanałem przed ludźmi, których podziwiałem na scenie, kiedy byłem dzieckiem. Ale są też i tacy, których nie widziałem nigdy w żadnych znaczących rolach. Dlatego postanowiłem, że każdy dostanie szansę zagrania ważnej roli. To był rok demokracji.

Demokracja w teatrze? Dość oryginalnie.

Na krótko. Ten czas się już kończy i teraz bierzemy się za wyzwania.

Jakie?

No właśnie. Ten teatr jest bardzo harmonijną instytucją. Bilety się sprzedają, widownie (bo mamy trzy sceny) są pełne, ludzie przychodzą na swoich ulubionych aktorów, biją brawo, często na stojąco.

Wczoraj na „Dwunastu gniewnych ludziach” Radosława Rychcika wstali.

Cieszę się.

I widownia była rzeczywiście pełna, a był wtorek.

No właśnie, a bilety nie są takie tanie. Dzięki wpływom z kasy możemy produkować tyle premier, żeby 40-osobowy zespół miał w czym grać.

No dobrze, ludzie przychodzą, produkujecie kolejne premiery, bilety się sprzedają. To co to za wyzwania?

*W tym całym układzie brakuje czegoś, o czym mówiliśmy na początku – prowokacji, zajrzenia pod poznańskie dywany, czasami nawet foliowane, żeby się nie zabrudziły. Chciałbym w tym po-grzebać, spróbować znaleźć poznańską duszę, wejść do niej, zobaczyć, co się kryje pod wszystkimi pozorami, naszą

słynną przedsiębiorczością i dobrym wychowaniem.

Na afiszu Nowego jest już sporo nazwisk z teatralnej młodej czołówki reżyserskiej: Monika Strzępka, Marcin Liber, Radosław Rychcik. Oni się do poznańskiej duszy nie doszperali?

Nie takie było ich zadanie. Zaprosiłem ich, żeby poznańscy widzowie mogli się zapoznać z życiem teatralnym Polski, topowymi nazwiskami, bo nasz poznański światek teatralny był dotąd dość hermetyczny i trzeba go było otworzyć. Teraz mamy już nawet Garbaczewskiego, ale w sąsiednim teatrze.

Jak są przyjmowane te gorące nazwiska?

Jak to w Poznaniu, gościnnie. Czyli niepokojąco bardzo dobrze.

A może to jest tak, że publiczność klaszcze i mówi, że bardzo fajnie, bo jest – jak twierdzisz – dobrze wychowana, ale potem wraca do domu i nie zostawia na tym, co zobaczyła, suchej nitki?

I tu trafiłeś w sedno duszy poznaniaka, który jest nad wyraz gościnnie. Podejrzewam, że trochę ze strachu przed nowym, nieoczekiwanym, zaskakującym.

W tym roku Teatr Nowy obchodzi naciągany jubileusz 90-lecia powstania i nienaciągany jubileusz 40-lecia reaktywacji sceny przez Izabellę Cywińską.

Ten pierwszy rzeczywiście jest średnio interesujący, ot, w 1923 r. w miejscu, w którym obecnie jesteśmy, powstała scena dramatyczna. Niedługo potem zresztą zbankrutowała. Bliski jest mi natomiast drugi jubileusz, bowiem w 1973 r. Izabella Cywińska reaktywowała ten teatr i zrobiła z niego bardzo ważną scenę. Warto przypomnieć poznaniakom, jaką rolę odgrywał we współczesnej historii Teatr Nowy. Tu działy się rzeczy niepokorne, awangardowe, zajmowano się sprawami aktualnymi, a nie żadnym teatralnym muzealnictwem. To był zawsze teatr obywatelski, kształtujący określone postawy społeczne w Peerelu. Tu się mówiło aluzyjnie o ustroju i otwarcie o wypadkach czerwcowych. Dlaczego nie mielibyśmy tej tradycji kontynuować w nowych, współczesnych odsłonach?

Taki masz plan?

Tak właśnie chcę nasz teatr programować. Odcinanie kuponów od sukcesów z przeszłości uważam za śmierć zawodową. W Nowym zaczynam od nowa.




i Rzeczpospolita



Gdziekolwiek jesteś, korzystaj z najświeższych informacji o Polsce, współczesnym świecie, prawie i gospodarce.

Pobierz aplikację w App Store i Google Play już dziś.

 RZECZPOSPOLITA

 rp.pl / zakupy

Maciej Nowak

Śmiercisyn



ARTUR KOT

Spektakl Passiniego to nie biografia Morrisona. To pejzaż jego umierania, w którym postaci realne mieszają się z figurami wykreowanymi.

Autor jest teatrologiem, szefem Instytutu Teatralnego, smakoszem, autorem barwnych recenzji kulinarnych. U nas pisze o premierach teatralnych.

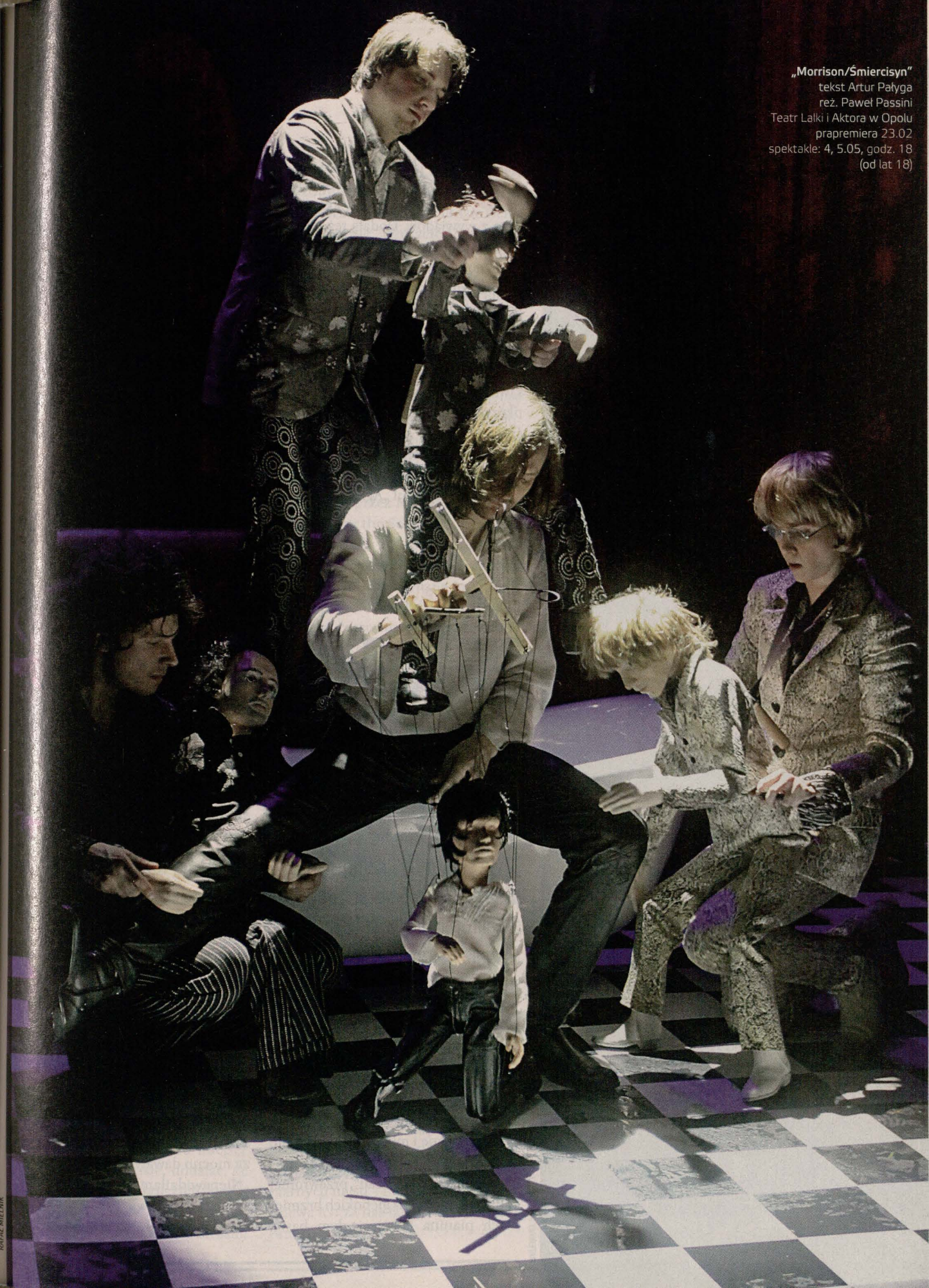
– Ale masz na scenie spodnie na zmianę? – w tę mroźną wiosnę zatroszczyłem się o zdrowie Sambora Dudzińskiego, który spektakl „Morrison/Śmiercisyn” w reż. Pawła Passiniego w Teatrze Lalki i Aktora w Opolu rozpoczyna niczym martwy Marat w wannie pełnej wody. – Niby mam, ale nie umiałbym ich założyć. Mokra ciucha daje mi siłę do końca przedstawienia, szczególnie w scenie finałowej, kiedy po śmierci Morrison przeistacza się w węża. Wilgotne spodnie zamieniają się w gadzią łuskę, opalizująca i śliska.

Dudziński w rolę Morrisona włożył cały swój talent muzyczny i wokalny, dawne, wyniesione jeszcze ze szkoły we Wrocławiu, umiejętności lalkarskie oraz szaleństwo człowieka wychowanego w rodzinie artystycznej. I jeszcze tę wyjątkową wrażliwość i kruchość, charakteryzującą tylko najwybitniejszych. Jeszcze zanim rozświetli się scena i zobaczymy martwego Morrisona w łazience paryskiego hotelu, Sambor Dudziński czaruje widzów czekających w foyer swoimi interpretacjami kawałków Doorsów. Jest wciśnięty z instrumentami w małą przestrzeń za półuchylonymi drzwiami na widowie. By na nią wejść, musimy się niemal otrzeć o rozwibrowanego wokalistę. A tam, w ciemności, w ostatnim rzędzie targa już struny gitary basowej sam reżyser. Głosem kreatora otwiera przedstawienie: – Wszystko zaczęło się w Paryżu.

A przecież tam wszystko się skończyło. Spektakl Passiniego to nie biografia Morrisona. To pejzaż jego umierania, w którym postaci realne, rodzice (Miriola Ordak-Świątkiewicz), Doorsi, producent, zabity na autostradzie Indianin, ostatnia dziewczyna Pam,

mieszają się z figurami wykreowanymi. Strażnikiem (Zygmunt Babiak) z „Procesu” Kafki, przybyszami z krainy Oz (Aleksandra Mikołajczyk, Krzysztof Jarota, Miłosz Konieczny) oraz Śmiercią (Barbara Kucharska), wijącą się w perwersyjnym tańcu nagą kobietą z rozłożystymi biodrami i długim, ptasim dziobem, wyciętą z rysunków Franciszka Starowieyskiego. I teatralnymi lalkami, wszak w teatrze lalek jesteśmy. Ale to nie lalki niosą przedstawienie, one są tylko pałubami, nieudolną materializacją ludzkich marzeń. Najbardziej przejmująca scena w planie lalkowym to koncert, podczas którego żywy Morrison-Dudziński niesie na sobie pozostałych Doorsów, uczepionych jego nóg, rąk, głowy. Z kolei wśród sytuacji aktorskich najmocniejsze wrażenie pozostawiają te z Pam, graną przez Helenę Sujecką, przemieniającą się w zastraszone, piszczące z przerażenia zwierzątko. A kiedy dochodzi już do śpiewania, mój Boże, brakuje słów, by opisać ten dźwięk dobywający się z samych trzewi, hipnotyczny i obezwładniający.

Morrison ustawiony w porządku eschatologicznym i mitologicznym to niewątpliwe osiągnięcie Passiniego i Artura Pałygi, który napisał tekst do opolskiego spektaklu. Ale epizody z kariery lidera Doorsów gnają też myśli i skojarzenia ku temu, jak funkcjonuje show-biznes w wymiarze bardziej doczesnym. Grana przez Łukasza Bugowskiego postać Danny’ego Sugermana to kwintesencja wszystkich estradowych oszustów świata, którzy talent artystów przerabiają na komercyjny towar, odpowiednio sformatowany i przycięty, by łaskotliwie bulwersować i zarazem przynosić godziwe zyski. Wszystkim, tylko nie tym, którzy oddają za to życie. ☞



„Morrison/Śmiercisyn”
tekst Artur Pałyga
reż. Paweł Passini
Teatr Lalki i Aktora w Opolu
prapremiera 23.02
spektakle: 4, 5.05, godz. 18
(od lat 18)



Chwila! Moje piosenki nie są mroczne, one są prawdziwe” – powiedziała artystka w jednym z wywiadów. Dodała też, że ból, strach, smutek to część naszego życia, czy tego chcemy czy nie, trzeba więc sobie z tym jakoś radzić. Jej sposobem na udźwignięcie ciężaru egzystencji jest tworzenie muzyki. Kogoś zatem dziwi, że w jednej z najnowszych piosenek „Atheists Have Songs Too” do pokrzykiwań przywodzących na myśl bojowe okrzyki indiańskich wojowników wyśpiewuje wersy pokroju „Cierpienie to jak przechodzenie na drugą stronę”? Trzeci solowy krążek Rykardy, noszący wyzywający tytuł „Against the Sun”,

DOMINIKA WĘCŁAWEK

Nick Cave w spódnicy

„Żyję samotnie i samotnie idę” – śpiewa na nowej płycie piosenkarka i tekściarka Rykarda Parasol. Pochodzi z Kalifornii, ale w jej żyłach płynie szwedzka i polska krew. Pewnie dlatego tak łatwo przychodzi jej przekuwanie mroku w piękne piosenki.

właśnie na tę drugą stronę zagłada. Światła nie ma tam wiele. Co nie znaczy, że nie jest fascynująco.

„To potężne i miłe miejsce, jeśli nie przeszkadza ci samotność” – kusi wokalistka w „Island of Dead”, przewrotnej balladzie opartej na głębokich brzmieniach pianina i przeciągłym basie.

Ten skromny akompaniament szybko schodzi na trzeci plan, gdy słyszmy głos. Wyrazisty, niski, oscylujący wciąż między ciepłem i szorstkością wokala, wykorzystywany w takim repertuarze sprawia, że Rykarda Parasol nazywana jest Nickiem Cave'em w spódnicy. Niektórzy zachodni krytycy pisali nawet, że to jego lepsza, bo spotęgowana przez ten kobiecy, bardziej emocjonalny styl, wersja. I w dodatku działa sama, co w połączeniu z outsiderstwem ukształtowało ją jako artystkę.

Łyzwy, gust i samotność

A zaczynała od łyżew. Pochodząca ze Szwecji matka za punkt honoru

postawiła sobie, by jej córka rozwijała sportową karierę. Był tylko jeden kłopot. O ile Rykarda przyzwoicie radziła sobie na tafli, o tyle jej gust i charakter za mocno dawały się we znaki innym. „Nienawidziłam łyżew i muzyki klasycznej, sędziowie podczas zawodów nienawidzili muzyki, którą wybiera-



Rykarda Parasol „Against the Sun”, EMI



lam” – przyzna potem. Podczas gdy koleżanki jeździły do muzyki Strawińskiego, ona wolała stare instrumentalne kompozycje Pink Floydów. Nie została Sashą Cohen z Kalifornii, a jednym z niewielu dowodów na to, że jeździć umie, jest teledysk do piosenki „Hannah Leah”. Ku rozpaczy matki Rykarda wybrała śpiewanie. Początkowo miała zostać operową sopranistką. Ale w tej roli nie czuła się dobrze. Szkoląc głos, ponoć cierpiała niewymownie. Przełom nastąpił wraz z chorobą, która zatrzymała młodą Rykardę w domu na długi czas. Wraz z tanią gitarą, którą podarował jej ojciec. Nagle okazało się, że nie ma nic przyjemniejszego, niż w samotności układać kolejne piosenki. Potem zaczęła je nagrywać, samodzielnie reprezentując własne interesy. „Przez prawie dekadę wszystko robiłam na własną rękę albo z niewielkim wsparciem. W tym czasie próbowałam znaleźć pomoc w wytwórniach płytowych i agencjach koncertowych działających w USA. Mogłam liczyć tylko na siebie” – mówi w jednym z wywiadów. Niespodziewanie pomoc przyszła z najmniej spodziewanego kierunku. Z ojczyzny ojca artystki, czyli z Polski.

Rykarda spotyka Polskę

„Ten kraj ma w moim sercu miejsce szczególne” – przyznaje, dodając, że energia i entuzjizm polskich fanów nadały jej pracy nowy sens. W rozmowach z zagranicznymi dziennikarzami

wyjaśnia chętnie, że u nas słuchacze są czujni i empatyczni, publiczność na koncertach aktywna, a ludzie wciąż czytają poezję. Wreszcie to z Polski przyszło wsparcie w postaci oficyny Gustaff Records, która w 2009 r. wydała drugi album artystki „For Blood and Wine”. Dzięki Polakom Rykarda postanowiła spróbować pracy w grupie. Zaczęło się po słowiańsku – przy wspólnym stole podczas wieczornej uczty. Z jednej strony siedzieli muzycy Made in Poland, z drugiej ona. Od słowa do słowa między Rykardą i Piotrem Pawłowskim zawiązała się nić porozumienia. Artystka najpierw dograła się do wydanej przez MiP w 2011 r. piosenki „Enjoy the Solitude”, aż wreszcie przyjechała, by wspólnie z superprojektem Heart & Soul jednoczącym muzyków z L.Stadt, Made in Poland, 2cresky, Cool Kids Of Death i NOT stworzyć czteroutworowy, chwalony przez krytyków minialbum. – Współpraca w studiu bardzo nam się podobała, to było niesamowite doświadczenie, wreszcie Rykarda śpiewała do nie swoich kompozycji – mówi w rozmowie z „Przekrojem” Piotr Pawłowski. Jak dodaje muzyk, mimo że we własnych piosenkach dziewczyna bywa bardzo noir, w studiu panowała wesołość. – Do niej bardziej pasuje słowo odpowiedzialna, ale to osoba z dużym poczuciem humoru, kontaktowa, nie jest typem gwiazdora – zapewnia Pawłowski. Atmosfera i to, jak sama twórczyni dopełniła kompozycji poszczególnych muzyków, zadziałało na wszystkich motywująco. Dowód? W rok po premierze „Heart & Soul feat. Rykarda Parasol” ukazuje się trzecia płyta artystki.

„Against the Sun” to nieodrodne dziecko Rykardy Parasol – bardziej niż esencję przypomina gęsty syrop. Spływa cieniem, urzeka sugestywnymi opowieściami i dopieszczonym brzmieniem. Idealna propozycja dla tych, którzy potrzebują pozbyć się czarnych myśli – nikt bowiem nie wyśpiewa ich za nas tak dobrze jak pani Parasol.



ELEKTRONIKA

Cudotwórca

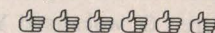
Czyby wyścig do tytułu płyty roku już się zakończył? Niewykluczone. James Blake nagrał rzecz wielką.

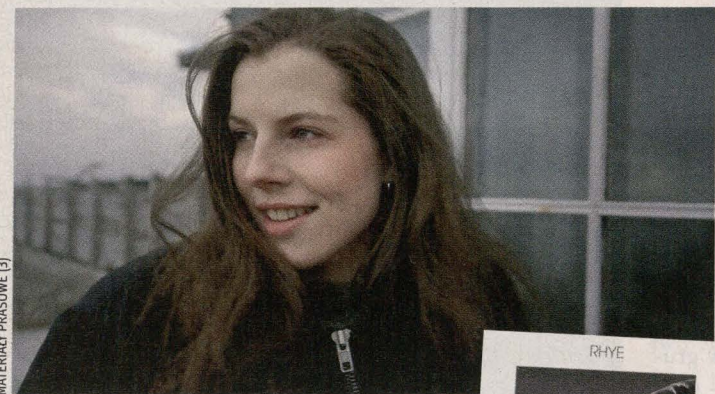
Wiedziałem, że na swoim kapitalnym debiucie Blake dopiero nieśmiało się rozkręcał – że tego utalentowanego młodzieńca stać na rzeczy jeszcze większe. Nie przypuszczałem jednak, że taką wielką rzeczą będzie już jego kolejna płyta. 24-letniemu londyńczykowi wystarczyły dwa lata, aby pod każdym względem udoskonalić swoje umiejętności – stać się jeszcze lepszym wokalistą, ale przede wszystkim rozkwitnąć jako songwriter. Z obiecujących szkiców, jakimi stał jego debiut, wykluły się pełne emocje pieśni z prawdziwego zdarzenia – jak otwierające album poruszające tytułowe „Overgrown” czy wybrana na pierwszy singiel, czerpiąca z soulu „Retrograde”. Z kolei elektroniczne eksperymenty Jamesa, choć jak zawsze minimalistyczne, zyskały nowy wymiar i głębię, brzmienie stało się bogatsze, pojawiło się więcej szczegółów. Nie zmieniło się tylko jedno – mistrzowska gra ciszą i pauzą, ta jedyna w swoim rodzaju umiejętność budowania dramaturgii. Brian Eno, obecny tu zresztą jako współautor jednej z kompozycji, może być dumny ze swojego dwa i pół razy młodszego kolegi.

→ Bartek Winczewski



James Blake, „Overgrown”, Polydor



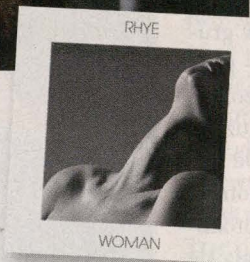


INDIE POP

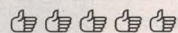
Wiosna, ach to ty

Debiut roku? Na pewno najładniejsza płyta tego sezonu.

Pierwsze, co przychodzi do głowy podczas słuchania „Woman”? Ona śpiewa jak Sade! Ale zaraz, to żadna ona... Tak, ten zjawiskowy kobiecy głos naprawdę należy do mężczyzny. Jego właściciel, Kanadyjczyk Mike Milosh, kojarzy się zresztą nie tylko z Sade – są momenty, kiedy brzmi jak jego krajanka Feist. Połączenie głosu Milosha z dyskretną produkcją tworzącego z nim duet Rhye Duńczyka Robina Hannibala przywodzi z kolei na myśl The xx z ich pamiętnej pierwszej płyty. To te same duże emocje zakłute w prostych, oszczędnych dźwiękach – w tym przypadku kameralnej mieszance zmysłowego R'n'B i delikatnej elektroniki, gdzieniegdzie ozdobionej smyczkami i dęciakami. W przeciwieństwie jednak do The xx panowie z Rhye nie nurzają się w smutku. Ich pachnący wiosną debiut to płyta o miłości szczęśliwej i spełnionej. → Bartek Winczewski



Rhye, „Woman”, Universal

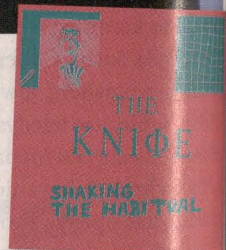


ELEKTRONIKA

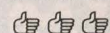
Odważni dziwacy

Nagrali jeden z najlepszych albumów ubiegłej dekady i przypadli na szczęście długich lat. Nieobecność paradoksalnie zadziałała na ich korzyść, bo dziś szwedzki duet The Knife wraca w chwale zespołu kultowego.

Słusznie? Kultowi dzięką, a „Shaking the Habitual” – czwarte wydawnictwo The Knife – ma wszystkie cechy najgorszej płyty świata. Prawie 100 minut muzyki – męczącej, hermetycznej, przeintelektualizowanej, niewdzięcznej i narcystycznie dziwnej. Irytującej ambicjami, za którymi nie zawsze idzie jakość, ale i intrygującej kompromisem pomiędzy surreálną formą a realną treścią. Psychodelicznej, intensywnej, fizycznej i przytłaczającej. Agresywnej beatem i tekstem – Karen Dreijer Andersson, najciekawszy w swojej manierze skandynawski głos od czasu Björk, atakuje dekadencję, zepsucie i społeczną niesprawiedliwość współczesnego świata. Pretensjonalne? Imponujące epickim conceptem? Jedno i drugie. Odważne? Na pewno. Ciężko pokochać „Shaking the Habitual” od razu, łatwo zniechęcić po setnym przesłuchaniu. To nie jest album na miarę wyśrubowanych oczekiwań, choć tak skrajne reakcje potrafią prowokować tylko ci najodważniejsi. → Angelika Kucińska



The Knife, „Shaking the Habitual”, Rabid Records/Universal



INDIE ROCK

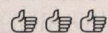
K jak Karen, O jak o, nie!

Można jej nie lubić, nie można jej ignorować. Tylko czy charyzmy Karen O wystarczy, żeby uratować nową płytę Yeah Yeah Yeahs?

Pierwsza dama nowej gitarowej sceny, która formowała się 10 lat temu. Nonszalancka stylizacją, nieobliczalna na scenie, bezpardonowa w tekstach. Nieważne, czy afirmowała zalety większego rozmiaru, czy płakała za chłopakiem pakującym walizki („Maps” z ich pierwszej płyty to wciąż najbardziej ruszająca ballada nowego rock and rolla). Tak samo skutecznie zdobywała publiczność neurotycznym wrzaskiem, sugestywnym jękiem, wreszcie zwyczajnie ładnym, dziewczęcym śpiewem. Ale na „Mosquito” osobowość Karen O, wokalistki Yeah Yeah Yeahs,



Yeah Yeah Yeahs, „Mosquito”, Universal

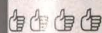


przegrywa z programowym założeniem, żeby zmieniać. Całość pisaną gitarami – czasem roztrzęsionymi, czasem głośniejszymi – pamiętanymi z debiutu zespołu psują detale. O ile gospelowy chór w „Sacrilege” się sprawdza, o tyle rapowany fragment w „Buried Alive” to już kuriozalny, kompletnie nietrafiony pomysł. Yeah Yeah Yeahs utknęli w schizofrenicznym rozkroku pomiędzy tym, co potrafią (pisać piosenki), a tym, czego umieć nie muszą (eksperymentować). „Mosquito” na pewno jednak znajdzie się w corocznych podsumowaniach – na wysokiej pozycji, za najbrzydszą okładkę. → Angelika Kucińska

Dorota Chrobak o filmach



reż. Steven Soderbergh, USA 2013, Monolith, 106 min



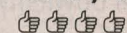
THRILLER

Panaceum

Młoda dziewczyna, której mąż trafił do więzienia za malwersacje finansowe, popada w coraz większą depresję i uzależnia się od leków psychotropowych. Inteligentny hołd złożony hollywoodzkiemu nurtowi psychoanalityczno-detektywistycznemu z początku lat 90. ubiegłego stulecia, którego wzorcowymi przykładami są „Diagnoza zbrodni” (Final Analysis) i „Pełnia zła” (Malice). „Panaceum” przewyższa jednak wspomniane tytuły dzięki odrealnionej, niemal narkotycznej wizji świata po antydepresantach, którą Soderbergh zbudował z sugestywnych zdjęć własnego autorstwa (!), muzyki niezawodnego Thomasa Newmana i wybitnego aktorstwa młodzieńkiej, a jakże dojrzałej Rooney Mary. →



reż. Borys Chlebnikov, Rosja 2012, Spectator, 65 min



KOMEDIODRAMAT

Zanim noc nas nie rozdzieli

Smakowity dowód na to, że w kinie liczy się przede wszystkim pomysł: dziennikarka Olga Utkin wybrała się do jednej z najdroższych moskiewskich restauracji i tam po prostu podsłuchiwała rozmowy klientów i obsługi. Efekt to zbiór luźno powiązanych ze sobą scenek: absurdalnych, nieodparcie śmiesznych, niekiedy smutnych, generalnie jednak – jawdowicie życiowych. Najfajniejsze w filmie są jednak podszyta anarchią atmosfera i poczucie, że wszystko zmierza w stronę spektakularnej katastrofy, niczym niepewna siebie łyżwiarka figurowa w stronę potrójnego akksa. Z tą różnicą, że tu upadek na posładki przynosi wyłącznie mnóstwo radochy. →

Katarzyna Nowakowska o serialach

Hannibal

Tydzień temu narzekałam, że brakuje mi serialowego thrillera na poziomie. I oto jest: „Hannibal”. Mam nadzieję, że wszystkie moje prośby i życzenia będą się tak szybko spełniać.

Wydawałoby się, że „Dexter” wypełnił już w 100 procentach naszą potrzebę zrozumienia umysłu psychopaty. A jednak oglądanie „Hannibala” nie ma w sobie nic z powtórki z rozrywki. To absolutna rozkosz, nawet jeśli czasami trzeba zasłaniać oczy.

Dwie postaci z powieści Thomasa Harris: Hannibal Lecter i agent FBI Will Graham spotykają się przy okazji sprawy seryjnego zbrojcy, do której zaprasza ich prowadzący śledztwo Jack Crawford (Laurence Fishburne). Wydarzenia te wyprzedzają wszystko, co znamy z „Milczenia owiec” czy „Czerwonego smoka”.

Graham (Hugh Dancy) ma niezwykłą zdolność empatycznego wczuwania się w umysł zbrojcy, z kolei Lecter (Mads Mikkelsen) jest błyskotliwym psychoanalitykiem. I pozbawionym skrupułów psychopatycznym



mordercą, o czym dzięki popkulturze wiemy od razu. Skomplikowana relacja, jaka powstaje między tymi dwoma niezwykle dziwnymi i niepokojącymi umysłami, jest przedmiotem niniejszej opowieści.

Już sama wymieniona obsada może przyprawić o dreszcz podniecenia, ale na szczęście jest w tym serialu dużo więcej. Świetne pomysły narracyjne, napięcie towarzyszące niemal każdej scenie i każdemu najbanalniejszemu

dialogowi, wysmakowane zdjęcia, które jednak bynajmniej nie łagodzą (choć estetyzują) brutalności scen morderstw (lub morderczych fantazji). Twórca serii Bryan Fuller („Wanderfalls”, „Tam, gdzie rosną stokrotki”) dowiódł po raz kolejny, że jest jednym z najoryginalniejszych autorów współczesnej telewizji.

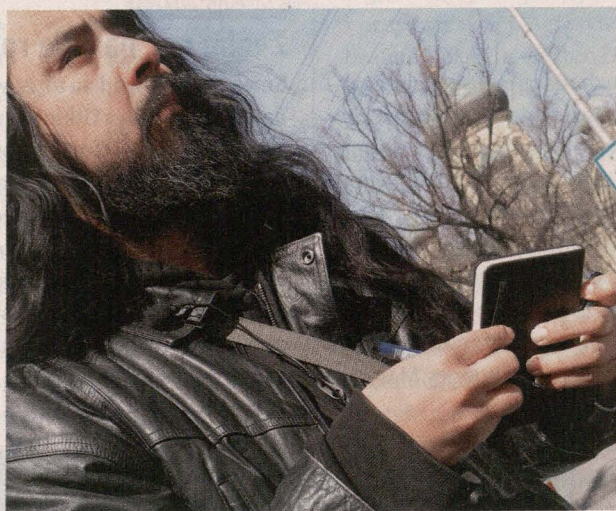
A Mads Mikkelsen jedzący z apetytem ludzką wątrobę, cóż – sir Anthony Hopkins znalazł wreszcie godnego następcę. „Hannibal” od 10.04, środa, godz. 22.00, AXN (13 odc.)

DOMINIKA WĘCŁAWEK

Warszawa da się rysować

Stolica Polski fascynuje zagranicznych twórców **opowieści z dymkami** – od Izraela przez Meksyk po Rosję. Jeszcze przed wakacjami dowiemy się, jak ją widzą.

Nie wiedziałem, że to miasto ma takie zakamarki – przyznał meksykański rysownik Tony Sandoval. Przed chwilą przeszliśmy przez dwa kolejne podwórka i przecisnęliśmy się przez dziurę w ceglany murze. Kilku facetów palących tanie papierosy przygląda się naszej grupce badawczo. My tu tylko zwiedzamy. Tony w naszej stolicy jest nie po raz pierwszy – jego komiksowe albumy ukazują się u nas regularnie, a artysta chętnie przyjeżdża, by je promować. Tym razem jednak jego wizyta związana jest z zupełnie innym wydarzeniem. Sandoval będzie rysował komiks o Warszawie.



DOMINIKA WĘCŁAWEK

Wojna i chłopiec

To będzie opowieść z czasów wojny. – O chłopcu, który codziennie przejeżdżał na rowerku i bawił się z żołnierzami w wojnę. On udawał, że do nich strzela, oni rzucali mu pomarańcze – zaczyna nakreślać fabułę nowelki jej scenarzysta Paweł Timofiejuk. Całość, rozpisana na cztery plansze, ma z jednej strony przybliżyć czytelnikom realia panujące w okupowanym mieście, z drugiej mówić o utracie złudzeń. Wszystko dzieje się zaś na Starej Pradze.

– Ta historia jest bardzo fajna, przypomina mi trochę opowieści, jakie towarzyszyły nam w Meksyku – mówi Sandoval. Swojskich akcentów znajduje u nas więcej. Na przykład kapliczki z Matką Boską. Nie robią na rysowniku aż tak egzotycznego wrażenia jak

na dwóch azjatyckich turystkach, którym przerwaliśmy amatorską sesję zdjęciową przy jednej z takich świętych figurek. A jednak tę, która nazywana jest „Matką Boską Meksykańską”, rysownik postanawia sobie uwiecznić. Pod ręką ma zgrabny notes, w nim na szybko szkicuje kilka detali.

Warszawski realizm magiczny

Tony i odzwierciedlanie życia miasta? Niektórzy mogliby się zdziwić. Z dzieł, które zostały dotychczas przetłumaczone na polski, wylania się raczej obraz twórcy gustującego w tym co fantastyczne. Jego „Trup i Sofa”, „Wybryki Xenophixeroxa” czy „Nocturno” i wydany właśnie „Doomboy” to przesycone realizmem magicznym mroczne opowieści. Sandoval też szczególnie upodobał

Tony Sandoval, meksykański rysownik mieszkający ostatnio w Berlinie, spacerował po warszawskiej Pradze zbierając materiały do swojego najnowszego komiksu. Będzie to opowieść o chłopcu, który zaprzyjaźnił się z żołnierzami w czasie II wojny światowej.

sobie obdarzone mackami stworzy morską. Co nie znaczy, że chce się do nich ograniczać. – Nie mam problemów z realistycznymi rysunkami, potrafię robić ilustracje w różnych stylach – zapewnia. Na dowód otwiera jedną ze stron swego szkicownika, gdzie delikatną kreską uwieczniony jest narożnik monumentalnego budynku VII Liceum Ogólnokształcącego. To w tej okolicy rozegra się część scen z komiksu Sandovala i Timofa.

Propozycję, by stworzyć praską nowelkę graficzną, Meksykanin otrzymał kilka tygodni temu. To nie on wybrał Warszawę, tylko ona jego. Czterostronnicowa miniatura ma być częścią antologii „Praga Gada”, a Sandoval nie jest jedynym zagranicznym twórcą, który dołoży tu swoją cegiełkę. W przeciwieństwie jednak do rosyjskiego rysownika Konstantego Komardina udało mu się do nas dotrzeć i odwiedzić miejsca, które sportretuje. Miał łatwiej, Komardin przebywa obecnie w Kambodży, on zaś od pewnego czasu mieszka po sąsiedzku, w Berlinie.

Babcia, wnuczka, okupacja

W pełnym lokalnych historii i anegdot albumie „Praga Gada” nie zabraknie też utytułowanych polskich twórców – m.in. Śledzia, Przemka Trucińskiego i Krzysztofa Ostrowskiego. Co ciekawe, można do tego znakomitego grona dołączyć. Wydawca antologii, a zarazem organizator akcji kolekcjonowania wspomnień prażan, Fundacja Animacja – ogłosił konkurs dla amatorów. Do 22 kwietnia można wysłać własne prace. Wydanie antologii zaplanowane na czerwiec, wyniki poznamy miesiąc wcześniej na Festiwalu Komiksowa Warszawa.

Na tej samej imprezie swą premierę będzie miał album „Zaduszki”, napisany i narysowany przez Rutę Modan. Popularna izraelska rysowniczka debiutanckimi „Ranami wylotowymi” zdobyła najbardziej prestiżową nagrodę w branży komiksowej – Eisnera. Powinniśmy być więc dumni, że jej najnowsza powieść graficzna rozgrywa się na ulicach naszej stolicy. Dla Rutę



to sprawa osobista, stąd bowiem pochodzi jej rodzina. Scenariusz „Zaduszek” inspirowany jest właśnie przeszłością jej przodków. To historia babci, która wraz z wnuczką powraca do współczesnej Warszawy, by odszukać ślady swej młodości, te namacalne – jak konkretne budynki, jak i niematerialne – w postaci relacji międzyludzkich. Zanim Modan zaczęła pracować nad scenariuszem, odwiedziła Warszawę kilkakrotnie, wreszcie w 2011 r. przyjechała z gotowymi szkicami, by dopracować detale. Jako ilustratorka jest zwolenniczką jak najwierniejszego oddawania rzeczywistości, dlatego kiedy do nas przyjeżdżała, miała konkretną listę poszukiwanych miejsc. – Musi być wnętrze przedwojennego domu, mieszkanie singla, chciałam też odwiedzić sklep, w którym ubrania kupują starsze panie – wymieniała lokalizacje artystka.

Kiedy była na miejscu, robiła nie tylko kolejne szkice, ale przede wszystkim zdjęcia, w niektórych miejscach siadała na dłużej, rozmawiała z właścicielami. To ważne, bo często miejsca w Polsce od tych w Izraelu różnią się ledwie

detalami i te drobiazgi właśnie musi wychwycić czujne oko rysowniczkę. – Potrafię sobie wyobrazić, jak wygląda warszawska architektura z czasów międzywojnia, bo emigranci często starali się odtwarzać to, co porzucili, ale nie umiałabym z głowy narysować kiludziesięciu ludzi w zwyczajnych ubraniach, jakie się u was nosi właśnie teraz – mówiła Modan. Sporo więc spacerowałyśmy po konkretnych dzielnicach.

Warszawa – miasto mit, legenda

– Hm, u nas też jemy takie rzeczy. Zawsze w niedzielę w całej okolicy czuć ten specyficzny zapach smażonej panierki – twierdziła, jedząc kotlety z kurczaka z ziemniakami we wnętrzu domowego bistro znajdującego się w jednym z mieszkań przy ulicy Lwowskiej. Przyszliśmy tu nie tylko dlatego, że Rutę już dawno zakochała się w potrawach serwowanych przez właścicieli istniejącego od dziesiątek lat lokalu. Podczas gdy matka była mieszkanką Woli, ojciec dorastał w budynku obok.

„Zaduszki” stanowią dla rysowniczkę pierwsze tak dogłębne zmierzenie

Rutu Modan odwiedziła Warszawę kilka razy, wreszcie w 2011 r. przyjechała z gotowymi szkicami, by dopracować detale swojego komiksu „Zaduszki”.

się z przeszłością. W domu niewiele się mówiło o historii rodziny. Poszczególne przygody i zdarzenia z życia dziadków autorka musiała wyławiać. Wiele dowiadali znajomi rodziny. – W Tel Awiwie Warszawa to miasto mit, legenda. Jeśli wierzyć wszystkim opowieściom, żyło się tu jak w bajce, a całe miasto zostało po wojnie odbudowane nie na gruzach, ale na skarbach – wspominała.

Konfrontację z tym mitem przeżyli inni rodacy Rutę, komiksarze, którzy zostali zaproszeni przez Instytut Adama Mickiewicza do przygotowania antologii „Kompot”. Polscy i izraelscy twórcy spotkali się w 2008 r. na serii warsztatów w Warszawie i Tel Awiwie, ale bardziej niż na portretowaniu miejsc skupili się na wyśmiewaniu stereotypów. Wyszło smakowicie.

Myli się jednak ten, kto myśli, że stolica to dla komiksowych gości scenografia i inspiracja numer jeden. Tak naprawdę wciąż pozostaje w tyle za Łodzią. Tu od 2006 r. pod kuratelą Adama Radonia należącego do Fundacji Contur, organizatora najważniejszej polskiej imprezy branżowej – Międzynarodowego Festiwalu Komiksu i Gier, ukazują się „City Stories”. To zbiory współczesnych łódzkich miejskich legend tworzone przez międzynarodowe grono komiksarzy. Dotychczas w projekcie obejmującym także cykl warsztatów brali udział Rosjanie, Belgowie, Francuzi i Brytyjczycy. Raz w roli scenarzystów, innym razem rysowników, goście najczęściej dobrze sobie radzili. Nam takie projekty pozwalają zaś przejrzeć się jak w zwierciadło. Często pięknym, niekiedy brudnym, wreszcie krzywym. Zawsze to jednak cenne spojrzenia. ☺



DOMINIKA WĘCŁAWEK

Dzieci wojny

Książki białoruskiej reportażystki Swietłany Aleksijewicz są jak wielogłosowe pieśni. Takie były „Czarnobylska modlitwa” i „Wojna nie ma w sobie nic z kobiety”. Tacy są też „Ostatni świadkowie”. Tym razem pisarka oddaje głos ludziom, którzy w maju 1941 r., w chwili wybuchu wojny pomiędzy ZSRR a Niemcami, mieli po kilka, kilkanaście lat. W rozmowie z dziennikarką ponownie przeżywają tamte wydarzenia.

Ich świadectwa są niezwykle poruszające, a jednocześnie pozbawione zbędnego patosu. Wiele z nich czyta się jak perfekcyjne opowiadania. W „Ostatnich świadkach” znajdujemy wspomnienia dzieci, które rodzice uchronili przed koszmarem wojny. Ale również tych, które doświadczyły koszmarnych scen, niczym wyjętych z powieści „Łaskawe” Littella albo filmu „Idź i patrz” Klimowa: rowy pełne ciał, na których żerują kruki, skrzypienie zamrożonych zwłok i całe ukraińskie wsie zamienione w popioły. Powracają opisy głodu, nalotów bombowych i śmierci bliskich. Ten koszmar łagodzi przedziwny koloryt tych wspomnień, a zwłaszcza detaliczne opisy niezważającej na wojnę przyrody. → Marcin Kube

Swietłana Aleksijewicz
Ostatni świadkowie
Utwory solowe na głos
dzieci



Swietłana Aleksijewicz,
„Ostatni świadkowie”.
Utwory solowe na głos
dzieci”,
tłum. Jerzy Czech, Czarne,
Wołowiec 2013, 39,90 zł

Aborygeńska odyseja

Pustynia Gibsona w Australii, gdzie toczy się akcja „Ostatnich koczowniców”, otrzymała swą nazwę na cześć pierwszego białego człowieka, który stracił życie na tej nieprzyjemnej ziemi. Ilu zginęło na niej Aborygenów, trudno byłoby zliczyć, bowiem zamieszkiwali ją od tysięcy lat. Trudne warunki klimatyczne były dla nich czymś naturalnym, a przywiązanie do ziemi przodków to jeden z ważniejszych elementów ich kultury.

Peasley opisuje wyprawę z 1977 r., podczas której wraz z pięcioma towarzyszami wyruszył na poszukiwania Warriego i Yatungki z plemienia Mandildjara. Para żyła samotnie, wygnana przed laty ze swego plemienia, bo ich związek był wbrew prawu małżeństw. W międzyczasie warunki do życia na pustyni się pogarszały i miejscowa ludność, zachęcana przez administrację, emigrowała do miast. Niezwykła opowieść o parze wygnańców została rzucona na szersze tło historii Aborygenów, przez dekady prześladowanych i wypieranych z rdzennych ziem. Historia niezwykła, choć napisana niezbyt porywającym językiem. → Marcin Kube

OSTATNI KOCCZOWNICY
W. J. Peasley

W. J. Peasley,
„Ostatni koczownicy”,
tłum. Aleksandra Brożek,
Bez Granic 2013, 32 zł



Kobieta przeżuwana

Pamiętacie Łódź z „Ziemi obiecanej”? Miasto przekłete, molocha przeżuwającego i wypływającego odpadki ludzkie? Taka jest metropolia, w której mieszka Pat. Zmieniła się tylko sceneria. Nowoczesny moloch już nie ma wyciem fabrycznych syren, amfiladami kupieckich pałaców i fasadami secesyjnych kamienic, lecz migotem światła i reklam w supermarketach i galeriach handlowych. Dobiegająca trzydziestki bohaterka próbuje poradzić sobie z traumą. Wyśniony-wymarzony okazał się pomyłką, wielkie uczucie farsą. Pat zamyka się w emocjonalnej skorupie, co odciska się nie tylko na kontaktach z facetami, ale też rzutuje na inne sfery. Życie zaczyna niebezpiecznie przypominać bezsensowną kpinę. Pat usiłuje zapanować nad rozpadem, egzorcyzmując pamięć. Brzmi to jak tania psychologia? To tylko pozory. Syrwid bawi się formą, sięga po język narracji filmowej i tabloidów, unika moralizowania i prostych ocen. To zgrabnie skrojona diagnoza pokręconej egzystencji współczesnych wielkomiejskich trzydziestolatek z zaskakującą zwrotką. → Cezary Polak

BOGACTWO
Marta Syrwid



Marta Syrwid,
„Bogactwo”,
Lampa 2013,
30 zł



NOWY NUMER

w sprzedaży, a w nim m.in.:

- **Andrzej Talaga** / Pierwsza RP była kilkakrotnie biedniejsza zarówno od Prus, jak i od Rosji. Jak mieliśmy przetrwać z taką różnicą potencjałów?
- **Jacek Borkowicz** / W Birkenau zamordowano co najmniej 40 tysięcy Polaków
- **Leszek Moczulski** / Granicę zachodnią Polski ukształtowała samowola Dmowskiego i upór Lloyd George'a



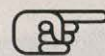
Available on the
App Store



Google play

POBIERZ APLIKACJĘ
NA SWÓJ TABLET

www.historia.uwazamrze.pl



ANNA SAŃCZUK

Tyle piękna pod stopami

Beczutki, barytki, szpuleczki, klepsydry albo po prostu – gorseciki. Mówi wam to coś? Jeśli nie, musicie sięgnąć po album „**Warszawskie gorseciki zanikające**” Zuzanny Fruby i Hanny Faryny-Paszkiewicz. Autorki dokumentujące przedwojenne warszawskie posadzki z charakterystycznych, wciętych „w tali” kafelków przywracają nam deptane codziennie przez tysiące stóp nadzwyczajnie piękno zwykłych rzeczy.



Za pomysłem stoi rodzinny tandem. Hanna Faryna-Paszkiewicz – historyczka architektury i varsavianistka (autorka m.in. klasycznej monografii stołecznej Saskiej Kępy) – oraz jej córka Zuzanna Fruba – architektka wnętrz. Już sam tytuł „Warszawskie gorseciki zanikające” intryguje, brzmi jak swoista nazwa gatunkowa, niczym z atlasu botanicznego. Pięknie wydana publikacja z dowcipnie dwuznaczną dedykacją: „Warszawiakom, którzy pokazali nam swoje gorseciki”, jest plonem trzech lat wędrówek auterek po warszawskich klatkach schodowych, zakładach rzemieślniczych, kawiarniach, kuchniach, werandach i łazienkach w poszukiwaniu tytułowych gorsecików. Zawiera dwa teksty wstępne – sentymentalny i naukowy, ale przede wszystkim fotograficzną dokumentację, oszałamiającą estetycznym bogactwem mozaikowych układów. Niewielkie terakotowe płytki, których kształt w wcięciami i krągłościami budził skojarzenia z damskim gorsetem, szczyt popularności przeżywały w latach 30. XX w. Kojarzyły się wówczas z nowoczesnością, na równi z wolno stojącymi wannami

oraz elektrycznością w każdym domu. Odeszły w zapomnienie, by dziś powrócić w oparach nostalgii za przedwojenną modernistyczną Warszawą. Znają je choćby bywalcy popularnych stołecznych lokali, takich jak Przegryb. Czysta Ojczyzna w fabryce Konest, kawiarnia Filtry czy otwarta niedawno MOKO Cafe, których właściciele docenili piękno gorsecikowych posadzek i odślonili je i uczynili częścią nowego wystroju.

Pierwszy impuls

Gorseciki najpierw zauroczyły Zuzannę: – Pamiętam je z dzieciństwa, z odwiedzin przedwojennych warszawskich kamienic i mieszkań. W trakcie studiów sama zamieszkałam w takim właśnie mieszkaniu i stałam się właścicielką gorsecikowej posadzki w trochę barwną kratkę w łazience. Spędziłam wtedy kilka wieczorów, pracowicie polubując widelcem i śrubokrętem polane kafelki i wymieniając je na całe, polubierane od sąsiadów – wielu chętnie się ich pozbywało przy okazji wymiany rurociągu kanalizacyjnego. Wtedy zaprzyjaźniłam się z gorsecikami i dowiedziałam się, że tak się właśnie nazywają. Ta traźna, pełna



na wdzięku nazwa nawiązująca do ich formy bardzo mi się spodobała. Od tego czasu obie z mamą zaczęłyśmy tworzyć listę adresów z gorsecikami i fotografować je – na razie do własnego archiwum. Bezpośrednim impulsem do poważniejszego zajęcia się tematem stała się fala remontów warszawskich klatek schodowych trzy lata temu. – Mama

coraz bardziej nerwowo informowała mnie o kolejnym kontenerze wystawionym przed jednym z „naszych” adresów. Gorseciki znikają. Nie było na co czekać – wspomina Zuzanna. Zaczęły od sprawdzania 80 adresów zgromadzonych dzięki znajomym oraz literaturze fachowej. Sieć kontaktów się rozrastała i ostatecznie namierzyły

Hanna Faryna-Paszkiewicz i Zuzanna Fruba w 2011 r. sfotografowały i opisały większość gorsecików. Dziś w wielu wnętrzach po zjawiskowych posadzkach nie ma już śladu.

i sfotografowały w samej Warszawie ponad 200 gorsecikowych lokalizacji. Nie mówiąc o zdjęciach z innych miast Polski oraz z Amsterdamu i Berlina, skąd prawdopodobnie w latach 20. dotarła nad Wisłę gorsecikowa inspiracja.

Wiatraczki, łany, kosmosy

Według Hanny Faryny-Paszkiewicz fenomen gorsecików polega na tym, że to prosty patent, który daje praktycznie nieskończone możliwości, biorąc pod uwagę rozliczne warianty kolorystyczne płytek. Obie panie na własny użytek tworzyły swoiste typologie, bo też wzory układają się w podgrupy. Od powściągliwych czarno-białych szachownic po op-artowskie szaleństwa, od eleganckich szarości w biały rzucik po kolorowe psychodeliczne odjazdy i kwieciste „dywany”, wielkie pola wzorów nazywane wiatraczkami, broszeczkami. Były wśród nich „chabry”, był „Chagall”, „Mondrian” czy... „błąd skanera”. – Zdecydowałyśmy się na układ zdjęć, który prowadzi od wejścia oficjalnego, holów, klatek schodowych przez kuchnie i werandy, tarasy aż do WC – wyjaśnia pani Hanna. Dzięki autorkom oglądamy więc w albumie feerię barw na podłogach dawnej łaźni „pod Mesalką”, wibrujące iluzjami optycznymi czarno-białe podłogi w holu niegdysiejszego kina Palladium czy szare krzyże w zakrystii kościoła Zbawiciela. A także abstrakcyjne kompozycje w kamienicach zaprojektowanych przez wybitnego warszawskiego architekta Juliusza Żórawskiego (m.in. przy al. Przyjaciół), tzw. kosmosy, które oszałamiają wizjami czarnych dziur i gwiazdnych mgławic. Nie mówiąc o prywatnych kuchniach, łazienkach i mikroskopijnych kibelkach z „dywanikami” ułożonymi z gorsecików we wszystkich kolorach tęczy.

Na tropie gorsetów

Jest to zaledwie niewielki, zachowany z dziejowej zawieruchy fragment kafelkowych fantazji, które podbija-



ły stolicę przed wojną. I chociaż dwa katalogi z lat 30., do których udało się autorkom dotrzeć, dają przykłady wielu wzorów (w tym także nigdy niezrealizowane czerwone swastyki), to wydaje się, że dużo z nich zawdzięczamy po prostu wyobraźni warszawskich „terakociarzy” – jak sami siebie nazywali w prasowych ogłoszeniach. Dzięki katalogom okazało się, że producentem kafelków był zakład Dziezwulski i Lange, wielka fabryka ceramiki podłogowej, łazienkowej i wszelkiej, w Opocznie (mieli przed wojną efektowny salon pokazowy w Alejach Jerozolimskich, w którym prezentowali sposoby wykorzystania swojej ceramiki). – Żeby do tego dojść, musiałyśmy wykonać prawdziwe śledztwo, tak bardzo gorceciki były już zapomniane – opowiada Hanna Faryna-Paszkiwicz. Jak dodaje: – Ukoronowaniem była wizyta w dwóch archiwach, w Tomaszowie Mazowieckim i Kielcach, do których trafiła podzielona dokumentacja fabryki. Tam znalazłam korespondencję, faktury. Cytuję różne dokumenty, np. jak pracownicy nie potrafili uzyskać zupełnie jednolitej barwy kafelków, bo glina zebrana łopatą nigdy nie pozwalała zrobić dużej partii w identycznym odcieniu. I rzeczywiście kafelki często nie trzymają

koloru, co dziś – paradoksalnie – wydaje się zaletą, bo przydaje im to organicznej naturalności, pięknie się dzięki temu mienia.

Tu nie ma żadnych kafelków

Nie tylko grzebanie w archiwach było żmudne. Samo fotografowanie wymagało determinacji w czasach domofonów i strzeżonych podwórek. – Najbardziej komfortowo fotografowało nam się wewnątrz u znajomych, natomiast wielkim wyzwaniem był moment „wtargnięcia” na nieznaną klatkę schodową – opowiada Zuzanna Fruba. – Wielokrotnie spotkałam się z nieufnością, wręcz wrogością, tak wobec mnie, jak i samych kafelków („Co, tę ohydę chce pani fotografować?” albo „Tu nie ma żadnych kafelków!”). Domofonowe potyczki kosztowały mnie sporo energii, i do tej pory, oglądając niektóre fotografie, czuję na plecach oddech nieufnego mieszkańca kontrolującego każdy mój ruch – bo a nuż zacznę odkręcać skrzynkę pocztową? Jednocześnie inni potrafili opowiadać historię kamienicy, sugerowali nowe adresy i zapraszali mnie do swoich mieszkań. To był bardzo ekscytujący element tej pracy – nigdy nie wiedziałam, na kogo trafię.

Latem 2011 r., kiedy powstała większość zdjęć, Zuzannie towarzyszył często jej trzyletni wówczas synek: – Dzie-



Album „Warszawskie gorceciki zanikające” Hanny Faryny-Paszkiwicz i Zuzanny Fruby ukaże się w połowie kwietnia nakładem wydawnictwa NISZA.

Klatki schodowe jak marzenie: czerwono-czarne plasty z ul. Smulikowskiego (po lewej), biało-czarne falujące pasy (kamienica przy ul. Odyńca, po prawej).



Trójkolorowa posadzka z wnętrza mieszkalnego przy ul. Wilczej.

ny-Paszkiwicz, które padają we wstępie do „Warszawskich gorcecików zanikających”: „Klatki schodowe, które jeszcze rok temu pokrywały ułożone z gorcecików subtelne posadzkowe dekoracje, błyszczą już pospolitą nowością. Słoneczne, czyste, nijakie i smętne. Zwolennicy takich odświeżonych wnętrz nie zdołali dostrzec uroku starych gorcecików. Co więcej, nigdy ich nie zauważali. Nie odczuwają więc żalu, jaki towarzyszy owym amatorom staroci, którzy zbierają niechciane kafle i układają z nich choćby niewielkie cytaty. Bo, paradoksalnie, w miarę zanikania warszawskich gorcecików rośnie liczba ich miłośników”.

lił nasz zachwyt i podniecenie, kiedy udało się odkryć nowy wzór czy nową kombinację kolorystyczną gorcecików („Mamo, moje ulubione niebieskie!”). Po pewnym czasie jemu też wszedł w nawyk zwyczaj zaglądania na każdą mijaną klatkę. Biegł potem do nas i krzyczał: „Eeeee, znowu lastryko!”.

Na pamiątkę wspólnej pracy Zuzia zrobiła dla mamy z blachy foremkę do ciastek w kształcie gorcecika. Istnieje więc szansa, że trafiając na promocję książki, czytelnicy będą mieli okazję spróbować gorcecikowego wypieku. I zadumać się nad słowami Hanny Fary-

KUBA DĄBROWSKI

Seks, władza i mokry kolodion

Fotograficzne przygody księżnej Castiglione.

Paryż, rok 1856. Virginia Elisabetta Luisa Carlotta Antonietta Teresa Maria Oldoini, czyli w skrócie księżna Castiglione, jest kochanką cesarza Napoleona III. Z Włoch do Paryża sprowadził ją jej kuzyn – walczący o zjednoczenie Italii hrabia Cavour. Zadanie pięknej księżnej? Przekonanie Napoleona do idei powstania jednej silnej Italii i opowiedzenia się po włoskiej stronie podczas szykującego się konfliktu z Austrią. Dyplomacja szybko przegradza się w większą zażyłość – księżna oficjalnie rozstaje się z włoskim mężem i zostaje gwiazdą paryskich salonów. Jako kochanka cesarza księżna Castiglione jest główną bohaterką krążących po stolicy Francji plotek. Władza i seks to kombinacja mocno działająca na wyobraźnię. Zresztą księżna sama chętnie dolewa oliwy do ognia: na białych i w operze pokazuje się w strojach tak ekstrawaganckich, że ludzie stają na krzesłach, żeby ją zobaczyć.

Dwór cesarski ściśle współpracuje z fotograficznym studium portretowym Mayer i Pierson. Fotografowie regularnie pojawiają się w pałacu i uwieczniają najważniejsze postaci z otoczenia Napoleona. Fotografia jest dziedziną bardzo młodą, wynaleziono ją dopiero 20 lat wcześniej, w zasadzie nikt z fo-

Kuba Dąbrowski co tydzień pisze o rzeczach, które mogłyby być uznane za sztukę, ale są też częścią codzienności. O zdjęciach, plakatach, reklamach, okładkach książek i płyt, logotypach.



tografowanych nie ma z nią większego doświadczenia. Traktuje się ją jako techniczną ciekawostkę, bo prawdziwą wartość wciąż mają jedynie portrety malarskie. Sesje odbywają się pod absolutną kontrolą profesjonalistów. Mayer i Pierson ustawiają światło, wybierają tło i wymyślają pozy. Księżna, w przeciwieństwie do większości, uwielbia być fotografowana. Wie, że jest piękna, i lubi oglądać swoją twarz na zdjęciach. Obrazy i rzeźby nie dają jej takiej przyjemności. Castiglione uzależnia się od zdjęć, ciągle chce więcej. Korzystając z nieograniczonych zasobów finansowych Napoleona, zaprasza jednego z fotografów – Pierre’a-Louisa Piersona, do niepotykanej dotąd współpracy – portrecista ma wykonać cykl fotografii jej osoby. Ona będzie wymyślać zdjęcia: scenerie, ustawienia, rekwizyty i stroje, on będzie się zajmował wyłącznie sprawami technicznymi. Sesje odbywają się kilka razy w miesiącu. Księżna przed obiektywem odtwarza sceny ze swojego życia, przybiera wystudiowane pozy, występuje z alegorycznymi rekwizytami i prezentuje najnowsze stroje. Niektóre kadry są bardzo odważne – na przykład zbliżenie na nagie nogi, zasłonięte jedynie od kolan w górę. Większość zdjęć ogląda jedynie ona i Napoleon, nieliczne można

kupić w studiu Piersona przy Boulevard des Capucines jako carte-de-visite. Ciekawemu wyglądu towarzyszy sensacja paryżanie wykupują je na pniu. Po dwóch latach kończy się romans księżnej i Napoleona, Castiglione wraca do Włoch.

Po czterech latach spędzonych w Turynie księżna znów pojawia się w Paryżu. Tęskni za wielkim światem, światowymi znajomymi i byciem w centrum uwagi. Bez Napoleona nie jest to niestety łatwe – pomimo starań Castiglione pozostaje na marginesie socjety. Jedną z nielicznych rzeczy pozwalających jej marzyć o wielkim świecie jest współpraca z Piersonem. Tym razem za sesję księżna musi płacić już sama, dla fotografii stopniowo wyprzedaje rodzinne dobra i się zapożycza. Pierson z przerwami portretuje ją przez prawie 40 lat, aż do śmierci w roku 1899. Powstaje około 700 fotografii. Z roku na rok kadry robią się coraz smutniejsze. Była kochanka Napoleona zdaje się nie zauważać, że z biegiem czasu jej ciało i twarz się zmieniają. Pozy, które kiedyś były pociągające, stają się komiczne. Po śmierci księżnej większość z nich skupuje zafascynowany jej postacią poeta Robert de Montesquiou. Kolekcję przekazuje w darze nowojorskiemu Metropolitan Museum of Art.

JERZY ZIEMACKI

Bocian w koronie

Co czwarty bocian na świecie ma swoje gniazdo w Polsce. Jest ich u nas ponad 50 tys. Większość z nich wróciła już z Afryki. Zostaną z nami pięć miesięcy.

Pierwszy bocian w tym roku pojawił się we wsi Okleśna. Wylądował 20 marca, po południu. Dokładnie w pierwszy dzień wiosny. Zajął gniazdo ulokowane przy ulicy Jeziornej. Mieszkańcy wsi powitali bociana radośnie. Niestety, w tym roku początek wiosny nie różnił się od zimy. Przez następne dni mieszkańcy Okleśnej patrzyli z niepokojem, jak ich lokalny ulubieniec toczy nierówną walkę z mrozem. Chodzi po łąkach zaspanych śniegiem i stąpa niepewnie po stawach skutych lodem.

Po trzech dniach bocian zniknął. Ludzie zaczęli się martwić. Mieszkańcy tej uroczej wsi w Małopolsce mówią o sobie „bocianoluby”. W 2008 r. uratowali cztery osierocone małe. Bywało, że ratowali bociany, które wypadły z gniazda i pomagali osobnikom ze złamanym skrzydłem. Teraz rozpoczęli poszukiwania zagubionego bociana. Po kilkunastu dniach zwierzę odnalazł Bogdan Bukowski, mieszkaniec Okleśnej. Natknął się na bociana przy ujściu potoku Regulka. We wsi wybuchła wielka radość. Szybko ruszono z pomocą zwierzęciu: ugotowano jajka na twardo i rozłupczono je ze skorupką, przygotowano ryby z ośmi, ktoś przyniósł mysz z pułapki. Zwierzę było wygłodzone, więc jadło z apetytem.

Bardziej przezorne bociany zatrzymały się w swojej wędrówce powrotnej z Afryki w ciepłych krajach południa Europy, przede wszystkim na Bałkanach. Bociany latają w stadach złożonych z kilkuset ptaków. Potrafią pokonać 200 kilometrów dziennie. Tysiące bocianów, które wróciły między mar-

cem i kwietniem do Polski, musiało przetrzymać mroźne noce i śnieżne zamiecie. Bociany na białych polach przypominały bardziej pingwiny niż „sztandar wiosny”. Stały w bezruchu, często bardzo blisko siebie. Obawiano się, czy wytrzymają tak niskie temperatury, ale specjaliści twierdzą, że to niezwykle wytrzymałe zwierzęta.

Jedyny problem to tymczasowe niedobory pokarmu. Te mięsożerne stworzenia najchętniej żywią się nornicami, kretami i dżdżownicami. Również chrząszcze, świerszcze, koniki polne i inne owady stanowią dla nich smaczkę. Ale żadnych z tych stworzeń w zimowych warunkach nie da się upolować. A bocian musi jeść przynajmniej kilogram dziennie. Wygłodniałe bociany zaczęły żerować po śmietnikach. Tak było we wsi Borawe na Mazowszu, gdzie pierwszy bocian przyleciał w Wielki Piątek, o czym wierni szybko poinformowali księdza proboszcza. Dla bociana grzebiącego w śmietniku zorganizowano pomoc. Podobnie było w innych miejscach. Największe skupiska gniazd bocianich znajdują się we wsiach Żywkowo (warmińsko-mazurskie), Mosty (lubelskie), Rentowo (podlaskie) i Kłopot (lubuskie).

Pieski los bocianów zwrócił uwagę mieszkańców dużych miast. Warszawiacy z dzielnicy Białołęka zorganizowali pomoc dla kilkunastu osobników, które wróciły na początku kwietnia. Do akcji włączył się Urząd Dzielnicy (wschodnia część stołecznej Białołęki to prawdziwe zagłębienie bocianów). Specjalny prowiant od stołecznych władz został włożony do bocianich gniazd.

Na swoich stronach internetowych Urząd przypominał, że bociany należy karmić mięsem, rybami i jajkami, najlepiej lekko „przybrudzonymi” (pióra, kości, skorupki). Zdecydowanie złym pomysłem jest dokarmianie bocianów chlebem lub makaronem. Akcja dokarmiania się powiodła.

Co czwarty jest nasz!

Na świecie żyje ponad 230 tys. bocianów białych. Ponad 50 tys. ma gniazda na terenie Polski. To oznacza, że prawie co czwarty bocian na świecie jest nasz. W Polsce istnieje wyjątkowy kult bociana białego. Od wieków jest traktowany nad Wisłą szczególnie i podlega ścisłej ochronie. Na mocy ustawy zabrania się zabijania, chwytania, umyślnego płoszenia i niepokojenia bocianów. Miłość Polaków do bociana jest tak wielka, że niektórzy żartują, iż bocian powinien zastąpić orła w herbie Polski. Również bociany kochają Polskę. Zawsze wracają, choć spędzają tutaj tylko pięć miesięcy w roku.

Od 1994 r. istnieje u nas Ogólnopolska Baza Gniazd Bociana Białego. Zawiera informacje o znajdujących się w naszym kraju gniazdach bocianich oraz o miejscowościach, gdzie gniazdo nie ma (jeszcze lub już). Twórcy bazy są szczególnie wdzięczni za informacje na temat stanu gniazda, zdrowia bocianów i przebiegu lęgu. Chętnie przyjmują również zdjęcia. Obecnie w naszym kraju 60 proc. bocianów wije gniazda na czynnych słupach energetycznych. Zagrożają przez to sobie i elektrowniom. Dlatego coraz częściej gniazda są przenoszone na specjalne platformy.

Bociany są niezwykle wytrzymałe. Gdy zamiast wiosny zastaną u nas zimą, jak w tym roku, największym problemem nie jest dla nich mróz, lecz brak naturalnego pożywienia. Na zdjęciu: stado około 40 bocianów opanowało sortownicę odpadów Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania w Lublinie.



WOJCIECH PAŁEWICZ/PAP

Ale problem w tym, że nie wszystkie bociany chcą je zasiedlać.

Jeszcze w latach 70. XX w. bociany najchętniej wily gniazda na dachach gospodarstw. Starsi mieszkańcy wsi pamiętają sielskie obrazy: bocian na dachu, miły acz rzadki klekot i obietnica szczęścia (jeśli ptak zamieszka blisko rodziny). Bociany na słupach żyły rzadko (ok. 5 proc. populacji). Obecnie najchętniej budują gniazda na słupach (przyczyniła się do tego elektryfikacja kraju). Do wicia gniazd używają już nie tylko pęków traw, słomy i gałęzi. Coraz częściej wykorzystują worki foliowe,

szmaty, papiery, plastikowe sznurki. Z jednej strony świadczy to o zanieczyszczeniu środowiska przez człowieka, z drugiej o dużej inteligencji (optymalne przystosowanie się do nowych warunków) bocianów.

Stojący ptak może mieć nawet metr wysokości. Dorosłe osobniki ważą od 3 do 5 kilogramów. Ci, którzy nie mogą obserwować bocianów w naturze, mogą oglądać je na ekranie komputera. Internetowe kamerki zamontowane przy bocianich gniazdach transmitują online życie tych ptaków przez całą dobę. Można się o tym przekonać, odwiedzając

strony bociany.tv, bocianyonline.pl lub bociany.ec.pl. Twórcy witryn ostrzegają: „Natura rządzi się swoimi prawami. Mogą wystąpić sceny drastyczne”.

Przy profilach kamerki pojawiają się ikonki – ich świecenie, oznacza, że bocian urzęduje w gnieździe. Większość już się zapaliła. Codziennie aktywują się kolejne. W kamerce z Międzyrzeczka Dolnego można podziwiać bociana, który mieszka na posesji Stanisława Kwaśnego. Jest wyjątkowo uroczy. Na razie leniwie poprawia konstrukcję swojego gniazda. Być może niedługo upoluje pierwszą wiosenną żabę. 🐸



CEZARY POLAK

Lepszy rydzzyk niż oliwa

Serwują go w najlepszej polskiej restauracji Atelier Amaro, zachwyił się nim Rene Redzepi, szef kuchni słynnej kopenhaskiej Nomy. Pora, żebyście i wy odkryli polski olej rydzowy.

Potrawa nazywała się „Forrest Gump”. Raczej ze względu na angielski źródłosłów (forest w języku Szekspira oznacza las) niż film Roberta Zemeckisa z Tomem Hanksem. Składała się z sękacza posypanego proszkiem z borowików, jałowca i igieł sosnowych oraz grzybów w oleju rydzowym i emulsji z trawy żubrowej. Takim rarytasem Wojciech Modest Amaro, szef warszawskiego Atelier Amaro, jedynej polskiej restauracji wyróżnionej gwiazdką Michelina, czarował uczestników „Cook it Raw”, zjazdu najsłynniejszych kucharzy świata, który jesienią odbył się na Suwalszczyźnie. Ale nie był to kulinarny incydent. Amaro na stałe włączył olej rydzowy do menu swojej obleganej restauracji. Podaje go m.in.

ze śledziem, szalotką, sliwką, octem, jabłkiem i pumpnikiem. Potrawy z olejem rydzowym zjemy też w Fortecy Agnieszki i Marcina Kręgllickich.

W walce ze złym cholesterolem

– Jest droższy niż lniany, ale dobrze idzie zwłaszcza przed świętami, do rybek i sałatek ludzie biorą – potwierdza pani Halina, właścicielka straganu na słynnym bazarze-warzywniaku przy ul. Zamienieckiej w Warszawie. Dietetycy rozplývają się nad olejem rydzowym w zachwytach. Zawartość kwasu omega 3 sięga w rydzowym około 54 proc., co oznacza, że jedna łyżeczka może dostarczyć organizmowi niezbędną dzienną dawkę nienasyconych kwasów tłuszczowych, obniżających po-

ziom złego cholesterolu i zapobiegających chorobom serca, układu krążenia oraz problemom z nadwagą. Naukowcy z warszawskiego Instytutu Żywności i Żywnienia stwierdzili, że poziom złego cholesterolu u pacjentów, którym olej rydzowy podawano przez dwa tygodnie, spadł aż o 12 proc. „Rydzzyk” bogaty jest w makro- i mikroelementy oraz witaminy, w tym szczególnie witaminę E w naturalnej postaci. Zawiera też kwas omega 6 i świetnie się przechowuje – niekonserwowany zachowuje przydatność do spożycia nawet przez sześć miesięcy po wytlóczeniu.

Rydzzyk, nie rydze

A jednak 50 lat temu olej rydzowy prawie zniknął z naszych stołów nieczym rydze z lasów. Sęk w tym, że wbrew obiegowej opinii olej z tymi rzadkimi grzybami nie ma nic wspólnego. Olej rydzowy tłoczony jest z lnicznika siewnego (*Camelina sativa L.*), dziko rosnącej w Europie i Azji rośliny z ro-

ziny kapustowatych, zwanej potocznie lnianką, lennicą lub rydzem, rydzkiem. Rdzawy kolor nasion lnicznika przypomina bowiem barwę mienionego przez smakoszków grzyba. Naukowcy udowodnili, że jest jedną z najstarszych roślin oleistych, którą zaczęto uprawiać w epoce żelaza i brązu. Nasiona rośliny używanej do tłoczenia oleju lniankowego znaleziono w wykopalskach w Strzegomiu oraz w Biskupinie. Przez trzy tysiące lat olej rydzowy był nieodzownym składnikiem diety mieszkańców dorzecza Wisły, Odry i Bugu. To na fali jego popularności pojawiło się ludowe porzekadło „lepszy rydz, niż nic”. Twórcom maksymy chodziło o to, że lepiej zadowolić się pospolitym, ogólnodostępnym olejem, niż tracić czas i zdrowie na zdobycie nieosiągalnych rarytasów – nie tylko kulinarnych. „Rydz” stracił na znaczeniu wraz z upowszechnieniem łatwiejszego w produkcji i bardziej wydajnego rzepaku. Gwoździem do trumny była powojenna nacjonalizacja i unifikacja przemysłu. Pod koniec lat 60. praktycznie zniknął ze sklepów.

Tłoczenie tradycyjne

„Rydzzyk” odrodził się mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Robert Zemeckis kręcił „Forresta Gumpa”. Jednym z ojców chrzestnych renesansu lnianki, a zarazem najsłynniejszym producentem oleju rydzowego, jest pan Jerzy Just. W 1992 r. rolnik ze Śmiłowa koło Szamotuł w Wielkopolsce kupił prasę do wyciskania oleju. – Stuletnia maszyna pracuje bez zarzutu do dziś – mówi „Przekroju”. Początkowo tłoczył olej z modnego wówczas wiesiołka, co robi zresztą do dziś. Przyznaje jednak, że wiesiołkowy olej nie za bardzo mu smakuje. Na wieść, że Just doposaża olejarnię, odwiedził go rolnik z sąsiedniej wsi z transportem nasion lnicznika, z którego pozyskiwał olej na własny użytek. Pan Jerzy był jego ostatnią deską ratunku – dysponował wtedy bowiem jedyną w okolicy sprawną prasą do tłoczenia. Przyjął więc zlecenie. Własnoręcznie wyprodukowany olej posmakował mu

Przez trzy tysiące lat olej rydzowy był nieodzownym składnikiem diety mieszkańców dorzecza Wisły, Odry i Bugu. To na fali jego popularności pojawiło się ludowe porzekadło „lepszy rydz, niż nic”.

na tyle, że postanowił pójść w ślady przodków – jego dziadek miał olejarnię – i zaczął tłoczyć ryżka tradycyjnymi metodami. – Temperatura tłoczenia nie może być wyższa niż 38 stopni. W przeciwnym wypadku olej traci wartości odżywcze i smakowe. Dlatego nie nadaje się do smażenia, ale jest znakomity na zimno – tłumaczy pan Jerzy. Pytany o charakterystykę dobrego oleju rydzowego mówi, że powinien mieć złocisty, ciepły kolor, choć zdarzają się też dobre rydzki w wersjach jaśniejszych i ciemniejszych. Jeszcze trudniejszy do nazwania jest smak. Pan Jerzy wzbrania się od porównań, mówi, że jest „swoisty”.

Z cebulą, z chlebem, z pyrami

Z czym smakuje najlepiej? Pan Jerzy poleca tradycyjny specjał szamotulski – cebulkę z olejem rydzowym. Cebulkę kroi się w drobne kawałki albo cienkie talarki, soli i lekko poddusza drewnianą łyżką, żeby puściła sok. Wówczas dolewamy olej i odstawiamy, żeby potrawa się przegryzła. Po kwadransie można przystąpić do degustacji. Najlepiej smakuje z chlebem albo pyrami. – Olej rydzowy doskonale komponuje się ze śledziami – pan Jerzy potwierdza wybór Wojciecha Modesta Ama-

ro. Po szamotulsku rybę moczy się w solance, potem dodaje potalarkowaną cebulę oraz ogórki kiszone i zalewa rydzkiem, ewentualnie z domieszką soku z kiszki oraz odstawia do przegryzienia. Są tacy, którzy śledzia zastępują konserwowym tuńczykiem. Cztery lata temu Unia Europejska uznała olej rydzowy za „gwarantowaną tradycyjną specjalność”, co otworzyło przed wielkopolskimi producentami rydzki nowe rynki zbytu. Państwo Justowie nie narzekają jednak na brak zainteresowania olejem na krajowym podwórku. Co roku sprzedaż rydzki – tłoczonego na prasie sprzed 100 lat, produkowanego tradycyjnymi metodami – wzrasta o blisko 40 proc. Justowie początkowo sprzedawali swój olej wyłącznie w regionie, a teraz mają sklep internetowy, w którym zaopatrują się klienci z całego kraju. Niektórzy odwiedzają gospodarstwo w Śmiłowie osobiście. Chcą porozmawiać z najsłynniejszym producentem rydzki i zobaczyć, jak wyglądają plantacje lnicznika, którego wytłóczynami zachwyił się Rene Redzepi, papież światowego restauratorstwa, szef słynnej kopenhaskiej Nomy, który zrewolucjonizował myślenie o kuchni regionalnej.



ROZMAITOŚCI

Kociak tygodnia: Przemek, 27 lat. Pracuje jako analityk w dużej korporacji, w weekendy umiła sobie czas pisaniem opowiadań o przygodach dewotek ratujących świat przed siłami zła. Jest modelem w Rebel Models. Fot. **Sonia Szóstak**

FILVTEK



Życie to ciekawość. Jeśli nie jesteś ciekawy, oznacza to, że leżysz w trumnie. Pierre Boulez



Szarmantnie ssaki



PRENUMERATA 2013

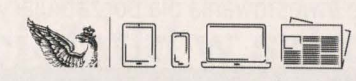
„Rzeczpospolita” z Bloomberg Businessweek Polska

Zaprenumeruj „Rzeczpospolitą”
i zyskaj w każdy poniedziałek tygodnik
Bloomberg Businessweek Polska



Zadzwoń pod **800 120 195**
lub wejdź na www.rp.pl/prenumerata

Pobudzamy myślenie  **RZECZPOSPOLITA**



Jeśli myślisz, że

DJ STOWX 50

to seria składanek
z muzyką klubową...

Dałeś się „złapać”? Nie szkodzi!

Czytając dziennik „Parkiet” posiadasz fachową wiedzę, która pozwoli Ci mądrze inwestować w przyszłości. Zrozumiesz, że gry giełdowej można się nauczyć, trzeba tylko korzystać z profesjonalnych narzędzi.

Znajdziesz w nim:

- ▲ sprawdzone newsy z rynku kapitałowego, walutowego i surowcowego
- ▲ analizę spółek, trendów i wydarzeń rynkowych
- ▲ rzetelne rekomendacje dla inwestorów
- ▲ akademię inwestowania dla początkujących

